

KRZYSZTOF BORUN

TOCCATA



Krzysztof Boruń

Toccata

Toccata

Copyright © by Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Copyright © for the cover illustration by European Southern Observatory (ESO), used under the Creative Commons Attribution-Share-Alike license 3.0

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-27-9

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Trzecia możliwość

Dyktuję te słowa w pięćdziesiątym trzecim dniu ziemskim od chwili przybycia naszej ekspedycji do Układu 70 Wężownika A. Pięćdziesiąt trzy dni odpowiada stu siedemdziesięciu ośmiu obrotom planety Vicinia wokół osi. O istnieniu tej planety my — mieszkańcy Układu Słonecznego — wiemy już od blisko stu dwudziestu lat. Cywilizacja viciniańska jest pierwszą cywilizacją, z którą udało się nawiązać radiową łączność międzygwiazdną.

W trzydzieści trzy lata po nadaniu standardowej serii sygnałów przy pomocy największego wówczas na Ziemi radioteleskopu w kierunku dwudziestu sześciu wybranych gwiazd — nadeszła odpowiedź z Układu 70 Wężownika. Zawierała ona powtórzenie naszej serii oraz zestaw liczb, które bez trudu zostały zidentyfikowane jako układ periodyczny pierwiastków. Zaraz po tym następowała „prezentacja” w postaci składu izotopowego materii zewnętrznych warstw atmosfery Słońca i tych samych danych o gwiazdzie A układu podwójnego 70 Wężownika.

Dalej, jak można było się domyślić, szły serie liczb dotyczących składu atmosfery planety, z której nadano sygnały oraz składu mineralnego jej powierzchni i wnętrza. W odpowiedzi nasi ojcowie przekazali w kierunku Układu 70 Wężownika A podobne dane dotyczące Słońca i Ziemi oraz propozycję przejścia na nadawanie dwuwymiarowych obrazów metodą rozkładu na punkty jasne i ciemne. Dłuższe serie rysunków i zdjęć miały umożliwić naszym „rozmówcom międzygwiazdnym” poznanie głównych form życia i cywilizacji mieszkańców Ziemi.

Po trzydziestu trzech latach nadeszła kolejna odpowiedź. Mieszkańcy planety Vicinia — gdyż tak ją poczęto nazywać w tych czasach — jeszcze raz wykazali wysoką inteligencję: rozszyfrowali metodę łączności wizyjnej i na tych samych zasadach przekazali nam obraz swego świata.

Kiedy więc nasza wyprawa międzygwiazdna wyruszała w drogę, o Vicinii i jej mieszkańcach wiedzieliśmy już niemało i wydawało się, że jakichś zasadniczych, gruntownie odważających nasze wyobrażenia

niespodzianek nie należy oczekiwać.

Nie znaczy to, iż obraz Vicinii, przekazany na falach elektromagnetycznych, pozbawiony był poważniejszych luk i niejasności. Kontrast między środkami technicznymi i wysokim stopniem rozwoju wytwórczości a rażąco niskim poziomem materialnych warunków życia mieszkańców planety — wydawał się co najmniej zastanawiający. Snuto najprzeróżniejsze domysły na temat możliwych dróg rozwoju społecznego, czy nawet wynaturzeń struktury organizacyjnej państw, w których postęp technologiczny staje się nie środkiem, lecz celem rozwoju cywilizacyjnego.

Ślepe uliczki rozwoju?... Jakże odległą okazała się rzeczywistość od przewidywań...

*

Jeszcze tylko pięć godzin... Nie mogę liczyć na żadną pomoc. Nikt mnie nie odnajdzie w tej pułapce. Po co się łudzić? Przecież wiem, że to niemożliwe. Chyba tylko niezmiernie rzadki splot okoliczności może mnie uratować. Ale jaką mam szansę?... Regeneratory już prawie nie działają. Zużywam ostatnią rezerwę tlenu. Zostało mi zaledwie pięć godzin...

Postanowiłem podyktować to, co przemyślałem. Czasu niewiele, a chciałbym po sobie zostawić ślad. Jeśli kiedykolwiek ktoś odnajdzie moje ciało zamknięte w kokonie skafandra — dowie się, jak było naprawdę.

Pięć godzin...

Im dłużej myślę o mojej sytuacji, tym mniej wydaje mi się prawdopodobne, aby ktokolwiek mógł odnaleźć zapis. Źle się wyraziłem: ktokolwiek z ludzi! Ale przecież są ONI! kiedykolwiek może ON? Ten, który z nami rozmawiał przez Wielką Antenę? Czy potrafi odczytać zapis? A jeśli nawet odczyta — co z niego zrozumie? Czy dzięki niemu łatwiej pojmie różnicę między nami a Vicinianami?...

Przybycie naszej ekspedycji na Vicinię nie rozwiązało żadnego z zasadniczych problemów spornych, jakie pojawiły się w toku łączności międzygwiazdnej. Przeciwnie — stanęliśmy w obliczu faktów, które zamiast ugruntować nasze dotychczasowe wyobrażenia o tej cywilizacji, postawiły je pod znakiem zapytania.

Źródłem sygnałów nadawanych w kierunku Słońca była gigantyczna konstrukcja techniczna wzniesiona na biegunie północnym Vicinii. Za jej

pośrednictwem w ostatnich miesiącach podróży wznowiliśmy łączność z mieszkańcami planety, przystępując do opracowania słownika elementarnych pojęć, który miał ułatwić nawiązywanie bliższych stosunków.

Kryzys pojawił się dość nagle, zupełnie niespodziewanie: na nasze pytanie, w jaki sposób możemy nawiązać bezpośredni kontakt z przedstawicielami Vicinii — na ekranie uparcie ukazywał się ów system antenowy służący mieszkańcom planety do łączności międzygwiazdnej.

Wszelkie próby łączności radiowej z pominięciem Wielkiej Anteny — jak nazywaliśmy to urządzenie — nie przynosiły żadnego rezultatu.

Lądowanie grupy zwiadowczej w celu nawiązania porozumienia z mieszkańcami planety pogłębiło jeszcze naszą niepewność. Vicinianie — niewielkie, zaledwie sięgające nam do kolan stwory — nie tylko wyglądem, lecz i zachowaniem całkowicie odbiegają od naszych wyobrażeń o twórcach wysokiej cywilizacji. Ich inteligencja nie przewyższa inteligencji małych człokształtnych i jakkolwiek wykazują pewne zainteresowanie naszą obecnością, jest ono bardzo powierzchowne i krótkotrwałe, przypominające zainteresowanie psa, który po obwąchaniu nieznanego przedmiotu po chwili zapomina o nim, traktując go jako naturalny składnik otoczenia.

A jednocześnie — istoty te przejawiają, jako zbiorowość, niezwykle wysoki stopień zorganizowania.

Nie ulega wątpliwości, że ich społeczeństwo jest strukturą o ogromnej sprawności i celowości w działaniu. Ruchliwość Vicinian nie ma w sobie nic z chaosu i przypadkowości.

Jeśli nawet czasem, zwłaszcza przy próbach ingerencji z naszej strony, powstawało chwilowe zamieszanie i zakłócenie współdziałania — po kilkunastu sekundach wszystko wracało do normy.

Mrówki! — Oto co nasuwało się już przy pierwszym bezpośrednim spotkaniu. Zdawaliśmy sobie, oczywiście, sprawę, że podobieństwo jest tylko pozorne, wynikające z powierzchowności obserwacji. Zbyt mało wiedzieliśmy o istotnej strukturze viciniańskiego społeczeństwa, aby można było mówić o jakichś głębszych analogiach ze społeczeństwem mrówek czy pszczół. Nie stwierdziliśmy żadnych oznak fizjologicznego zróżnicowania osobników obsługujących odmienne konstrukcyjnie maszyny czy dziedziny produkcji. Nawet osobniki, które — jak się

okazało — pełnią w tym społeczeństwie funkcję łączników lub może dyspozytorów, nie różnią się budową od innych pracowników.

Czy zespołowe kierowanie skomplikowanymi narzędziami i procesami wytwórczymi może mieć charakter instynktowny? Nie było żadnych podstaw, ażeby tak sądzić. Przeciwnie: istoty te wykazywały swoistą inteligencję — potrafiły się uczyć, wyciągać wnioski z popełnianych błędów i przekazywać tę wiedzę innym.

Dowodem był taki eksperyment: podałem jednemu z Vicinian latarkę, zapalając ją i gasząc w jego obecności. Chwilę obmacywał ją swymi trzema chwytными organami i począł manipulować wyłącznikiem, aż wreszcie spowodował zapalenie lampy. Po kilku próbach oddał mi latarkę z powrotem i powrócił do swojej grupy. Nie upłynęło pięć minut, gdy podszedł do mnie Vicinianin (po dłuższych obserwacjach okazało się, że pełnił on funkcję jakby kierownika tej grupy) i wyciągnął łapę po latarkę. Kiedy mu ją podałem — od razu, bez żadnych prób zapalił ją i zgasił. Powtórzył tę czynność parokrotnie, po czym nagle przestał się latarką interesować.

Oddał ją i wrócił do pracy.

Żadne fakty nie wskazywały na to, aby umiejętności kierowania maszynami były wrodzone, dziedziczne, a nie nabyte — wyuczone. Późniejsze, dokładniejsze obserwacje wykazały zresztą, ponad wszelką wątpliwość, iż „szkolenie” młodych osobników odbywało się niemal w każdej grupie roboczej. Nie wydawało się też, aby wiedza była przekazywana bezpośrednio dzieciom przez rodziców. Co ciekawsze — karmieniem i wychowywaniem najmłodszego potomstwa zajmowały się kolejno wszystkie osobniki zamieszkujące określony zespół budowli, a nie jakaś odrębna grupa. Nie było tu więc żadnych wyspecjalizowanych „mamek”, „piastunek” czy „nauczycieli”.

Któż jednak rozmawiał z nami przez gigantyczną antenę kierunkową? Nie ulegało wątpliwości, że gdzieś musiał istnieć ośrodek kierowniczy tego społeczeństwa, ośrodek w pełni świadomy, dążący do poznania świata i myślący w tym zakresie w podobny sposób jak my — ludzie.

*

Muszę tu wspomnieć, choćby bardzo krótko, o hipotezie Ortena. Zarzut Ortena, że uważam Vicinian za mrówki, był bzdurną insynuacją.

Takiej hipotezy żaden biolog o zdrowym rozsądku nie mógłby postawić. Jeśli mówiłem o „strukturze mrowiska”, to tylko w sensie pewnych zewnętrznych analogii w zachowaniu się tych istot. W rzeczywistości wyrażałem przypuszczenie, że zetknęliśmy się dotąd tylko z częścią społeczeństwa, pełniącą funkcje wykonawcze, i że istotami tymi kieruje ośrodek złożony z innych istot, być może nawet odrębnego gatunku, obdarzonych intelektem podobnym do naszego. Takiego ośrodka kierowniczego, co prawda, nigdzie nie mogliśmy dostrzec, ale byłem głęboko przeświadczony o tym, że on istnieć musi i że można go będzie odnaleźć.

Orten również był zdania, że ośrodek kierowniczy istnieje. Wysunął jednak hipotezę, że nie Vicinianie są gospodarzami planety, lecz „sztuczny centralizat” o rozrzuconych po powierzchni globu ośrodkach czynnościowych i niezlokalizowanej pamięci. Tego „wielkiego robota” mieli rzekomo, w dalekiej przeszłości, zbudować przodkowie Vicinian, stając się w końcu jego niewolnikami i ulegając stopniowej degeneracji umysłowej w wyniku pewnego rodzaju symbiozy z automatami.

Ta hipoteza nie wytrzymała krytyki już choćby z uwagi na obserwowane przez nas ostre kontrasty w poziomie technologicznym, zwłaszcza automatyzacji, oraz na kluczową rolę żywych Vicinian niemal we wszystkich dziedzinach wytwórczości, nawet energetyki jądrowej.

Co prawda, Orten uważał to właśnie za dowód regresu. Twierdził, że spełnianie przez Vicinian funkcji typowych dla automatów jest przejawem tendencji „wielkiego robota” do przerzucania elementarnych zadań społecznych na istoty żywe, obdarzone zdolnością samoreprodukcji i dużą uniwersalnością. Bowiem tworzenie samoreprodukujących się układów sztucznych, nawet stosunkowo prostych, o wąskiej specjalizacji, byłoby na obecnym poziomie techniki viciniańskiej nieopłacalne.

Swą hipotezę usiłował Orten dość sztucznie pogodzić z wynikami badań archeologicznych, jeszcze w czasie dokonywania wstępnych zdjęć planetograficznych grupa Kolca natrafiła w kilkudziesięciu punktach globu na ślady jakichś dawnych budowli, przeważnie rozrzuconych wśród rozbudowujących się ośrodków wytwórczych. Lepiej zachowane obiekty spotkaliśmy na niektórych obszarach pustynnych, a także w dżunglach Vicinii.

Nie ulega wątpliwości, że struktura społeczeństw viciniańskich przed dwudziestu tysiącami lat różniła się zasadniczo od obecnej. Budowle, których ruiny tak nas zainteresowały, były kiedyś prawdopodobnie czymś w rodzaju pałaców, w których zamieszkiwała niewielka liczba osobników, żyjących na niewspółmiernie wyższej stopie niż dzisiejsi mieszkańcy Vicinii.

Ktoś wysunął nawet przypuszczenie, że solidność murów i układ pomieszczeń zdają się sugerować, iż „pałace” spełniały w pewnym sensie rolę warownych kaszteli, z których ówczesna elita viciniańska władała społeczeństwem, znajdującym się w znacznie gorszych niż ta elita warunkach bytowych. Faktem jest, że — jak dotąd — nie udało się odnaleźć śladów budowli służących jako mieszkania innym warstwom społecznym ówczesnej Vicinii. Musiały to być konstrukcje bardzo prymitywne i dlatego nie ostały się próbie czasu.

Szczególnie interesujące było odkrycie w podziemnej sali jakiejś starej budowli trzydziestu dwóch bardzo dobrze zachowanych posągów starożytnych władców Vicinii. Jak wykazały prześwietlenia, były to w rzeczywistości nie posągi, lecz sarkofagi. Panował tu widocznie zwyczaj pokrywania ciał zmarłych warstwą substancji ceramicznej, niezwykle odpornej na korozję. Zastanawiające jest, że prawie wszystkie szkielety są o kilkanaście centymetrów dłuższe od przeciętnego wzrostu obecnych mieszkańców Vicinii i różnią się z reguły pewnymi szczegółami budowy puszki mózgowej. Poziom techniki w okresie owej „kultury pałacowej” był stosunkowo wysoki, dotyczyło to zwłaszcza chemii przemysłowej i biochemii. Nie znaleźliśmy natomiast nigdzie śladów nowoczesnej automatyki, jeśli więc można mówić o regresie — miał on raczej charakter biologiczno-społeczny, a nie techniczny, jak to sugerował Orten. Dla mnie cała jego koncepcja była zbyt wyspekulowana, aby mogła być słuszna. Przede wszystkim jednak nie widziałem sensu w zakładaniu istnienia „wielkiego robota” jako układu rozproszonego po całej planecie. Zresztą po żmudnym, wielotygodniowym badaniu kanałów łączności pomiędzy poszczególnymi ośrodkami wytwórczymi i przekazywaniu analizatorowi zebranych przez automaty danych otrzymaliśmy w wyniku krzywą Kronenberga-Gribowa — świadczącą, że mamy tu do czynienia z układami autonomicznymi. Analizator nie mógł się mylić! Mimo to Orten nie chciał skapitulować...

A jednak przegrał! Przegrał!... Przegrał?...

*

Tlenu zostało zaledwie na cztery godziny... Muszę się streszczać.

Tak więc zaczęło się od tej krzywej Kronenberga-Gribowa. Orten był uparty, ale dla mnie sprawa była jasna, że z tego i tak nic nie wyjdzie i tylko niepotrzebnie marnujemy czas.

Moje przewidywania potwierdziły się w pełni i po sześciu tygodniach od przybycia na Vicinię znaleźliśmy się w impasie. Stwierdziliśmy tylko, że żaden z ośrodków wytwórczych nie wykazuje bezpośredniego radiowego czy przewodowego powiązania informacyjnego z innymi ośrodkami. Mimo to Orten trzymał się nadal kurczowo swej pierwotnej koncepcji „wielkiego robota”, modyfikując ją tylko w ten sposób, że rolę łączników-nosicieli informacji między ośrodkami kierowniczymi owego rzekomego sztucznego mózgu mieli pełnić Vicinianie, a więc żywe istoty.

Hipoteza była tak sztuczna, że udało mi się doprowadzić do uchwały wstrzymującej dalsze prace badawcze zaplanowane przez Ortena. Nie mógł mi tego darować. Zarzucił mi otwarcie, że kieruję się tu osobistymi ambicjami, że uprawiam jałową krytykę, gdyż sam nie potrafię wystąpić z jakąś konstruktywną propozycją.

Tego było mi już za wiele. Oświadczyłem, może trochę nieopatrznie, że jeśli otrzymam wolną rękę i nikt nie będzie się wtrącał do moich badań — podejmę się w ciągu czterech dni samodzielnie rozwiązać zagadkę Vicinii.

Wywołało to burzę: część kolegów, z Ortenem na czele, potraktowała moje wystąpienie jako wyzwanie rzucone całemu kolektywowi ekspedycji. Inni, podejrzewając, że dokonałem już jakichś rewelacyjnych odkryć i pragnę tylko zebrać brakujące dane — zaofiarowali mi swą pomoc.

Ostatecznie nieprzyjemna atmosfera uległa w pewnym stopniu rozładowaniu. Przyjęto moją propozycję z zastrzeżeniem, iż nie będę stosował środków, które mogłyby narazić nas na konflikt z Vicinią, na co oczywiście zgodziłem się bez wahania.

Szczerze mówiąc, trochę żałowałem swego kroku. Nie miałem bynajmniej jakiegoś opracowanego planu działania. Nie znaczy to, że podjąłem się zadania nie wiedząc, z której strony rozpocznę jego

rozwiązywanie. Klucz podsunął mi sam Orten, gdy próbował zmodyfikować swą hipotezę przez potraktowanie Vicinian jako „nosicieli informacji”. Jego błąd polegał na tym, iż usiłował odnaleźć ośrodki kierownicze poprzez analizę ultrastabilności społeczeństwa viciniańskiego. Tymczasem — najprostszą drogą prowadzącą do ośrodka obdarzonego świadomością powinny być przecież wejścia i wyjścia Wielkiej Anteny.

Oczywiście nie był to pomysł nowy. Już na początku prac badawczych próbowaliśmy zbadać te kanały. Rychło jednak okazało się, że gigantyczne urządzenie na biegunie to tylko stacja retransmisyjna, której wejścia i wyjścia lokalne, przeznaczone prawdopodobnie do łączności z ośrodkiem czy z ośrodkami kierowniczymi, nadają i odbierają sygnały niezmiernie słabe i to w postaci modulacji bardzo szerokiego wycinka widma elektromagnetycznego. W tych warunkach o lokalizacji kierunku metodą ekranowania nie było mowy i szybko zrezygnowaliśmy z tej drogi poszukiwań rozwiązania zagadki Vicinii.

Próbowaliśmy również zdobyć bliższe informacje wprost od nieznanych istot, z którymi utrzymywaliśmy łączność poprzez Wielką Antenę. Ale na nasze pytania — jak wygląda zewnętrzne urządzenie nadawczo-odbiorcze, z którego oni kierują stacją — w odpowiedzi na ekranie ukazywały się uparcie szeregi głów Vicinian. Zważywszy, że na pytania słowne, kto kieruje społeczeństwem Vicinian — również otrzymywaliśmy stale odpowiedź, że... społeczeństwo Vicinian — nie ulegało dla nas wątpliwości, że musi tu zachodzić jakieś terminologiczne nieporozumienie.

Wracam do wydarzeń sprzed dziesięciu dni: o wystąpieniu krzywej Kronenberga-Gribowa i sugestii Ortena, iż być może Vicinianie są „nosicielami informacji”, wiedziałem na dwanaście godzin przed naradą. Nasunęła mi się wówczas myśl, że przekazywanie informacji niekoniecznie musi odbywać się poprzez narządy słuchu, wzroku czy dotyku. A gdyby tak sprawdzić, czy nie występuje tu zjawisko przekazywania sygnałów elektromagnetycznych bezpośrednio z mózgu do mózgu? Znajdowałem się wówczas na Vicinii i mogłem przeprowadzić niezbędne eksperymenty. Wynik był pozytywny. Teraz stało się dla mnie jasne, co oznaczają tajemnicze głowy na ekranie. To nie był błąd, lecz właściwa odpowiedź, której nie potrafiliśmy zrozumieć.

Czy nie mogłem się mylić? Mogłem. Ale postawiłem wszystko na jedną kartę. Jeszcze tej samej nocy, po kilku godzinach „rozmowy” z Vicinią, w czasie której starałem się jak najjaśniej wytłumaczyć, że chodzi mi o to gdzie, w którym punkcie planety znajdują się owe „nadawcze głowy” — otrzymałem odpowiedź. Z dała od głównych ośrodków wytwórczych, w górskiej kotlinie, kilkadziesiąt niepozornych, płaskich budowli — i to wszystko.

Czy ktokolwiek mógł przypuścić, że to właśnie tu?...

Mimo przekonywających faktów, wskazujących, że nie mogę się mylić, nie zdecydowałem się na zawiadomienie kogokolwiek o wynikach badań. Mogło zajść jakieś nieporozumienie i miast tryumfu czekałaby mnie kompromitacja...

Postanowiłem, że sprawdzę wszystko naocznie, zbiorę niezbite dowody, a za dwa, trzy dni wystąpię z opracowanym gruntownie referatem.

Poszedłem spać, ale nie mogłem zasnąć. Byłem coraz bardziej niespokojny czy się nie mylę. Po dwóch godzinach męczących i denerwujących rozmyślań postanowiłem polecieć na Vicinię jeszcze tej nocy.

Przed odlotem nadałem jeszcze w kierunku Wielkiej Anteny rysunek wyobrazający mój lot do owej kotliny wraz ze zwięzłym wyjaśnieniem słownym, przekodowanym przez automaty tłumaczące. Ponadto włączyłem automat nadający w odstępach dwuminutowych następującą serię prostych sygnałów: jeden krótki, dwa długie, trzy krótkie, jeden długi, dwa krótkie, trzy długie, jeden krótki itd. Miało to ewentualnie ułatwić konfrontację przy nawiązaniu łączności bezpośrednio.

Któż mógł przewidzieć, że sygnały te staną się przyczyną odkrycia tak niezwykłego, że „wielki robot” Ortena wydaje się przy nim naiwnie prostym tworem?

Poleciałem...

*

Co to? Halo radio — dwa, dwa, dwa! Halo! Halo! Wzywam cztery, pięć! Halo! Cztery, pięć! Halo! Czy jest tu kto? Halo! Halo!

*

Widocznie uległem złudzeniu... Albo Vicinianie grzebią czymś w

kleistej mazi. Miałem wrażenie, jakby coś się poruszyło. Włączyłem radio, ale słychać tylko szum. Gdzieś tu musi być jakieś diabelnie iskrzące urządzenie.

Wskazówka tlenometru minęła już cyfrę „70”. Zostało mi jeszcze trzy i pół godziny... Mogę nie zdążyć.

*

Wylądowałem na niewielkiej polanie w pobliżu płaskich budowli. Z uliczki między budynkami wyszło kilku Vicinian, przyglądając się z zainteresowaniem rakiecie. Sądziłem, że to delegacja, która przybyła mnie powitać. Ale oni tylko obeszl wokół mój pojazd i zawrócili.

Dogoniłem ich, próbując nawiązać kontakt, lecz byli to tacy sami Vicinianie, jak ci, których spotykaliśmy tysiącami w różnych punktach globu. Owszem, zatrzymali się, przyjrzeni temu czy innemu szczegółowi mego skafandra, a potem nagle zobojętnieli i zajęli się swymi sprawami.

To na pewno nie byli owi myślący mieszkańcy planety, z którymi „rozmawiałem” przez radio. Byłem jednak przekonany, że gdzieś tu ich spotkam. Wszedłem więc za jednym z Vicinian przez wąski otwór do wnętrza najbliższej budowli. Ciasny korytarz o ścianach świecących zielonym blaskiem prowadził dość stromo w dół. Na jego końcu, w obszernym lecz bardzo niskim pomieszczeniu, kilkudziesięciu Vicinian wykonywało jakieś zagadkowe czynności, przypominające ręczne kształtowanie dziwnych brył z plastycznej masy. Tu zainteresowanie moją osobą było jeszcze mniejsze. Wszelkie próby odwrócenia uwagi Vicinian od tych brył, modelowanych w dużym skupieniu, szybko i sprawnie, napotykały na zdecydowany opór.

Z pomieszczenia tego rozbiegały się w różnych kierunkach dalsze tunele, prowadzące z reguły do podobnych sal, większych i mniejszych. Schodziłem tym labiryntem coraz niżej i niżej, wszędzie napotykając Vicinian zajętych podobnymi czynnościami.

Po dwóch godzinach takiej wędrówki postanowiłem zawrócić. Ogarniał mnie coraz większy niepokój. Nie wiem, skąd zrodziła się obawa, że nie odnajdę wyjścia. Oczywiście, był to nonsens — buty skafandra pozostawiają za każdym krokiem ślad chemiczny, rejestrowany w czasie powrotnej drogi przez czujniki układu orientacji. Chyba rzeczywistą przyczyną było to, że tak wspaniale zapowiadające się odkrycie stawało się coraz bardziej iluzoryczne. Zamiast wyjaśnienia

tajemnicy, stanąłem w obliczu jeszcze jednej zagadki, pogłębiającej dotychczasową naszą bezradność.

W powrotnej drodze postanowiłem uważniej przyglądać się temu, co robią Vicinianie.

Spełniane przez nich czynności są w zasadzie bardzo podobne. Niezwykłe przy tym jest to, iż praca Vicinian wydaje się działaniem pozbawionym sensu. Nie jest ono bynajmniej produkcją jakichś przedmiotów użytkowych czy artystycznych, lecz jakby zabawą, polegającą na nieustannym zmienianiu kształtu brył plastyku drogą stopniowych, nieznacznych przekształceń.

Nie spotkałem nigdzie tworów „gotowych” pozostawionych bez „obsługi”. Zauważyłem, co prawda, że niektórzy Vicinianie przerywali pracę i opuszczali pomieszczenia, dążąc w niewiadomym kierunku, ale następowało to z reguły tylko wówczas, gdy mógł ich czynności przejąć przybyły w tym celu zastępca.

Dotarłem wreszcie z powrotem do wyjścia. Zastanawiałem się chwilę czy nie wrócić na statek, ale czułem, że byłaby to kapitulacja. Postanowiłem zbadać jeszcze, choć powierzchownie, kilka budynków, aby stwierdzić czy nie różnią się przeznaczeniem. Wszędzie jednak zastałem ten sam widok: Vicinianie przekształcający plastyczne bryły.

Czułem coraz większe wyczerpanie fizyczne i psychiczne. Usiadłem na posadzce w jednej z sal, aby chwilę odpocząć. Patrzyłem na szybkie ruchy „rąk” stojącej tuż przede mną istoty i poczęła wzbierać we mnie nienawiść do tych „mrówek”, zajętych swymi sprawami i nie widzących poza nimi świata.

I wtedy właśnie... Początkowo nie zdawałem sobie sprawy... Aż dopiero później, sam nie wiem kiedy... To było jakby nagłe olśnienie!

Ruchy stojącego opodal mnie Vicinianina były dziwnie rytmiczne: jeden ruch, drugi, trzeci, potem dłuższa przerwa, i znów trzykrotne dotknięcie bryły, tym razem jakby silniejsze i dłuższe.

Począłem przyglądać się uważniej innym Vicinianom. Stojący dalej również poruszali rytmicznie narządami chwytnymi. Niektórzy dublowali ruchy mego sąsiada, inni dotykali brył tylko dwukrotnie lub jednokrotnie z dłuższymi przerwami.

Nie miałem wątpliwości: czynności wszystkich były jakby zsynchronizowane, wzajemnie się uzupełniające.

Czyżbym ulegał złudzeniu? Nie! Występował tu wyraźnie cykl: ruch krótki, dwa długie, trzy krótkie, jeden długi, dwa krótkie, trzy długie itd. Zmierzyłem czas: co dwie minuty rozpoczynał się nowy cykl.

To było odbicie sygnałów nadawanych przez pozostawiony przeze mnie automat. Sygnałów płynących z naszego statku, poprzez przestrzeń kosmiczną, w kierunku północnego bieguna Vicinii. Moich sygnałów!

Zmęczenie i wyczerpanie psychiczne ustąpiły natychmiast. Czułem, że znajduję się u progu rozwiązania zagadki. Skrupulatnie zbadałem najbliższe pomieszczenia, czy gdzie indziej nie występuje podobna zależność ruchów. Okazało się jednak, iż tylko w tej jednej sali — i to wszyscy Vicinianie — zajęci są odbiorem moich sygnałów.

Postanowiłem wobec tego pozostać tu tak długo, aż nastąpi „zmiana warty” i może w ten sposób będę mógł dokonać dalszych odkryć.

Dopiero jednak po dwóch godzinach zjawił się „zastępca”. W samym przejściu funkcji nie dostrzegłem nic rewelacyjnego. Podążyłem więc za tym Vicinianinem, który opuszczał salę. Istoty te poruszają się bardzo szybko, toteż z trudem dotrzymywałem mu tempa biegu.

Na szczęście „wyścig” nie trwał zbyt długo. Po wyjściu na zewnątrz budowli Vicinianin pobiegł w kierunku dużego placu na skraju osiedla i tam znikł w jednym z kilkudziesięciu otworów prowadzących pod ziemię.

Nie miałem chwili do stracenia i skoczyłem w głąb stromej pochylni. Światło było tu znacznie słabsze od tego, jakie rozjaśniało salę „roboczą”. Pochylnia prowadziła do rozległego pomieszczenia o bardzo niskim pułapie, tak iż mogłem się tu poruszać tylko na czworakach. Na środku sali dostrzegłem wgłębienie wypełnione po brzegi jakąś czarną cieczą. Przy basenie siedziało kilkadziesiąt pochylonych postaci z ryjkami gębowymi zapuszczonymi w ową ciecz. Nie ulegało wątpliwości, że jest to tylko „jadalnia viciniańska”. Nie było czego tu szukać.

Już miałem zawrócić, gdy przyszło mi do głowy, aby pobrać próbkę owej czarnej cieczy. Tego rodzaju substancji odżywczej nigdzie jeszcze nie spotkaliśmy. Sięgnąłem po próbnik i oparłszy rękę na krawędzi zbiornika nachyliłem się nad basenem, i wtedy właśnie... Nagle poczułem, że osuwam się po śliskiej powierzchni i zapadam głową w gęstą, błotnistą maź.

W jednej chwili smolista ciecz pokryła od zewnątrz przezroczystą

czasę hełmu. Usiłowałem się cofnąć, ale było to niemożliwe. Kleista maź obezwładniała, krępowała jak elastyczną taśmą ręce i nogi. Na próżno usiłowałem zaczepić stopy o brzeg basenu. Za każdym ruchem osuwałem się coraz niżej, aż wreszcie cały znalazłem się w tej topieli. Było to dziewięć dni temu...

*

Basen nie ma dużej głębokości, ciecz jest jednak tak lepka i gęsta, że nie mogę nawet usiąść. Z trudem udało mi się odwrócić na wznak. Próby nawiązania z bazą łączności radiowej nie dają rezultatu. Ze słuchawek dochodzą tylko nieprzerwane trzaski i szумы.

Wiem, że to już koniec. Płyn odżywczy skończył się wczoraj. Raz po raz odzywa się brzęczyk, przypominając, że regeneratory przestały działać i zużywam ostatnią rezerwę tlenu. Miernik wskazuje, że pozostało mi jeszcze dwie i pół godziny...

Do kogo adresuję ten zapis?... Sam już nie wiem... Jak dotąd ciągle mówię o sobie. A przecież nie o to chodzi. Ważne jest tylko to, co w ciągu tych długich godzin oczekiwania końca zrodziło się w mojej głowie. Chyba jednak rozwiązałem zagadkę Vicinii! Muszę teraz dyktować wolno, formułować zdania możliwie jasne, jeśli ONI mają zrozumieć... Czy rozumieją?...

*

Rozwój społeczny ludzkości to proces samoorganizacji wyższego rzędu niż ewolucja biologiczna. Samoorganizacja przebiega tu nie tylko drogą zmian dokonywanych na ślepo i zagłady układów nie przystosowanych do warunków. Jednostki, z których składa się społeczeństwo ludzkie, osiągnęły już tak wysoki stopień rozwoju, iż obdarzone są zdolnością uczenia się, wzajemnego przekazywania doświadczeń i w pewnym stopniu zdolnością przewidywania przyszłości na podstawie dotychczasowej wiedzy o świecie. Stąd obok automatyzmów, ukształtowanych grą przypadku i konieczności, występują w układach społecznoekonomicznych w mniejszym lub większym stopniu sprzężenia stworzone świadomym działaniem organizującym. Rola tego czynnika świadomości wzrasta w miarę wzrostu organizacji układu i zasobu wiedzy o świecie. W ostatnich też dwóch wiekach rozkwit nauki i głębokie przeobrażenia struktury społecznej otworzyły przed człowiekiem możliwości w pełni

świadomego kształtowania swego bytu i kierunku rozwoju cywilizacyjnego.

Znamy również innego rodzaju organizmy społeczne: mrówcze i pszczele, w których na szczeblu jednostki nie ma inteligencji i intelektu, a tylko instynkt, odruchy wrodzone. Taki układ złożony z wielu jednostek, wąsko wyspecjalizowanych, może ewoluować tylko biologicznie. Zdolność uczenia się jest tu tak mała, że automatyzmy można uważać za stałe, niezmiennie od wieków i tysiącleci, służące tylko utrzymaniu gatunku przy życiu.

Nikt z nas — ludzi — nie spodziewał się jednak, że życie może przybrać jeszcze inną formę rozwojową. Formę tak niezwykłą, że nawet koncepcja „cywilizacji robotów” błędnie przy niej.

Na Vicinii nie ma żadnego „wielkiego robota” stworzonego sztucznie przez jej żywych mieszkańców. Nie ma też żadnego zespołu kierowniczego — elity umysłowej — a nawet jeśli są takie zespoły, nie zdają sobie w ogóle sprawy z istnienia Ziemi. Prawdopodobnie bardzo mgliście uświadamiają sobie, że na ich planecie pojawiły się jakieś nieznanne istoty — i to wszystko.

Inteligencja Vicinian jest bardzo ograniczona. O intelekcie w naszym rozumieniu tego słowa w ogóle trudno mówić. Można sądzić, że zdolności poznawcze i twórcze poszczególnych osobników są niezmiernie ubogie w porównaniu z ludzkimi. Nie chcę przez to powiedzieć, iż Vicinianie są „żywymi skamieniałościami” — istotami, które zatrzymały się w rozwoju biologicznym i umysłowym. Na takie wnioski jeszcze za wcześnie. Niemniej, na szczeblu jednostki przejawiają oni więcej cech mrówczych niż ludzkich.

Spółceństwo viciniańskie nie jest jednak mrowiskiem. Nie jest ono również społeczeństwem przypominającym, choćby w najogólniejszym zarysie, społeczeństwo ludzkie. Niezwykłość jego polega na tym, że jest ono, nie w przenośni a rzeczywiście, organizmem złożonym z milionów komórek, którymi są żywe istoty-Vicinianie. Co ciekawsze, w wyniku samoorganizacji, w organizmie tym wytworzyło się coś, co można by nazwać myślącym mózgiem.

Ten „mózg” obdarzony jest odrębną świadomością, niezależnie od ograniczonej świadomości jednostek, które go tworzą.

Jeśli mówię o świadomości, to rzecz jasna, tylko w sensie

funkcjonalnym, w sensie podobieństw struktury sieci nerwowej i mózgu do układu sprzężeń w społeczeństwie viciniańskim.

Wiedzieliśmy już dawno, że o zakresie funkcji układu decyduje struktura, a nie skład chemiczny materii, z jakiej układ jest zbudowany. Nauczyliśmy się budować maszyny zdolne do naśladowania wszelkich funkcji mózgu ludzkiego. Nie przypuszczaliśmy jednak, że może powstać mózg złożony z milionów istot żywych, w którym sprzężenia będą sprzężeniami społecznymi. I że ten mózg potrafi myśleć i odczuwać własne istnienie, poznawać świat, gromadzić wiedzę i korzystać z niej dla dalszego przeobrażania świata.

Z Ziemią nawiązała kontakt nie „mrówka” lecz „istota-społeczeństwo” — przedstawiciel wielu takich „istot-społeczeństw” zamieszkujących tę planetę. Mówię — wielu, gdyż nie mam bynajmniej zamiaru kwestionować tezy, że powstanie istoty inteligentnej i obdarzonej świadomością jako jedyne go mieszkańca jakiejś planety — jest niemożliwe. To, co nazywamy świadomością, może wytworzyć się tylko w społeczeństwie złożonym z wielu jednostek. Tu zaś owymi „jednostkami” są całe organizmy społeczne.

Im dłużej myślę, tym silniej umacniam się w przekonaniu, że cywilizacja Vicinian jest właśnie takim niezwykłym tworem natury, w którym pełna świadomość, w naszym rozumieniu, pojawiła się dopiero na szczyblu organizmów społecznych.

Zbyt mało zebrałem danych, abym był w stanie nakreślić jakąś rozbudowaną hipotezę dotyczącą drogi ewolucyjnej tych tworów. Widzę już jednak jej zarys. Początek rozwoju społeczeństw viciniańskich mógł nawet przebiegać podobnie do naszego, ludzkiego. Być może rozwój ten osiągnął nawet stopień odpowiadający produkcji wielkoprzemysłowej, I oto nastąpiło zahamowanie, a nawet cofnięcie rozwojowe. Jego źródło należy chyba szukać w strukturze ekonomicznej i politycznej społeczeństw zamieszkujących tę planetę.

Poziom życia Vicinian jest zastanawiająco niski. Wydaje się, że ich potrzeby ograniczają się do najbardziej elementarnych. „Kultura pałacowa” dowodzi, że nie zawsze tak było, ale wskazuje, iż chodziło tu o uprzywilejowane grupy społeczne. Dlaczego jednak po ich upadku nie podźwignięto w górę poziomu życia całego społeczeństwa, jak to miało miejsce na Ziemi?

Czyżby prymat potrzeb ogólnospołecznych nad jednostkowymi przybrał tu, na Vicinii, wynaturzoną postać? Nie tylko lepsze warunki mieszkaniowe czy komunikacyjne, ale i proste zróżnicowanie pożywienia łatwo uznać za niepotrzebny luksus...

Ale czy tego rodzaju tendencje mogą spowodować trwałe zmiany w strukturze psychicznej jednostek? Wydaje się to nieprawdopodobne. Przyczyny muszą być inne! Może zmiany regresywne miały podłoże biologiczne? Dawne społeczeństwo viciniańskie mogło się składać, powiedzmy, z różnych ras... Przecież szkielety...

Nie! To niczego nie wyjaśnia! Nie znaleźliśmy jeszcze dowodów na to, że wszyscy mieszkańcy dawnej Vicinii nie byli podobnego wzrostu i budowy. Raczej rasizm, a nie rzeczywiste różnice rasowe, mógł być przyczyną regresu społecznego. Czy kluczem do rozwiązania zagadki nie może być względnie wysoki poziom biochemii w okresie „kultury pałacowej”? A może owa „kultura pałacowa” była tylko specyficzną formą rządów typu faszystowskiego? Może dawni władcy Vicinii spowodowali sztucznie takie zmiany genetyczne w organizmach swych współplemieńców, które ułatwiały im panowanie nad nimi? Może właśnie oni doprowadzili do zaniku intelektu i ograniczenia świadomości tych istot? Przypieczętowało to ich własny los. Tego rodzaju układy społeczne tylko na pozór wydają się trwałe. Tyrania nie może na długo zachować stabilności. Powoduje ona wynaturzenie organizacyjne, blokowanie informacji niezbędnych do sterowania układem i wzrastające marnotrawstwo sił społecznych — słowem: prowadzi do groźnych dla dalszego rozwoju wypaczeń strukturalnych. Rozpad systemu i ostateczną katastrofę mogły przyspieszyć mordercze wojny i klęski żywiołowe.

Ale zagłada „rasy władców” nie oznaczała końca cywilizacji viciniańskiej. Siły samoorganizujące w społeczeństwach są niespożyte! Co prawda, jednostkowe działania organizujące nie były już w stanie zapewnić równowagi wewnątrzustrojowej, lecz próby reorganizacji ogarniały w coraz większym stopniu poszczególne społeczeństwa, jako autonomiczne elementy układu wyższego rzędu, obejmującego całą planetę. Między tymi organizmami tworzył się, drogą samoorganizacji, układ sygnałowy, stanowiący podstawę intelektu. Może zresztą proces ten ułatwiały pewne automatyzmy społeczne stworzone celowo jeszcze

w okresie "kultury pałacowej"? Wszak musiał on przebiegać bardzo szybko w ciągu kilku czy kilkunastu tysięcy lat. Ta zagadka też jeszcze wymaga rozwiązania.

Tak oto proces przeobrażeń pogłębiał się, organizmy społeczne ewoluowały w kierunku takiej struktury która przypomina strukturę mózgu istoty inteligentnej. Wreszcie, niedostrzegalnie dla samych Vicinian te „organizmy-społeczeństwa” zaczęły przejawiać działania o charakterze świadomym. To, co nie mogło być już osiągnięte na szczeblu społeczeństw złożonych ze świadomie działających pojedynczych osobników, w drodze przeobrażeń zrealizowane zostało na szczeblu całych społeczeństw, i właśnie owe „istoty-społeczeństwa” — obdarzone indywidualnością podobną do indywidualności jednostek ludzkich — postanowiły zbudować Wielką Antenę, aby poszukać we wszechświecie innych „istot-społeczeństw”...

Może zresztą myślę się sądząc, że powstanie „istot-społeczeństw” jest wynaturzeniem. Może jest to świadomość wyższego rzędu, aniżeli świadomość jednostkowa? Nie ulega chyba wątpliwości, że powstanie jej było nie pogłębieniem, lecz pokonaniem regresu. Ale czy taka jest normalna droga rozwoju?

Tak czy inaczej — nasza droga jest inna. I chyba... piękniejsza. Nie w zatraceniu indywidualności, lecz w najpełniejszym rozwoju intelektualnych wartości współdziałających ze sobą jednostek tkwi siła społeczeństwa ludzkiego!

A może istnieje jeszcze możliwość czwarta? Może również w społeczeństwie złożonym z istot o wysokim poziomie intelektualnym wytwarza się z czasem taki układ sprzężeń, że nabiera ono cech istoty obdarzonej świadomością? Skąd zresztą wiemy, czy my sami już dziś...

Nie! To bzdura! Plotę nedorzeczości. Czy w ogóle całe moje rozumowanie ma jakiś sens? Może po prostu majaczę?

Nie dowiem się nigdy czy miałem rację. Ale ludzie dowiedzą się. Dowiedzą się na pewno!

Orten był zresztą już bliski rozwiązania zagadki... jeszcze tydzień, dwa, a na pewno doszedłby sam do takich wniosków. On już to przeczuwał, gdy mówił o „nosicielach informacji”. On mi podsunął pierwszą myśl...

*

Coś jakby dotknęło mojej nogi! Znów! jakby ktoś próbował zamieszać tę kleistą ciecz.

Oczywiście Vicinianie. Uzupełniają zapas pożywienia. A może będą czyścić zbiornik? I wydobędą mnie z tej mazi? Byle odzyskać jaką taką swobodę ruchów...

Nie będę więcej dyktował — trzeba oszczędzać tlen.

*

Minęło już półtorej godziny i nic. Pewno tylko uzupełniali zapas cieczy. Tak jak poprzednio...

Coraz duszniej...

Po co ja w ogóle się łudzę? Przecież to sprawa przesądzona. Te debile nic mi nie pomogą, a koledzy w bazie nie wiedzą nawet, gdzie jestem. Koledzy... Chyba nikt nie potrafił mnie zrozumieć. Czy naprawdę zrobią wszystko, aby mnie uratować? Ale cóż mogą zrobić?

Przecież oni mnie nie odnajdą. Skąd mogą przypuszczać, że lądowałem tu, w górach. Zresztą, chyba odnajdą, ale po wielomiesięcznych poszukiwaniach. W tym czasie nie będę już żył...

Orten... On jeden mógłby mnie odnaleźć wcześniej. Gdyby chciał. Ale po co się łudzić? Moja śmierć rozwiązuje wiele problemów życiowych Ortena. Będzie mógł znów być „duszą ekspedycji”. Przejdzie do historii jako ten, który rozwiązał zagadkę Vicinii. Na pewno ją rozwiąże. Nie ulega wątpliwości. On jeden potrafi spojrzeć z dostateczną śmiałością na ten świat niezwykły. Nie wiadomo, czy już nie trafił na właściwy ślad. Z pewnością zastanowiło go, dlaczego włączyłem sygnalizator. Ale czy można przypuszczać, aby po tym wszystkim, co między nami zaszło, mógł jeszcze chcieć mnie ratować?

Ale ja mu nawet po śmierci nie dam spokoju. Przecież jeśli odkryje zagadkę Vicinian, to i mnie musi odnaleźć. Oczywiście odnajdzie mnie wówczas, gdy nie będę żył. Tak będzie dla niego najlepiej. Ale się pomyli. Znajdzie w skafandrze mój zapis. Wystarczy cię podejrzenia, iż grał na zwłokę... Bo przecież jest to zupełnie możliwe. Ja tego bynajmniej nie mówię przez złośliwość... Jestem przekonany, że wówczas, gdy wystąpiłem ze swą propozycją, znajdował się zaledwie o krok od znalezienia właściwego tropu.

Chyba jednak bez ICH pomocy nie będzie mógł mnie odnaleźć. Takich ośrodków „mózgowych” może być tysiące... A czym ja jestem dla

„istot-społeczeństw”? Czy oni potrafią pojąć różnicę?...

*

Znów coś się poruszyło. O! Coś mnie trąciło w bok... Teraz w nogę. Wyraźnie czuję, że coś mnie ciągnie za stopę. Metal? Jakiś metal...

Co oni wyprawiają? Och, jak boli!

To chyba koniec wszystkiego... Byle szybciej... Skafander na pewno nie wytrzyma!

Ratunku!!!

Co to?! Kto??!

Orten? Więc to ty?!...

Algi

W początkach maja 2047 roku radiolokatory wielkiego transportowca międzyplanetarnego „Ar-12” dostrzegły w odległości miliona dwustu tysięcy kilometrów od Marsa statek orbitalny niewiadomego pochodzenia.

Wobec tego, że próby nawiązania łączności radiowej nie przyniosły rezultatu — wysłano raketę zwiadowczą dla wyjaśnienia zagadki. Nieznany statek okazał się wrakiem członu podróznego wielostopniowej rakiety międzyplanetarnej „Amarylis”, która zginęła pół wieku temu nie dotarwszy do celu swej podróży. Ciał załogi nie znaleziono. Nie stwierdzono żadnych uszkodzeń zespołu napędowego ani innych urządzeń wewnętrznych.

Co się stało z sześciu uczestnikami ekspedycji „Amarylis”?

W kabinie nawigacyjnej odnaleziono dziennik pokładowy oraz osobisty pamiętnik dowódcy statku — dra Erwina Holwitza. Oto fragmenty końcowej części tego pamiętnika, rzucającego wiele światła na tragiczne losy wyprawy:

*

24 sierpnia — 227 dzień podróży

Czas wlecze się nieznośnie... Jeszcze 30 dni do wejścia na orbitę parkingową. Wszyscy czekamy na tę chwilę, i chyba nie tylko dlatego, że oznaczać będzie dotarcie do celu. Świadomie czy podświadomie liczymy na to, że przyniesie ona rozładowanie napięć, jakie narosły w ostatnich miesiącach w naszym ciasnym świątku. Co prawda, zgodnie z programem dopiero 15 listopada lądowanie członu transportowego. Ale przez te osiem tygodni na orbicie parkingowej nikt nie będzie miał czasu na głupstwa. Bo to wszystko są głupie, bezsensowne utarczki.

Choroba Stefana, niestety, w dużym stopniu dezorganizuje normalny tok pracy. Nie twierdzę, że nastąpiło jakieś rozprzężenie. Gabriel i Mira wykonują swoje codzienne obowiązki, zaś Emil nie tylko ma sporo kłopotów ze Stefanem, ale jeszcze musiał przejąć najbardziej czasochłonne jego funkcje. Nie przypuszczałem, że choroba jednego członka może aż do tego stopnia skomplikować sytuację.

Coraz bardziej niepokoję się o Joannę. Obawiam się, że długo tak nie pociągnie. Choć muszę przyznać, że dzisiejszy ranny przekaz z Ziemi przyjęła nad podziw spokojnie. Z diagnozy Instytutu Feldhausena wynika niedwuznacznie, że w istocie pozostało nas pięcioro...

Od jutra przystępujemy z Emilem i Mirą do przeprowadzania zmian w programie prac na powierzchni Marsa.

25 sierpnia — 228 dzień podróży

Znów doszło do awantury. Musi nastąpić rozładowanie, bo inaczej...

Gabriel ma rację twierdząc, że nie można tego tolerować. Ze Stefanem porozmawiam jednak dopiero jutro, jak trochę ochłonie. Może to okrutne, nieludzkie, ale chwilami pragnę, żeby wreszcie był koniec. Biedna Joanna...

Stefan widocznie poczuł się dziś trochę lepiej, bo zaraz po przebudzeniu wstał o własnych siłach z koi i poszedł do łazienki. Joanna i Emil chcieli go przeprowadzić chociaż przez korytarz, ale odmówił dość opryskliwie, twierdząc, że nie potrzebuje niczyjej pomocy.

Gdy Stefan wyszedł, Joanna usiadła na brzegu koi Emila i zaczęły rozmawiać szeptem. Rozmowa dotyczyła, zdaje się, stanu zdrowia Stefana, a zwłaszcza wyniku ostatnich analiz i pesymistycznej diagnozy otrzymanej z Ziemi. Naraz drzwi się otwały. Stefan wszedł tak niespodziewanie, że Emil i Joanna odskoczyli odruchowo od siebie i zamilkli raptownie.

Stefan początkowo nie odezwał się ani słowem, ale gdy Emil wyszedł na chwilę do laboratorium, zaczął Joannę zasypywać zupełnie absurdalnymi zarzutami. Tymczasem wrócił Emil i nie wiedząc prawdopodobnie o co chodzi, próbował Stefana uspokoić. Rezultat był taki, że Stefana ogarnęła jakaś obłądna wściekłość. Oskarżył wręcz Emila i Joannę, że czekają tylko na jego śmierć. Po awanturze znów czuł się gorzej i wieczorem nie miał już nawet siły siedzieć.

26 sierpnia — 229 dzień podróży

Dziś w południe Stefan dostał krwotoku. Chyba to już naprawdę koniec. Jest nieprzytomny. Majaczy ciągle o jakiejś truciznie.

Gabriela cały wieczór męczyły torsje. Od Stefana bije coraz wyraźniej odór gnijącego ciała. Trupi zapach... To potworne, gdy

człowiek rozkłada się jeszcze za życia...

Niestety, nie ma go gdzie przenieść. W kabinie nawigacyjnej, a tym bardziej w laboratorium brak miejsca na zainstalowanie koi. Musimy żyć razem, wszyscy sześcioro, stłoczeni na niecałych dziesięciu metrach kwadratowych powierzchni. W tych warunkach niełatwo utrzymać dyscyplinę. Joanna jest już zupełnie załamana. Emil robi co może — wątpię jednak czy na wiele się to zda...

Muszę stwierdzić, że nie zawiodłem się na Mirze. Chyba ona jedna spośród całej załogi nie traci zimnej krwi.

Rewizją programu zajmiemy się jutro, bo Emil musi stale czuwać przy Stefanie. Opracowałem już zresztą wstępny zarys zmian. Oczywiście ograniczenie programu AF nie wchodzi w rachubę. Zespoły fotosyntezy muszą być zainstalowane i zadanie to będzie wykonane, choćby kosztem wszystkich programów badawczych. Wobec tego, że na Stefana nie ma co liczyć, będę musiał sam pilnować wszystkiego. Przy pełnym instruktażu z Ziemi nie powinno być zresztą większych kłopotów.

Mars coraz bardziej nas „dogania”. Czerwony Glob świeci teraz blaskiem wielokrotnie silniejszym niż Wenus widziana z Ziemi w najdogodniejszym położeniu.

27 sierpnia — 230 dzień podróży

Stefan jeszcze żyje. Odzyskał nawet przytomność. Zdaje się, że zaczyna rozumieć, jak bardzo krzywdzi Joannę posądzeniami. W południe rozmawiałem...

28 sierpnia — 231 dzień podróży

Nie mogłem wczoraj dokończyć notatek. Ścisłej — zaledwie zacząłem pisać — w kabinie nawigacyjnej pojawił się Emil ze wstrząsającą nowiną. Od tego, czy potrafimy skutecznie przeciwdziałać niebezpieczeństwu, zależą nie tylko losy ekspedycji...

Nie należy wyciągać zbyt pochopnie wniosków. Ograniczę się więc tylko do możliwie ścisłej relacji:

27 sierpnia Emil, przechodząc do łazienki korytarzem okrężnym, gdzie zainstalowane są zespoły aparatury AF, zauważył w okienku kontrolnym jednego ze zbiorników głównych czerwono-żółtawe światło. Był to zespół III. Jak wiadomo, woda ma zabarwienie zielonkawe

jeśli proces wegetacji chlorelli przebiega normalnie. Zaintrygowany zmianą koloru wody Emil otworzył górną klapę zbiornika i wówczas poczuł ze zdziwieniem woń gnijących glonów. Pobrał więc próbkę i niezwłocznie przeprowadził badania mikroskopowe.

Algi były martwe. Zmiana barwy wskazywała na zaburzenia w przemianie materii. U młodszych komórek wystąpiły objawy skąrowacenia.

Od trzech miesięcy, a więc od czasu pogorszenia się stanu zdrowia Stefana, opiekę nad algami przejął Emil. W cotygodniowej, szczegółowej kontroli wszystkich zespołów uczestniczyłem również ja, rzadziej Joanna. I muszę tu stwierdzić kategorycznie, że nie było dotąd żadnych niepokojących oznak.

Sytuacja jest niełatwa. O zawiadomieniu Ziemi nie ma mowy. Co najwyżej umownym znakiem, ale wątpię aby coś to dało. Musimy sami sobie radzić — instrukcja Mayerlincka była jednoznaczna. Gdybym się nie zgodził na ten warunek, ekspedycja w ogóle nie doszłaby do skutku. A właściwie — z pewnością by doszła, tyle, że poprowadziłby ją ktoś inny, kto by nie miał wątpliwości.

Zresztą idzie tu nie o wątpliwości, lecz o świadomość wyższych racji. Program AF to coś więcej niż eksperyment naukowy. Nasze życie jako królików doświadczalnych wliczone jest w rachunek strat i zysków. I w istocie jest mniej warte niż życie tych cholernych alg... Nie ma w tym stwierdzeniu wcale przesady, ani też goryczy. O tym wiedzieliśmy od samego początku i z góry zgodziliśmy się na taką właśnie sytuację. Wiadomo było od chwili startu, że zdani jesteśmy tylko na własne siły.

Nie chodzi tu tylko o to, że wiadomość o kłopotach z algami oznaczałaby katastrofę dla Alga-Food Corporation. Jestem przekonany, że Mayerlinck ma rację — właśnie od tych alg, od naszej szczególnej symbiozy z nimi, zależy przyszłość wyżywienia świata. Bez tak namacalnego dowodu, jak sukces naszej ekspedycji trudno będzie przełamać nieufność milionów głodnych ludzi. Powiedziałem to wszystko Emilowi i chyba zrozumiał...

Rzecz jasna chodzi również o nasze życie. Nie wolno dopuścić do powtórzenia się tego rodzaju przypadków. Przecież od prawidłowego przebiegu procesów fotosyntezy u tych glonów zależy nie tylko to czy będziemy mieli czym oddychać, ale również czy pożywienie nasze

zawierać będzie wszystkie niezbędne do życia składniki. Chlorelle czerpią z wody rozpuszczone w niej sole mineralne, dwutlenek węgla i azot. Azot, sole mineralne i wodę wydobywamy z fekaliów. Dwutlenek węgla wydychają nieustannie nasze płuca. Z tej pożywki, pod wpływem światła, glony wytwarzają tlen, a jednocześnie gromadzą w swych komórkach tak cenne produkty organiczne, jak skrobię, tłuszcze, białka, a nawet witaminy i hormony. Ten stały obieg niektórych pierwiastków w mikroprzyrodzie naszego statku musi być utrzymany za wszelką cenę. Nie ma dla nas alternatywy. Dysponujemy tylko niewielkimi, rezerwowymi zapasami tlenu i żywności, które wystarczą zaledwie na kilka tygodni niezbędnych do zainstalowania bazy i glonów na powierzchni Marsa.

Właśnie fakt, że nie zabraliśmy żadnych większych rezerw, ma stanowić oczywisty dowód niezawodności aparatury AF, co jest przecież jednym z koronnych, szeroko rozpropagowanych argumentów na rzecz wysuniętego i finansowanego przez AFC programu powszechnej rewolucji żywnościowej. Chodzi przecież o udowodnienie, o wykazanie w sposób jak najbardziej zrozumiały dla każdego, że algi mogą w pełni zastąpić tradycyjne pożywienie. Od startu do powrotu na Ziemię minie przecież dwa lata i dwieście czterdzieści dni.

Nic dziwnego, że w tych warunkach najmniejsze zakłócenie vegetacji alg wymaga najbaczniejszej uwagi i musi wzbudzić niepokój. Cóż dopiero, gdy z niewyjaśnionych przyczyn ginie cała kultura glonów? To już nie sygnał ostrzegawczy — to alarm!

Emil zaklina się, że 24 sierpnia, kiedy sprawdzał działanie podajników pożywki i rozpylaczy dwutlenku węgla, w żadnym ze zbiorników nie dostrzegł zmian. Ja również jestem pewny, że pięć dni temu wszystko było w porządku. Sam zresztą kontrolowałem właśnie zespół III.

W rachubę może wchodzić tylko jedno — zatrucie. jakiś środek działający zabójczo na chlorelle musiał dostać się do aparatury.

Emil zaraz po stwierdzeniu, że glony wyginęły, przeprowadził analizę wody. Wynik był zaskakujący. Żadnych znanych roślinobójczych środków chemicznych nie stwierdził. Zawierała ona jedynie... tonargal w stanie znacznego rozcieńczenia. Jak wiadomo tonargal jest środkiem psychotropowym — uspokajającym, kojącym bóle, działającym dodatnio

na samopoczucie.

Używa go ostatnio Stefan w znacznych ilościach, czasami Gabriel. Nikt nie przypuszczał, aby specyfik ten mógł działać niszcząco na algi.

Istnieją tylko trzy drogi, którymi trucizna mogła się dostać do zbiornika: albo bezpośrednio przez otwór kontrolno-roboczy przy separatorze wirówkowym, albo przez przewody podajnika wraz z wodą i pożywką, lub też przewodem gazowym przez rozpylacz.

Przewody rozpylacza zbadał Emil wraz ze mną. Są zupełnie suche i czyste. Jeśli tedy wiano by tonargal, choćby przed miesiącem, na pewno znaleźlibyśmy jakiś ślad. Po cóż by zresztą go wlewano?

Możliwość dostania się trującej dla alg substancji wraz z pożywką i wodą również musieliśmy odrzucić. Pożywkę otrzymujemy z wydaliny po przejściu ich przez szereg pochłaniaczy i filtrów, w których tonargal powinien być rozłożony i pochłonięty. Również woda regenerowana jest chemicznie. Co prawda, na początku podróży mieliśmy z tą częścią aparatury nieco kłopotu, tym razem jednak możliwość zanieczyszczenia lub uszkodzenia pochłaniaczy i filtrów musimy wykluczyć. Pracują one łącznie dla trzech zbiorników, jeśliby więc trucizna przedostała się przypadkowo z przewodów kanalizacyjnych — zatruciu musiałyby ulec od razu trzy kultury alg. Tymczasem przejrzelismy dokładnie pozostałe jedenaście zbiorników głównych i nigdzie nie znaleźliśmy żadnych śladów obumierania glonów.

W tej chwili Emil przeprowadza jeszcze dla pewności analizę wody ze wszystkich zespołów. Zdobędziemy więc niezbity dowód czy trucizna przedostała się do zbiornika wraz z pożywką, czy też inną drogą. Chcielibyśmy uniknąć skomplikowanych zabiegów przy rozmontowywaniu pochłaniaczy i filtrów.

Chodzi tu oczywiście tylko o zdobycie pewności, gdyż w zasadzie ta droga wydaje się bardzo mało prawdopodobna.

Pozostała otwarta sprawa przeniknięcia tonargalu drogą zewnętrzną przez otwór kontrolno-roboczy, niemal zawsze zamknięty klapą. W takim przypadku trzeba by chyba założyć, że trucizna dostała się do zbiornika... nieprzypadkowo. Emil jest zdania, że należy zachować ścisłą dyskrecję, co wydaje się przesadą. Trzeba chyba powiadomić Stefana. Przecież on tu jest fachowcem — współkonstruktorem aparatury AF i specjalistą od glonów.

Ostatecznie można jeszcze poczekać do jutra na wyniki analiz.

29 sierpnia — 232 dzień podróży

Wyniki analiz przeprowadzonych przez Emila wypadły ujemnie. Znalazł on, co prawda, w trzech czy czterech zbiornikach ślady tonargalu, a ściślej — niektórych jego frakcji, ale ślady są tak nieznaczne, że nie mogą mieć żadnego wpływu na vegetację alg. Prawdopodobnie filtry stale przepuszczają w nieznacznych ilościach niektóre składniki płynów wylewanych do urządzeń kanalizacyjnych, na przykład z laboratorium.

Jednocześnie Emil przeprowadził inne decydujące doświadczenie: w dwóch identycznych słojach założył miniaturowe kultury alg. Jeden słoć wypełnił płynem pozostałym po zatrutej hodowli, drugi — roztworem tonargalu pobranego z nowego flakonu. W pierwszym słoju glony zginęły w ciągu kilku godzin. W drugim już teraz widać wyraźnie, że cała kultura do rana będzie martwa.

Możemy więc z całkowitą pewnością uznać za udowodnione, że tonargal zabija chlorelle, oraz to, że dostał się on do III zbiornika bezpośrednio z zewnątrz.

Zaczynam teraz rozumieć, dlaczego Emil prosił mnie, abym starał się zachować całą sprawę w tajemnicy przed innymi kolegami. Algi zostały zatrute. Kto to zrobił? I dlaczego? Na nas dwóch spada obowiązek wyjaśnienia zagadki i to jak najprędzej. Mam już zresztą pewne podejrzenia...

Stefan czuje się trochę lepiej. Zaczyna nawet siadać.

30 sierpnia — 233 dzień podróży

Podejrzenia moje znalazły potwierdzenie. Nie ulega już chyba wątpliwości, kto wprowadził tonargal do zespołu III. Zrobił to Stefan. Emil wyszedł nawet, kiedy to nastąpiło. 25 sierpnia. Wówczas, gdy poszedł sam do łazienki. Aby tam dojść, trzeba przecież przejść tę część korytarza okrężnego, w której znajdują się zespoły I-VI. Nic łatwiejszego, jak odsunąć kłapę i wlać truciznę.

Przypuszczam, że Emil od razu podejrzewał Stefana, bo jakoś bardzo pewnie szedł po śladach. Nie dziwię się mu. Gdy przejrzałem notatki z ostatnich dni, i dla mnie wszystko nabrało jasności.

Emil pamiętał, że w środę przyniósł Stefanowi nowy flakon

tonargalu. Butelka stała na stoliku obok koi jeszcze w czasie wieczornej sprzeczki. Później zniknęła. Emil znalazł ją w łazience, w szafce pod umywalnią. Flakon był pusty. Nie mówiąc o tym nikomu (nawet mnie) zapytał Stefana czy ma jeszcze tonargal. Stefan wyraźnie się zmieszał.

— Jeszcze mam — odburknął po chwili. — Zresztą czuję się dobrze i nie potrzebuję żadnych lekarstw.

Emil zwrócił się wówczas do Joanny:

— Czy Stefan brał dziś tonargal?

Joanna zaprzeczyła ruchem głowy i zdaje się chciała jeszcze coś odpowiedzieć, ale Stefan nie dał jej przyjść do słowa:

— Będę brał lekarstwa wtedy, kiedy zechcę! Cóż to za kontrola? Nie dam się wykończyć!

Emil nie zareagował jednak na zaczepkę.

— Kontrola jest moim obowiązkiem — odparł spokojnie. — Obowiązkiem chorych jest słuchać lekarzy. A jeśli chodzi o to czy będziesz brał lekarstwa, to czasami trzeba leczyć chorych wbrew ich woli.

Zanim Stefan zdążył coś odpowiedzieć, Emil otworzył szafkę pod nocnym stolikiem. Stało tam kilka butelek po lekarstwach, w tym trzy po tonargalu. Oczywiście były to stare, puste butelki.

— Gdzie tonargal? — zapytał Emil.

— Nie będę pił tego świństwa! — odpowiedział Stefan.

— Gdzie jest flakon, który ci dałem dwudziestego czwartego sierpnia?

— Nie wiem — Stefan wzruszył ramionami. — Joanna zabrała.

— Nie brałam — zaprzeczyła Joanna.

— Widocznie wypilem. Daj mi spokój! — wyraźnie chciał uniknąć rozmowy na ten temat.

Emil postanowił jednak przycisnąć go do muru.

— Tyś tego tonargalu nie wypił — powiedział spokojnie, ale stanowczo.

— Tak. Nie piłem! — potwierdził z nienawiścią.

— Tyś wylał? — przygwoździł go Emil. — Tyś wlał go do...

Stefan uniósł się na posłaniu i wyrzucił ochryple z siebie:

— A więc wiesz?

— Wiem! — odrzekł Emil i wyszedł z kabiny.

— Co to wszystko znaczy? — zapytała wówczas Joanna. — Dlaczego wylałeś tonargal?

Stefan jednak nic nie odpowiedział. Opadł z powrotem na poduszki i patrzył ponuro w sufit.

Poszedłem szukać Emila. Zastałem go w laboratorium przy słoikach z algami. Również w drugim słoju glony zmieniły barwę.

Emil powiedział mi o znalezieniu pustej butelki w łazience. Miał początkowo nadzieję, że zatrucie zostało spowodowane przypadkowo. Teraz jednak ze słów Stefana wynikało, że działał świadomie.

Dlaczego? Czym się kierował niszcząc hodowlę? Czyżby chciał śmierci wszystkich? Nie ma chyba innego wytłumaczenia, jak obłąd. Widocznie również mózg został zaatakowany. Wszystko to bardzo komplikuje sytuację. Jak już wspomniałem poprzednio — nie mamy gdzie izolować Stefana. A przecież w obecnych warunkach stan jego zagraża życiu nas wszystkich. Nie mówię już o tym, że może dostać szału w nocy i poderznąć nam gardła, albo porozbijać głowy jakimś metalowym prętem. Może on przecież zatruć nie tylko wszystkie algi, ale również wprowadzić jakąś truciznę do przewodów wodnych, uszkodzić urządzenia energetyczne, nawigacyjne, ba, nawet wywołać eksplozję zbiorników z paliwem.

Od dzisiejszego dnia trzeba stale dyżurować przy nim — w dzień i w nocy. Musimy to robić na zmianę z Emilem, gdyż postanowiłem zachować całą sprawę w tajemnicy. Być może Stefan działał z polecenia jakichś wrogów AFC. W tym celu wystarczyłoby zatruć parę kolonii. Może liczy, że ktoś nie wytrzyma nerwowo i zaalarmuje Ziemię? Albo zrobi to sam. Co ma w obecnej sytuacji do stracenia?

Podziwiam dalekowzroczność Mayerlincka... Dla pewności wymontuję niektóre elementy nadajników. Mogę je nosić przy sobie i zakładać tylko w czasie seansów łączności.

Oczywiście, nadal przekazuję na Ziemię informacje, że „wszystkie urządzenia pokładowe statku „Amarylis” pracują normalnie”... Mayerlinck może być spokojny.

31 sierpnia — 234 dzień podróży

Widzę, że coraz więcej czasu zajmuje mi pamiętnik, lecz zaczynam traktować pisanie jak obowiązek. Warto też stale mieć w pogotowiu

taśmę. Nagrywanie ułatwia później analizę faktów.

Stan psychiczny Stefana jest bardziej skomplikowany niż myślałem. To nie był sabotaż z polecenia jakiejś wrogiej AFC korporacji. Stefan nienawidzi Emila i ta nienawiść stanowi główny motyw jego działania w stanie obłądu. W tych warunkach nie sędzę, aby należało ukrywać przed nim, iż wiemy co zrobił.

Niemniej popełniliśmy błąd taktyczny. Emil chciał zbadać, jakie jest podłoże psychozy Stefana — czy istotnie chodzi o nowotwór mózgu czy też występują tu jakieś inne przyczyny zaburzeń, które można by ewentualnie usunąć, a przynajmniej złagodzić ich działanie. Trzeba było jednak przekonać Stefana, żeby się zgodził na prześwietlenie głowy. Emil postanowił przeprowadzić wstępną rozmowę bez świadków i przy okazji wy badać, dlaczego Stefan zatrzał algi. W tym celu zabrałem do kabiny nawigacyjnej Gabriela, Mirę i Joannę dla omówienia przygotowań do lądowania na Marsie, a Emil pozostał sam ze Stefanem.

Rozmowa trwała tylko dziesięć minut i miała bardzo dramatyczny przebieg. Podaję ją według zapisu, gdyż poleciłem Emilowi aby nagrał rozmowę na taśmę magnetofonową:

EMIL Jak się czujesz?

STEFAN (milczy)

EMIL Znów męczą cię bóle głowy?

STEFAN Daj mi spokój!

EMIL Chciałbym się ciebie poradzić w pewnej sprawie. Chodzi o... algi...

STEFAN (milczy chwilę, potem mówi zmęczonym głosem) No więc? Słucham.

EMIL W jednym ze zbiorników głównych... w „trójce”... (nie kończy) (chwila milczenia)

STEFAN No i co z tym zbiornikiem?

EMIL (z wahaniem) Woda zmieniła kolor... żółkła...

STEFAN To niedobrze. Sprawdź działanie pompy. Może za dużo nagromadziło się gnijących resztek?

EMIL Czy nie sądzisz, że to może być tonargal?

STEFAN (głosem zmienionym, trochę drżącym) Tonargal? Co ty pleciesz? Skąd tonargal?

EMIL Przecież ty sam wlałeś tonargalu do otworu przy seperatorze trzecim (długa chwila milczenia)

STEFAN Czyś ty czasem nie zwariował? Co ty chcesz mi wmówić?

EMIL Nic ci nie chcę wmówić. Więc ty nie wlewałeś tonargalu do zespołu trzeciego?

STEFAN Po co miałbym wlewać?

EMIL Przecież wiesz, że tonargal zabija algi.

STEFAN Zabija algi? Nonsens!

EMIL (wyraźnie wytrącony z równowagi) Sprawdziłem doświadczalnie. Przecież sam mówiłeś rano, że wylałeś tonargal... Ten, który ci dałem dwudziestego czwartego sierpnia.

STEFAN (wybuchając nagle histerycznym śmiechem) A więc jednak była to trucizna! A? Więc nie myliłem się! Trucizna!... Czułem dobrze, że chcesz mnie otruć! A już rano zaczynałem wątpić... Tak zręcznie się maskowałeś!... Hiena! Hiena! Wszyscy jesteście hieny! Co za potwory! Czego chcesz ode mnie? Czego? Nie dość ci, że chcesz zabrać mi Joannę?... Jeszcze przyszedłeś tu... żeby mnie zamordować!... Joanna! Joanna! (woła na całe gardło) Nie ma jej. Jesteście w zмовie! Na pewno! Gabriel! Na pomoc!!!

EMIL Uspokój się! Nikt nie chce cię zabijać!

STEFAN (głosem pełnym przerażenia) Precz! Precz!

EMIL Jeśli nie masz do mnie zaufania — już odchodzę! Czy przysłać ci Joannę?

STEFAN Precz! Precz! Gabriel! Gabriel!

Na tym urywa się nagranie.

Nie ulega wątpliwości, że Emil — choć jest niezłym lekarzem — nie ma żadnej praktyki w dziedzinie psychiatrii. Przecież on po prostu rozjuszył Stefana.

Jedyną korzyścią, jaką można wyciągnąć z tej niefortunnej rozmowy, jest stwierdzenie, że Stefan musiał zatruć chlorelle w stanie znacznego zaćmienia świadomości. Wyraźnie zaznacza się u niego zanik wspomnienia tej chwili. Jednocześnie pamięta o tym, że nie wypił, tylko wylał tonargal, biorąc go za truciznę sporządzoną przez Emila.

Stefan uspokoił się dość szybko po ataku. Oświadczył tylko przez Gabriela, że nie chce z nikim, poza nim, rozmawiać. Zdaje się powiedział

mu nawet, że posądza nas wszystkich o złe zamiary. Nawet Mirę. Gabriel dodał, że — jego zdaniem, ze Stefanem jest bardzo kiepsko, bo mający o zatruciu alg przez Emila i Joannę. Powiedziałem mu, aby czuwał nad Stefanem, bo może dojść do ataku szału.

Wieczorem naradzaliśmy się długo z Emilem, co robić. Obłąd Stefana może mieć dwie różne przyczyny: jeśli jest to przerzut do mózgu — nie ma żadnych sposobów, aby zapobiec rozwijaniu się choroby. Można tylko stosować środki uspokajające. Operacja jest zbyt skomplikowana, zresztą i tak Stefan nie pożyje dłużej niż miesiąc.

Drugą, mniej prawdopodobną przyczyną — zdaniem Emila — byłaby jakaś nie znana choroba wirusowa. Odczytał mi z jakiegoś podręcznika medycyny kosmicznej, zdaje się Noworowa, dość interesujący przypadek zaburzeń psychicznych u jednego z członków załogi ISŁ „Ciołkowski”. Pracujący na tym sztucznym satelicie Księżycy trzydziestosześcioletni inżynier-konserwator Włodzimierz Ż. zapadł na chorobę psychiczną objawiającą się daleko posuniętym rozszczepieniem osobowości. Był to człowiek spokojny, skromny, szczerzy wobec towarzyszy, może trochę nerwowy, ale niewątpliwie łagodnego usposobienia. W miesiąc po przybyciu na ISŁ począł się skarżyć na uporczywie powtarzające się, choć krótkotrwałe bóle głowy. Wkrótce wystąpiły stany podniecenia powiązane z urojeniami. Wyobrażał sobie, że jest genialnym uczonym, którego tylko intrygi kolegów zmusiły do pełnienia funkcji inżyniera-konserwatora. Halucynacji, ani objawów otępienia nie było. Poza okresami zaburzeń psychicznych inżynier Ż. czuł się dobrze i nie pamiętał zupełnie tego, co przeżywał w stanach anormalnych. Badania neurologiczne zmian fizycznych nie wykazały.

Początkowo zaburzenia te nie były dostrzegalne dla otoczenia. Trwały bardzo krótko (najwyżej kilka, kilkanaście minut), a chory nie rozgłaszał, że jest „genialnym uczonym”, gdyż chciał zmylić czujność „intrygantów”. Wkrótce jednak do tego urojenia dołączyło się groźniejsze: w chwilach zaburzeń psychicznych począł posądzać swych towarzyszy, że ukradli jego „genialne odkrycie” i na tym tle zrodziła się chęć zemsty. Ciekawe, że nawet siebie samego począł traktować jako dwie różne osoby. Siebie utożsamiał z „uczonym”, zaś inżyniera-konserwatora z obcym człowiekiem, którego rolę zmuszony jest grać. Mogło to skończyć się bardzo tragicznie, gdyż inżynier miał dostęp do

wszystkich urządzeń satelity, ale na szczęście okresy zaburzeń psychicznych poczęły się wydłużać i koledzy, a przede wszystkim lekarz pokładowy, szybko zauważyli, że Ż. nie jest normalny.

Inżynier Ż. po kilkumiesięcznej kuracji w Instytucie im. Pawłowa wrócił do zdrowia. Okazało się, że zaburzenia psychiczne wywołane były przez wirusy nieznane dotąd bakteriologom, które powstały drogą mutacyjnego przeobrażenia się znanego wirusa grypy pod wpływem promieniowania kosmicznego.

W przypadku Stefana mogła również powstać jakaś szczególnie jadowita mutacja wirusów. Zważywszy, że niektóre wirusy powodują przeobrażenie się tkanki zdrowej w rakowatą, nie jest wykluczone wspólne źródło obu chorób. Co prawda Emil nie odkrył dotąd wirusów w pobranych od Stefana próbkach tkanki nowotworowej, jednak nie wolno zapominać, że jakiś wróg AFC „wpakował” nam mikroskop elektronowy z trudnym do usunięcia błędem konstrukcyjnym i wirusów mniejszych od stu milimikronów nie potrafimy dostrzec.

Już minęła trzecia. Przerywam pisanie. Muszę bowiem zastąpić Emila.

Jeszcze jedno: Mira dziś wieczorem bardzo interesowała się zdrowiem Stefana. Wspomniała też o tonargalu. Pytała, dlaczego Stefan go nie bierze. Zdaje się — podejrzewa...

1 września — 235 dzień podróży

Stało się. Stefan nie żyje. To straszne, a jednak wydaje mi się, że oddycham swobodniej.

Odczuwam ogromny żal, że nie ma już między nami Stefana i jednocześnie jakby ulgę, że już wreszcie skończyła się ta gehenna. Okoliczności, w jakich nastąpiła śmierć Stefana, potwierdzają raz jeszcze, że to on zatruł algi. Tamtej nocy Emil czuwał zgodnie z moim poleceniem, czekając aż go zastąpię. Stefan nie spał również. Jęczał, postękiwał, przewracał się na posłaniu. Lecz gdy Emil chciał mu coś przynieść na uśmierzenie bólu, nawet się nie odezwał i udał, że śpi. Obserwował jednak Emila spod współprzymkniętych powiek.

Tknięty jakimś przecuciem Emil począł również udawać, że zasnął. Wtedy Stefan z trudem wstał i czepiając się uchwyty dotarł do drabiny. Widać było wyraźnie, że czyni nadludzki wysiłek by nie upaść i nie

zbudzić śpiących. Gdy zszedł na dół, Emil wstał z koi i począł obserwować dyskretnie przez właz co dzieje się w korytarzu określonym.

Tymczasem Stefan dowlóknął się do zbiornika III. Chwilę zaglądał przez okienko kontrolne, lecz widocznie zrobiło mu się słabo, bo usiadł na podłodze i oparłszy głowę o ścianę oddychał ciężko. Tak upłynęło chyba z dziesięć minut. Wreszcie znów spróbował wstać. Nie starczyło mu sił i niemal na czworakach dobrnął do pochłaniaczy. Odsunął klapę i począł manipulować we wnętrzu aparatury.

Emil wówczas zdał sobie sprawę, że nie może czekać, aż Stefan spowoduje jakieś większe uszkodzenie. Począł więc schodzić w dół po drabinie. Gdy Stefan usłyszał, że ktoś idzie, odskoczył gwałtownie od szafy z pochłaniaczami. Chciał wstać, lecz spostrzegłszy Emila z okrzykiem przerażenia runął z powrotem na podłogę. Z ust rzuciła mu się czarna, cuchnąca krew.

Emil próbował go ratować, ale to był już koniec. Właśnie wtedy ja się zjawiłem, gdyż szedłem zwolnić Emila z dyżuru. We dwóch przenieśliśmy Stefana z powrotem na górę. Bełkotał coś, czego nie można było zrozumieć, bo nieustannie dławił się krwią. Zmieniła ona już kolor — stała się jasna i nie wydawała już tak nieprzyjemnego zapachu.

Spośród bełkotu udało mi się wyłowić tylko dwa słowa, powtórzone zresztą parę razy:

— Nie ja... Nie ja... Nie ja...

Przed samą śmiercią odzyskał przytomność. Chwycił kurczowo dłoń Joanny i wyszeptał:

— Nic... Nic... Przebacz...

Joanna nie chciała zgodzić się na sekcję i Emil nie nalegał. Dokonał tylko kilkudziesięciu zdjęć prześwietleniowych.

Pogrzeb, a ściślej katapultowanie zwłok w przestrzeń nastąpiło jeszcze tego wieczora. Do worka Joanna włożyła Stefanowi dwa czerwone cyklameny, które niedawno zakwitły w obserwatorium.

2 września — 236 dzień podróży

Dziś rano musiałem opowiedzieć szczegółowo Joannie, Mirze i Gabrielowi o tym, co się w ostatnich dniach wydarzyło. Wiedzieli, że Stefan usiłował rozmontować pochłaniacze i domagali się wyjaśnień. Oczywiście, wczoraj byłoby nietaktem poruszać sprawy rzucające trochę

nieprzyjemnego światła na zmarłego. Niemniej tego, co się stało, nie można przekreślić i pokryć milczeniem, jak sobie początkowo wyobrażał Emil. Zważywszy jednak, że mania prześladowcza, towarzysząca chorobie Stefana, koncentrowała się wokół osoby Emila — zwolniłem go z obowiązku referowania sprawy. Dla Joanny byłoby to bardzo przykre.

Przeczytałem im również ustęp z pracy Noworowa dotyczący przypadku inżyniera Ż. Wszyscy byli głęboko wstrząśnięci, chociaż po Joannie spodziewałem się gwałtowniejszej reakcji. W przeciwieństwie do Miry, na której cała historia z algami wywarła bardzo silne wrażenie, a nawet Gabriela, wypyującego mnie o niektóre szczegóły — Joanna zachowywała przez cały czas spokój i całkowite milczenie. Nie dziwię się. Może wcześniej sama coś podejrzewała?

Współczuję Joannie ogromnie, ale też jednocześnie myślę, że teraz wreszcie życie jej potoczy się normalnym torem. Chyba potrafi szybko przyjść do siebie po tym ciosie. Zwłaszcza, że przez ostatnie miesiące była na to przygotowana.

Emil bardzo silnie przeżywa śmierć Stefana. Chciałem wreszcie naradzić się z nim nad sprawą zaktualizowania programu badań. Prosił jednak, abym odłożył naradę do jutra, gdyż źle się czuje.

Również Gabriel trochę mnie niepokoi. Zgodnie z harmonogramem rozpoczął dziś przegląd silników i prosił, abym mu towarzyszył jako ubezpieczenie. Byłem zaskoczony, gdy się okazało, że nie chce wyjść pierwszy na zewnątrz. Boi się pustki. Myślę, że za parę dni, gdy przybledną przykre wspomnienia, wróci chyba do normy.

Przed śluzą spotkaliśmy Mirę. Wydawało mi się, że nie była zadowolona ze spotkania. Ale mogę się mylić.

3 września — 237 dzień podróży

Czyżby podejrzenia Stefana nie były bezpodstawne? Dziś około południa, gdy pracowałem sam w kabinie nawigacyjnej nad korektą harmonogramu badań, przyszła Mira. Niby chodziło o to, że prosiłem ją kiedyś o stałą aktualizację elementów ruchu statku. W rzeczywistości powód był zupełnie prozaiczny i zdaje się — osobisty. Pragnęła mnie poinformować, że Emil i Joanna zamknęli się wczoraj po południu, a później również wieczorem na kilka godzin w laboratorium.

Czyżby Mira była zazdrosna? Nie myślałem, iż zdolna będzie do

takiego uczucia.

Niemniej to, co powiedziała, rzuca dziwne światło na Joannę. Czy możliwe, żeby zaraz po śmierci Stefana tak nagle zapomniała o nim i zwróciła swe uczucia w stronę Emila? Raczej oni kochali się już dawniej, tylko ze względu na stan Stefana ukrywali ten fakt. Przynajmniej przed nim i przede mną.

Zastanawia mnie postawa Emila. Muszę z nim porozmawiać.

Wieczorem po kolacji poprosiłem Emila do nawigacyjnej. Przyszedł z wyraźnym ociąganiem, bardzo niechętnie. Widocznie nie ma zbyt czystego sumienia. Mimo iż siliłem się na serdeczny ton, w zachowaniu jego wyczuwałem jakąś sztywność czy niechęć do mnie. Był zdenerwowany i nastawiony podejrzliwie. Aż trudno pojąć, by w ciągu jednego dnia człowiek mógł się tak bardzo zmienić.

Czyżby nagle z jakichś nieznanych mi przyczyn zaczął uważać mnie za wroga?

Zapytałem go najpierw czy było coś między nim a Mirą. Zaprzeczył kategorycznie, ale w sposób dość obojętny. Tak jakby nie o niego chodziło. Gdy mu powiedziałem, że zdaje się Mira czuje do niego coś więcej niż zwykłą sympatię, odrzekł:

— Możliwe, lecz nic na to nie poradzę.

Może istotnie Emil jest tu bez winy. Afekty u kobiet bywają silne i nieobliczalne w skutkach. Z kolei zapytałem go ostrożnie czy rozmawiał z Joanną po śmierci Stefana. Skinął głową i powiedział cicho, jakby się czegoś lękał:

— Czy uważasz, że powinienem jej unikać?

— Dlaczego miałbyś jej unikać? — udałem zdziwienie.

— Możecie pomyśleć, że... że tylko czekałem na śmierć Stefana. Ale z drugiej strony nie wolno mi jej było samej zostawić. Właśnie teraz... Ona musi spokojnie wszystko przemyśleć. Strząsnąć z siebie tamto, co minęło...

Mówił spokojnie, aż za spokojnie w porównaniu z jego dotychczasowym sposobem wyrażania myśli. Czułem, że ten spokój jest pozorny, że Emil maskuje ogromne wewnętrzne napięcie.

Na pewno coś ukrywa przede mną. Chciałem wyjaśnić tę kwestię do końca i zapytałem go, usiłując nadać rozmowie jak najbardziej przyjacielski ton:

— Powiedz mi, tak szczerze: to trwa od dość dawna. Prawda?

Spojrzał na mnie z niepokojem i wyraźną niechęcią.

— Jeśliby nawet tak było, to... to... — nie mógł od razu znaleźć odpowiednich słów. — i tak to jest tylko nasza sprawa — zakończył nieprzyjemnym tonem.

Chciałem mu powiedzieć parę słów prawdy, ale się opanowałem.

— Nie mam zamiaru was potępiać, chodzi tylko o to, abyście przynajmniej na razie zachowywali się trochę dyskretniej. Nie jesteście sami. Mira i Gabriel..

— Mira szpieguje mnie nieustannie — przerwał ze złością. — Niestety, nic na to nie poradzę. Na zamiłowanie do plotkowania nie ma lekarstwa. Dziwię się tylko, że znalazła w tobie powiernika. A zresztą nie dziwię się..

Teraz ja również począłem tracić panowanie nad sobą.

— Jak mam to rozumieć?

— Możesz rozumieć jak chcesz — rzucił w rozdrażnieniu, ruszając ku drabinie. — A zresztą daj mi wreszcie spokój! Głowa mnie boli.

— Weź tonargalu..

Zatrzymał się tak nagle, jakby go coś sparaliżowało.

Chwilę stał w milczeniu zwrócony ku mnie plecami, potem powiedział półgłosem:

— Przepraszam... Było mi go żal.

— Nie gniewam się. Chodzi tylko o to, byśmy mieli więcej zaufania do siebie.

— Nie wiem czy tu w ogóle można komuś ufać..

— Znów zaczynasz?

— Nie chciałem cię urazić — starał się usprawiedliwiać. — Chciałem tylko powiedzieć, że czasami trudno mieć zaufanie nawet do... samego siebie.

Zanim jednak mogłem zapytać go, co znaczą te dziwne słowa — wyszedł z kabiny.

Nie upłynął chyba kwadrans, gdy zjawiła się u mnie Mira donosząc, że Emil i Joanna znów zamknęli się w laboratorium. Powiedziałem jej, aby jako astronom zajęła się obserwacjami nieba albo poszła spać, a nie przeszkadzała mi w pracy.

Dostało się Mirze za całą trójkę. Ale to nie szkodzi. Mało jest innych

kłopotów? Może Mira i ma trochę racji, lecz to naprawdę są głupstwa w porównaniu z naszymi obowiązkami.

4 września — 238 dzień podróży

Atmosfera nie jest najlepsza. Teraz dla odmiany Mira chodzi nadąsana, mrukliwa, „wilkiem” na wszystkich patrzy.

Najbardziej martwi mnie jednak Emil. Co z tym chłopakiem się stało? Młody, zdrowy mężczyzna — pod wpływem miłosnego powodzenia czy niepowodzenia (już teraz nie wiem) zaczyna się coraz wyraźniej „rozklejać”.

Już w czasie śniadania zauważyłem, że między Emilem i Joanną musiało coś zająść. Siedział przygaszony, a gdy próbowała do niego coś zagadywać — milczał lub odpowiadał półsłówkami. Początkowo myślałem, że sam nawarzyłem piwa wczorajszą rozmową. Zatrzymałem więc Emila w korytarzu i mówię mu, żeby nie brał sobie zbyt do serca tego, co wczoraj powiedziałem i że gotów jestem porozmawiać z Joanną, jeśli doszło między nimi do jakiegoś konfliktu.

Spojrzał na mnie jakoś tak dziwnie, jakby nie rozumiał o czym mówię.

— To nie takie proste... — odpowiedział po chwili.

— Może jednak — podjąłem próbę skłonienia go do wyznań. — Niedawno jeszcze byłeś ze mną szczery... Pamiętasz, co mówiłeś? „Troski jak każdy ciężar lepiej nosić we dwoje”.

— Nic jeszcze nie wiem — odrzekł bez związku i zamyślił się. — Może niedługo będę mógł być szczery — rzucił w końcu. — Nie gniewaj się.

— Coś cię jednak gnębi — nie ustępowałem.

— Gdy byłem jeszcze małym chłopcem — powiedział tonem wyjaśnienia — babka mówiła: „Nie patrz zbyt długo w lustro, bo w końcu zamiast siebie — zobaczysz diabła”. Tak, kapitanie, to jednak byłoby straszne — zobaczyć diabła... Tego się najbardziej obawiam.

Nic więcej nie potrafiłem z niego wydobyć. Powiem szczerze: właściwie nic nie wiem.

Chyba tylko to, że z nerwami Emila nie jest dobrze. Co miał na myśli mówiąc o lustrze i diable? Szczęście, że ten stan psychiczny nie odbija się bezpośrednio na jego pracy, jako lekarz umie korzystać ze środków

przeciw nerwicom kosmicznym.

Może niezbyt ściśle wyraziłem się pisząc, że przeżywany obecnie przez Emila stan depresji nie znajduje odbicia w jego pracy. Dziś po południu zajął się przeglądem i oczyszczaniem zbiorników z algami. Joanna chciała mu pomóc, ale zachował się wobec niej skandalicznie. Po prostu wyrzucił ją z korytarza.

W ogóle ostatnio jest bardzo nerwowy. W pół godziny później, gdy przechodziłem korytarzem do łazienki i wyłoniłem się niespodziewanie za jego plecami — aż podskoczył. Nie dziwię się Stefanowi, że mógł go podejrzewać o jakieś złe zamiary. Gdybym nie wiedział co robi (czyścił zbiornik po wymarłej kolonii), mógłbym również posądzić go o spiskowanie. Zachował się wręcz jak mały chłopak schwytany na gorącym uczynku. Albo jakby naprawdę ujrzał diabła.

Postąpiłem trochę brutalnie i nietaktownie — ale wieczorem zapytałem Joannę o Emila. Może nawet z tego by coś wyszło, gdyby nie to, że... była to właśnie Joanna. Nie potrafię patrzeć spokojnie w jej oczy. Zupełnie mnie to wytrąca z równowagi...

Joanna przyszła do kabiny nawigacyjnej aby poszukać czegoś w mieszczącej się tu bibliotece. Wiedziała, że mnie tam nie ma i nie spodziewała się, że wrócę. Była bardzo zmieszana, gdy mnie spostrzegła we włazie. W ostatnich kilkudziesięciu godzinach wyraźnie unikała rozmowy w cztery oczy. Trzeba przyznać — wobec ciasnoty, jaka panuje w naszym statku, niełatwo znaleźć miejsce na taką rozmowę. Tym razem jednak w zachowaniu się Joanny wyczułem jakby lęk. Gdy zajrzałem przez właz, odwrócona była do mnie plecami i wyciągała z górnej półki jakąś niedużą książkę medyczną.

— Dobrze, że jesteś. Chciałem z tobą porozmawiać o Emilu — rozpocząłem bez wstępów.

Odwróciła się gwałtownie, wypuszczając książkę z ręki. W tej chwili patrzyła na mnie z lękiem. Opanowała się jednak i podnosząc książkę, odrzekła:

— Ja również chciałam z tobą porozmawiać...

Zdawałem sobie sprawę, że to tylko manewr.

— Słucham cię — powiedziałem dość obojętnie.

— Tyś pierwszy zaczął... ale... niech będzie. Mam do ciebie prośbę: powiedz Mirze, aby przestała szpiegować Emila. Włóczy się za nim z

kabiny do kabiny, wynajduje różne preteksty by go nie spuszczać z oka. Naprawdę proszę cię, zajmij się tą sprawą. Emil ostatnio jest bardzo wyczerpany nerwowo... Nie może ciągle używać tonargalu, zwłaszcza, że niewiele go zostało. Boję się, aby nie przywykł do jakichś narkotyków... Niektóre z preparatów mogą być szkodliwe. Nie można go doprowadzić do ostateczności...

Nie mogłem zrozumieć, do czego zmierza. Jednocześnie czułem, że tracę przygotowane z góry argumenty.

— Wiem, że z Emilem nie jest dobrze, lecz jaki to ma związek z Mirą!
— zapytałem usiłując wyjaśnić wszystko za jednym zamachem.

— Mira nienawidzi Emila i...

Joanna jakby się zmieszała, a w tym zmieszaniu wydała mi się jeszcze piękniejsza.

— Raczej jest o niego zazdrosna — dokończyłem, stawiając sprawę otwarcie.

Natychmiast pożałowałem tych słów. Joanna ściągnęła brwi gniewnie.

— Nienawiść i zazdrość rodzą te same owoce — rzuciła patetycznie.

Byłem pewny, że nie są to jej słowa, lecz Emila. A więc i o tym rozmawiali...

— Tak czy inaczej — podjęła Joanna — Mira szpieguje Emila i nie tylko sama. Również nastawia przeciw niemu Gabriela, a nawet ciebie — zaakcentowała mocno ostatnie słowo.

Nie było mowy o zrealizowaniu przygotowanego planu. Joanna przejęła inicjatywę, a ja zamiast podjąć kontratak i przyprzeć ją do muru — byłem już zupełnie zdecydowany na kapitulację.

— Cóż ja mogę na to poradzić — powiedziałem może dość naiwnie.

— Nie wiem — odrzekła takim tonem, że nie byłem pewny czy mówi szczerze, czy też z ironią. — Jeśli jednak dalej będziesz ślepy i głuchy to... może stać się nieszczęście. Zamknij Mirze usta!

— Już jej to powiedziałem.

— Dobrze — raczyła mnie pochwalić. — Staraj się podnieść Emila na duchu.

— Próbowałem, ale...

— Jak niedźwiedź... Tu trzeba subtelności. Wysil się...

Tryumfowała, a ja patrzyłem na nią i czułem, że zrobię wszystko co

będzie chciała — chociaż nic mi z tego nie przyjdzie.

Joanna stała chwilę, wreszcie ruszyła ku drzwiom. We włązie jeszcze się zatrzymała:

— Czy znasz się na psychoanalizie?

— Nie bardzo. Dlaczego o to pytasz? — zdziwiłem się nagłą zmianą tematu.

— Nic. Tak sobie — odpowiedziała trochę speszona i znikła we włązie.

W tej chwili uświadomiłem sobie, że zabrana przez nią książka dotyczyła diagnostyki psychoanalitycznej.

Dlaczego Joanna zajmuje się dziedziną tak odległą od jej specjalności naukowej? Dlaczego wzięła ten podręcznik, a nie zwróciła się do Emila? Może on ją o to prosił? Może nie chciał się ze mną spotkać? Ale co oznaczało jej pytanie? To wszystko zdaje się nie mieć sensu. Postanowiłem wyjaśnić zagadkę. Czułem, że wiele światła może tu rzucić rozmowa z Emilem.

Chciałem zajść do niego do laboratorium, ale nic z tego nie wyszło, bo właśnie przeprowadzał jakiś eksperyment w warunkach sterylnych i nie mógł otworzyć drzwi. Przyszedł potem do mnie do nawigacyjnej, lecz była tam już ze mną Mira, więc zajęliśmy się korektą programu.

W dzisiejszym komunikacie z Ziemi nadal ani słowa o Stefanie. Żadnych kondolencji, ani doniesień prasowych świadczących, że coś wiedzą. A przecież tego samego dnia, w którym zmarł, przekazałem Mayerlinckowi wiadomość. Co prawda ustalonym hasłem, ale oczekiwałem zwrotnego zezwolenia na oficjalny komunikat. Dlaczego Mayerlinck milczy? Chyba jednak przesadził. Rzecz jasna — kampania reklamowa trwa, ale wszystko ma swoje granice. Rozumiem — o kłopotach z algami ani słowa, lecz śmierć zastępcy dowódcy? To może później postawić mnie w bardzo niezręcznej sytuacji.

5 września — 239 dzień podróży.

Rano, po śniadaniu, gdy Gabriel wyszedł z Joanną na zewnątrz, a Mira zajęła się pomiarami współrzędnych i przez parę godzin nie opuszczała kopuły obserwacyjnej, Emil sam zaczął ze mną rozmowę.

Początkowo wydawał się nawet zupełnie spokojny. Mówił o czekających nas pracach i trochę narzekał na to, że zostało już niewiele

czasu, a on nie jest przygotowany do tak trudnego zadania, jak zainstalowanie zespołów fotosyntezy na powierzchni Marsa. Obawia się, że nieświadomie może spowodować jakąś poważniejszą awarię lub nawet zniszczyć kolonie.

Powiedziałem mu, że program AFC musi być zrealizowany bez względu na ryzyko, a zresztą — przedsięwzięciem będę kierował osobiście i wspólnie będziemy ponosić odpowiedzialność za przebieg eksperymentu. Zdaje się, że go to trochę uspokoiło.

Rozmowa zeszła na sprawę śmierci Stefana i zakres zadań, jakie miał do wykonania. Wyraziłem pogląd, że gdyby nie zatruwał alg, a także gdyby go jeszcze przez dwa miesiące udało się utrzymać przy życiu, mógłby choćby z odległości pokierować pracami.

Niepotrzebnie poruszyłem tę kwestię, bo Emil począł mienić się na twarzy i drżącym, nerwowym głosem powiedział:

— Sprawa alg tylko w niewielkim stopniu przyspieszyła śmierć Stefana. On nie przeżyłby nawet dwóch tygodni. W każdej chwili spodziewałem się, że nastąpi ponowny krwotok i... śmierć. To nie moja wina. Diagnoza Instytutu Feldhausena nie pozostawiała cienia wątpliwości. Może na Ziemi znalazłby się jakiś sposób... Ale tu... Ja nie mogłem pomóc.

Byłem trochę zaskoczony tak gwałtowną reakcją, lecz łatwo ją można wytłumaczyć: gdy pacjent umiera — lekarz odczuwa jego śmierć jako swoją osobistą klęskę. Tu zaś jeszcze do tego przyłączyła się sprawa Joanny i obawa, że ktoś może go posądzić o celowe zaniedbanie obowiązków dla pozbycia się rywala. Byłem przekonany, że Emil ma czyste sumienie i na pewno nie jest zdolny do popełnienia zbrodni.

— To oczywiste, że los Stefana był przesądzony — powiedziałem do Emila chcąc go uspokoić. — Nie tylko ty, ale nawet największe sławy światowe w dziedzinie onkologii nic by tu już chyba nie zdziały. W tych warunkach i w tym stadium?... Na skomplikowaną operację nie ma miejsca, a przede wszystkim — było już za późno. To jego wina, że nie pozwolił operować się dwa miesiące temu.

— Bał się mnie...

— Chorobliwa podejrzliwość. Już to samo wskazuje, że w jego umyśle zaczynał się jakiś proces...

Emil spojrzał na mnie zamyślonym wzrokiem. Naraz otrząsnął się

jakby ze snu i powiedział już zupełnie spokojnym tonem:

— A jakbyś ty postąpił na jego miejscu?

Byłem zaskoczony pytaniem.

— Nie rozumiem, o czym mówisz? Powiedz jaśniej. Czy chodzi ci o Joannę?

— Joannę? — wydawał się zdziwiony. — Nie. Nie to miałem na myśli. Chciałbym wiedzieć co byś ty zrobił, gdybyś, dajmy na to, pewnego dnia znalazł dowody świadczące o tym, że... — zawahał się — że zapadłeś na podobną psychozę jak inżynier Ż.? Pomijając to, że cierpiałbyś dodatkowo na jakąś inną chorobę.

— Jak Stefan?

— Wyobraź sobie, że jesteś w zasadzie zupełnie zdrowy fizycznie, nie odczuwasz żadnych dolegliwości, no powiedzmy, najwyżej bóle głowy... I oto znajdujesz coraz więcej dowodów świadczących o tym, że...

— ...zatrzuwam algi.

— Tak. I wiesz, że leczenie w naszych warunkach wobec braku środków jest bardzo problematyczne, że nie ma cię gdzie izolować...

Myślałem już kiedyś o tym, zaraz jak zaczęły ginąć glony, i miałem gotową odpowiedź.

Teraz pytanie Emila wzbudziło we mnie straszne podejrzenie. Oczywiście nie mogłem się z nim zdradzić. Postanowiłem jednak, korzystając z okazji, wy badać Emila. Liczyłem w głębi serca, że moje obawy okażą się płonne.

— Gdybym znalazł się w takiej sytuacji i gdybym wiedział, że w każdej chwili mogę spowodować śmierć towarzyszy lub nawet zniszczyć całą ekspedycję? — zapytałem jeszcze.

— Tak.

— Zdecydowałbym się na samobójstwo. To zdaje się, jedyne wyjście. Z drugiej strony nie wolno nam potępiać Stefana, że nie podjął tego kroku. On przecież, jak sam stwierdziłeś, nie zdawał sobie sprawy z tego co robi. A kiedy już zaczął podejrzewać — czy to wystarczyło, aby się zdecydować?...

Emil uśmiechnął się jakoś dziwnie, chyba ironicznie.

— Czy wystarczy... — powtórzył. — Jeśli... mimo dowodów... nie możesz czy nie chcesz uwierzyć w to, że jesteś niebezpiecznym szaleńcem?...

— Masz rację. Stefan nie chciał uwierzyć.

— Niełatwo znaleźć dowody, które możesz uznać za niezbite. Zresztą nie wiesz sam czy nie oceniasz ich subiektywnie. A jeśli tak — to już nic nie wiadomo. Możesz ulegać sugestii otoczenia, a nawet autosugestii, że dowody te świadczą przeciw tobie... albo też odwrotnie... i co zrobić w takiej sytuacji?

W miarę jak mówił — coraz bardziej się podniecał, głos jego stał się znów podniesiony, chwilami uderzając w uszy nieprzyjemnym świstem.

— Nie wiem — powiedziałem po namyśle. — Jeśliby wypadki powtarzały się...

Patrzył z napięciem w moje oczy.

— Jeśli sam nie mógłbym zdobyć się na ten krok — waszym obowiązkiem byłoby... — nie dokończyłem. Nie byłem w stanie dokończyć. Twarz Emila jakby zszarzała. Przymknął oczy i trwał tak minutę, może dwie. Wreszcie wstał z fotela.

— A jeśli... — rozpoczął znów i urwał. — Masz słuszność. Cóż za sens zwlekać — zaakcentował zmienionym głosem. — Za wielkie ryzyko...

Nie odpowiedziałem. Przecież nie mógł wymagać ode mnie otwartego rozgrzeszenia zbrodni. Wyszedł z kabiny, a ja zostałem sam z okropną świadomością, że oto utraciłem wiarę w prawość człowieka, któremu ufałem, chyba nawet więcej niż Joannie. Bo czyż można dopuścić możliwość, że zrobił to tylko w imię wspólnej sprawy?...

W czasie obiadu Emil wydawał mi się znacznie spokojniejszy. Był bardzo zamyślony i jadł niewiele, ale nie zauważyłem aby unikał mego wzroku. Twarz jego jakby wypogodziła się i nabrała życia.

Po południu, aż do wieczora zajęty byłem wraz z Gabrielem pracą na zewnątrz statku, gdyż trzeba sprawdzić instalację zapłonową silników. Po powrocie zastaliśmy jednak zupełnie inną atmosferę. Joanna leżała na swej koi i płakała. Emil siedział milczący i ponury. Na pytanie Gabriela, co znów zaszło — nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Nie chcieliśmy im przeszkadzać, gdyż na pewno nie należy mieszać się do takich spraw.

W kabinie nawigacyjnej zastałem Mirę. Czekąca na mnie. Powiedziała mi otwarcie, że podsłuchiwała, gdy Joanna i Emil zamknęły się w laboratorium. Nie usłyszała wiele, lecz posunęła się tak daleko, iż oskarżyła Joannę, że... zatruwała algi by rzucić podejrzenie na Stefana, a

później na Emila, że on otruł Stefana. Zdaje się, że Mirze w końcu wszystko się poplątało, bo zaczęła pleść że Joanna zatruwała algi w tym celu, by wmówić Emilowi, że on to zrobił i... jest obłąkany. Nie wiem, co jeszcze by wymyśliła, ale dosłownie wyrzuciłem ją z kabiny. Jeśli ktoś tu jest wariatem — to na pewno ona sama.

Co w ogóle dzieje się z tymi ludźmi? Przecież jeszcze niedawno byli to ludzie silni, odporni psychicznie zahartowani i wytrwali. Ale ja nie dam zniszczyć ekspedycji! Jeszcze wszystko będzie po dawnemu.

6 września — 240 dzień podróży

Stała się rzecz potworna. Dziś nad ranem Emil popełnił samobójstwo. Byłem zupełnie ślepy. Nie mogę jeszcze otrząsnąć się i skupić myśli.

7 września — 241 dzień podróży

Już blisko dwa dni minęły od śmierci Emila, a mnie się wciąż wydaje, że on tylko wyszedł na zewnątrz i lada chwila powróci. Nie jestem w stanie pogodzić się z myślą, że nie ma go między nami...

Teraz wiem, że był on dla mnie czymś więcej niż przyjacielem. Nie mam dzieci i chyba właśnie on zogniskował na sobie jakieś drzemiące we mnie uczucia ojcowskie.

Postanowiłem zanotować w moim dzienniku suchą, obiektywną relację o tym, co się stało w ciągu kilku ostatnich dni, ale bardzo mi trudno zdobyć się na rzeczowość. Jestem odpowiedzialny za śmierć Emila, i ta świadomość jest chyba najstraszniejsza...

Jestem odpowiedzialny za wszystko, co dzieje się w naszym statku. Wszystko widzieć, wszystko słyszeć, przewidywać z góry niebezpieczeństwo, wyczuwać nawet najsubtelniejsze zmiany w atmosferze... Tymczasem ja, właśnie ja, dowiedziałem się ostatni, już po śmierci Emila, że w ubiegłych trzech dniach zatrute zostały dwie dalsze kultury alg, że nie Stefan był tym niebezpiecznym szaleńcem.

Chyba jednak zacznę od początku:

Wczoraj rano obudziła mnie Joanna, twierdząc, że Emila nie ma w statku i nie może się z nim połączyć przez radiotelefon. Istotnie, w nawigacyjnej na tablicy kontrolnej paliły się światełka sygnalizujące otwarcie śluzy na zewnątrz i brak skafandra Emila. Połączenia przez

radiotelefon również i mnie nie udało się osiągnąć.

Byłem coraz bardziej zaniepokojony. Postanowiłem natychmiast wyjść na zewnątrz, gdyż Emil mógł z jakiegoś niewiadomego powodu stracić przytomność.

Tymczasem do kabiny nawigacyjnej zeszła Mira. Gdy dowiedziała się, że Emil wyszedł ze statku i nie można nawiązać łączności — zaczęła histeryzować, iż na pewno popełnił samobójstwo i to przez Joannę. Byłem tym zupełnie zaskoczony gdyż Mira, mimo swoich wad, umiała dotąd zachowywać zawsze w najkrytyczniejszych nawet sytuacjach spokój i rozwagę.

Reakcja Joanny była dla mnie jeszcze większą niespodzianką. Zamiast oburzyć się na tak bezsensowną insynuację — tylko zbladła i wyszeptała:

— Nie... Nie... To niemożliwe!

Potem, jakby tknięta nową myślą, chwyciła mnie za rękę i ciągnąc ku śluzie, zawołała:

— Ubierajmy się prędko! Bo... bo może się stać coś strasznego!... On może spowodować katastrofę!

Gdy wchodziliśmy z Joanną do komory wstępnej, za nami goniły jeszcze dziwne, niezrozumiałe dla mnie słowa Miry:

— Boisz się nie o niego, tylko o siebie! Ale nie masz się czego obawiać! Emil nie jest wariatem! To tylko ty usiłowałaś mu wmówić! Nie on, lecz ty niszczyłaś algi!

Nie było czasu na wyjaśnienia. Zamknęliśmy klapę, ubraliśmy się w skafandry i wyszliśmy na zewnątrz. Joanna przeszukała centralną część kadłuba. Wśród zbiorników paliwa mógł łatwo ukryć się człowiek. Ja zbadałem zespół silnikowy, znacznie oddalony od osi wirowania statku.

Mimo jednak sprawdzenia każdego zakamarka, Emila nie znaleźliśmy. A przecież jeśli by nawet zemdłał — elektromagnesy butów nie dopuściłyby do oderwania się od statku. Chyba, że nastąpił jakiś nieprzewidziany wypadek, albo też celowo sam wyłączył oba buty jednocześnie. Cóż by to jednak oznaczało?

Tak czy inaczej należało przeszukać okolicę radarem. W tym czasie Gabriel, zaalarmowany przez Mirę, odezwał się z centrali. Poleciałem mu więc włączenie aparatury radiolokacyjnej.

Nie upłynęło pięć minut, a Gabriel sygnalizował: W odległości

dwudziestu trzech kilometrów jakiś przedmiot wielkości ciała ludzkiego, oddalający się ruchem bezwładnym od statku. Nie ulegało wątpliwości, że to jest Emil. Joanna chciała lecieć po niego odrzutowym aparatem plecowym, ale zanim zdążyła wystartować — Gabriel wezwał nas do powrotu.

— Zdaje się, że nie masz po co lecieć. Mira znalazła przed chwilą list od Emila. On nie żyje.

Okazało się, że list leżał w laboratorium na stole, lecz nikt z nas nie zwrócił na niego uwagi, tak byliśmy zaniepokojeni zniknięciem Emila.

List adresowany był do Joanny i chociaż czytaliśmy go wszyscy nie pytając o pozwolenie uważam, że obowiązany jestem pominąć wszystko, co ma charakter osobisty i nic albo niewiele wnosi do sprawy. Dlatego przytaczam go tu tylko w obszernych fragmentach.

„Wiem, że sprawię ból, może zresztą nie tylko Tobie, ale tak być musi. Nie mam innego wyjścia. Muszę odejść, gdyż niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie. Przemyslałem wszystko od początku i doszedłem do wniosku, że tak będzie najlepiej”.

„Boję się, abyś sobie nie robiła jakichś niepotrzebnych wyrzutów, że podjąłem ów krok po tej nieszczęsnej rozmowie z Tobą. Nie było to w stanie zmienić ani przyspieszyć finału. Już wcześniej podjąłem decyzję. Jeszcze nawet przed tym, nim Erwin nieświadomie potwierdził jej słuszność. Nie można było czekać i liczyć, że może to tylko splot przypadków, co zresztą jest niezmiernie mało prawdopodobne. Chyba jednak ujrzałem w lustrze prawdziwego diabła”.

„Jeszcze raz proszę Cię, nie miej do mnie żalu, że tak długo ukrywałem przed Tobą mój stan. Chciałem odkryć przyczynę sam, łudziłem się, że może nie ja niszczyć glony. Oczywiście nie wierzyłem abyś to ty robiła, raczej podejrzewałem Mirę, gdyż przez cały czas zachowywała się dość dziwnie (dopiero Erwin powiedział mi, dlaczego). Niemniej nie wolno mi było kierować się uczuciem i dlatego objąłem obserwacją i siebie”.

„Zastanawiałem się dość długo nad sprawą śmierci Stefana. Jestem przekonany, że moje inne wypowiedzi w stanie zamroczenia po zastrzyku altamezu można uznać za odzwierciedlające prawdę, lecz przyznanie się (bo niestety tak to rozumiałem) do otrucia Stefana musi być zupełnym nieporozumieniem. Wiedziałem, iż posądzał mnie, że chciałem go otruć i widocznie wespół przytomnie począłem pleść na ten temat głupstwa. Tych moich bredni chyba nie można uważać za dowód, i choć uwierzyłaś — nie one wpłynęły decydująco na podjęcie przeze mnie obecnego kroku”.

„Wracając do sprawy Stefana — jestem przekonany, że umarł na chorobę nowotworową. Choć nie przeprowadziłem sekcji — niemniej zrobiłem zdjęcia, pobrałem krew i próbki niektórych tkanek do analizy. Możesz również sprawdzić sama, że zarówno butelki po tonargalu, jak zastrzyki i pastylki uspokajające, które pozostały w szafce Stefana, nie zawierają żadnych substancji toksycznych. Chyba, że wymieniłem lekarstwa już po jego śmierci. Musiałbym to jednak zrobić całkowicie nieświadomie, w stanie zamroczenia. W każdym razie w pamięci mojej nie pozostał żaden ślad”.

„Pamiętam za to doskonale, że potłukłem i wyrzuciłem dwie butelki po tonargalu. W tym samym dniu, gdy zauważyłem, że druga kultura alg wyginęła. To było głupie,

bezmyślne, ale przecież, jak ci już mówiłem, nie byłem wówczas w pełni władz umysłowych. Po zastrzykach altamezu człowiek jest jak pijany. Dlatego nie chcę, abyście te dwie sprawy łączyli razem.”

„Wczoraj w dwóch spośród trzech zespołów, w których założyłem nowe kultury glonów, spostrzegłem znów obumieranie chlorelli. Analiza nie wykazała obecności tonargalu, ale za to ślady kwasu solnego. Właśnie wczoraj używałem w laboratorium tego kwasu... Do rana wyginęły wszystkie glony w tych zbiornikach, a w trzecim częściowo. Z pewnością znajdzie się jeszcze niejeden związek chemiczny działający zabójczo na chlorelle. Moje próby wykazały, że nieraz już bardzo nieznaczna domieszka działa szkodliwie (np. preparatu AA). Ten, kto po mnie będzie opiekował się algami (chyba Gabriel) — niech jak najczęściej przeprowadza analizy.”

„Wiem że moje odejście stawia ekspedycję w szczególnie ciężkim położeniu, lecz cóż wam z obłąkanego lekarza? Wszystko wskazuje, że jeśli będę czekał jeszcze kilka dni — mogę doprowadzić do zagłady ekspedycji. Nie mam prawa wyboru. Ryzyko jest zbyt wielkie. Erwin ma tu zupełną rację. Lepiej popełnić pomyłkę, która oznacza koniec jednego człowieka, niż koniec pięciorga”.

Gdy czytałem ten list — odczuwałem wrażenie jakby mnie uderzono pałką w głowę. A więc Emil naprawdę odebrał sobie życie. Był przy tym tak dalece subtelny, że wyszedł w skafandrze na zewnątrz, dał się wyrzucić rotacją statku w przestrzeń i prawdopodobnie dopiero wówczas przełknął truciznę.

Przyznam się — była to dla mnie tak wstrząsająca wiadomość, że w pierwszej chwili nie chciałem uwierzyć. Zrodziło się nawet w mej głowie absurdałne podejrzenie, iż może Emil został zamordowany i wyrzucony w przestrzeń, a list sfabrykował morderca. Któż byłby jednak tym mordercą? Chyba tylko rzeczywisty truciciel glonów. Lecz znałem dobrze pismo Emila i rozmowy, jakie z nim przeprowadziłem poprzedniego dnia, były jeszcze jednym dowodem przeciw niemu.

Do okropnego ciosu, jakim jest dla mnie śmierć Emila, dołącza się jeszcze drugi — świadomość, że jestem sam. Zrozumiałem, że nie ma już nikogo, komu bym mógł zaufać, że ludzie, których uważałem za najbliższych przyjaciół, są dla mnie obcy, dalecy, obojętni.

Nie mam żalu do Emila. Jego jednego mogą jakoś tłumaczyć okoliczności. Nie chciał mi powiedzieć, bo bał się, że ulegnę sugestii. Może zresztą, gdybym go skłonił do szczerzej rozmowy, powiedziałyby mi w końcu. Czy ja wiem?... Nie napisał do mnie ani słowa.

Ale przecież Mira, Gabriel, a przede wszystkim Joanna — oni wiedzieli, że glony znów giną. I ukrywali to przede mną. Przed swoim dowódcą! Dlaczego? Mira, co prawda, w ów krytyczny wieczór, przed śmiercią Emila zaczęła mówić o algach. Dlaczego jednak wplątała w to

Joannę? Może, gdybym wówczas nie wyrzucił jej z kabiny — powiedziała by mi całą prawdę.

Nie wiem. Nic już nie wiem...

Dlaczego milczała Joanna? Bała się o Emila? Z tego wszystkiego wynika, że oni nie mają do mnie zaufania, że się więcej mnie boją niż poważają. Traktują mnie przede wszystkim jako zwierzchnika narzuconego przez AFC — najpierw urzędnika, a dopiero później dowódcę. Mira wręcz zarzuca mi, że reprezentuję interesy korporacji a nie ekspedycji. Jakby istniała jakaś różnica... Co za ludzie!

Czy mam szansę odbudowy zaufania? Obawiam się, że po rozmowach, jakie dziś z nimi przeprowadziłem, będzie to niełatwe. Trudno. Gdzie nie ma zaufania — zastąpić je musi dyscyplina. Niech się boją — byle zadanie było wykonane.

To są jednak sprawy dalsze. Przede wszystkim muszę sam czuwać. Wiedzieć wszystko co dzieje się w statku. Muszę być wszędzie obecny.

Pierwsze kroki już zostały poczynione. Przeprowadzam obecnie formalne śledztwo w sprawie śmierci Emila. Wszystkie zeznania, nagrywane na taśmy, chowam w archiwum. Są one zbyt obszerne, aby je tu w pamiętniku przytaczać w całości. Streszczę więc tylko to, co uważam za najistotniejsze, co pozwala lepiej zorientować się w sytuacji.

Pierwszą poprosiłem na rozmowę Joannę. O ile po śmierci Stefana zachowywała się nad wyraz spokojnie — samobójstwem Emila jest zupełnie zdruzgotana. Chwilami byłem wściekły na siebie, że ją dręcę pytaniami. Rozpamiętywanie tego, co wydarzyło się w ostatnich dniach odczuwa na pewno jak rozdrapywanie świeżej rany. A jednak ta rozmowa była konieczna. W liście Emila jest tyle niedomówień, że bez pomocy Joanny nie byłbym w stanie odtworzyć pełnego obrazu tragedii.

Kilkakrotnie musiałem dawać Joannie środki uspokajające, aby mogła zebrać myśli i odpowiadać na pytania. Muszę dodać, że po śmierci Emila zabrałem wszystkie medykamenty, jakie zostały jeszcze w laboratorium, i zamknąłem w mej szafce w kabinie nawigacyjnej.

A oto czego dowiedziałem się od Joanny:

Jak wiadomo, Joanna poznała Emila dopiero przed samą wyprawą. Była ona już wówczas żoną Stefana i lot na Marsa stanowił dla nich zarazem podróż poślubną. Wkrótce jednak miejsce męża zajął w jej sercu Emil. Niewinny flirt szybko przerodził się w miłość.

Tymczasem Stefan zachorował i sytuacja uległa komplikacji. W tych warunkach stawianie sprawy otwarcie byłoby nieludzkie. Sądzę, że zarówno Joanna jak i Emil rzeczywiście nie chcieli jego śmierci i nie uczynili nic świadomie, co by mogło przyspieszyć zgon. Nie wydaje się również prawdopodobne, aby w okresie rozdwojenia osobowości Emil mógł dokonać zbrodni.

Stefan jednak zdawał sobie sprawę, że Joanna zdradza go z Emilem. Na tym tle zrodziło się u niego podejrzenie, iż chcą go otruć. Nie chciał zgodzić się na operację. Najniewinniejsze zabiegi budziły w nim nieufność. Przestał używać lekarstw. Zważywszy, że chodziło tu często o środki łagodzące bóle i uspokajające system nerwowy (jak tonargal), jego stan psychiczny pogarszał się coraz bardziej.

W takim właśnie stanie chorobliwej nieufności wyniósł butelki do łazienki i wylał lekarstwa. Fakt ten zbiegł się przypadkowo z zatruciem glonów przez Emila, który dokonał tego w stanie psychopatycznym, nie zdając sobie sprawy, co robi. Stąd posądzenie padło na Stefana.

Gdy dowiedział się on o tym — prawdopodobnie zaczął podejrzewać, iż może filtry i pochłaniacze są uszkodzone i że sam spowodował przypadkowo zatrucie, wlewając tonargal do kanału. Dlatego chciał rozmontować aparaturę. Nie starczyło mu jednak sił. Jego słowa: „Nie ja, nie ja” — zdają się wskazywać, że jednak nie zauważył nic podejrzanego w aparaturze.

Po śmierci Stefana Emil czuł się fatalnie. Dokuczały mu w jeszcze większym stopniu niż dotąd bóle głowy. Poza tym odczuwał z pewnością coś w rodzaju wyrzutów sumienia, że odebrał koledze żonę i w ten sposób pośrednio przyczynił się do przyspieszenia jego zgonu.

Wówczas zaczął zażywać jakieś środki uspokajające.

Tymczasem 3 września, kiedy zabrał się do czyszczenia zbiorników — spostrzegł z przerażeniem, że algi wyginęły znów w dwóch dalszych zespołach. Wynikało z tego, że nie Stefan je zatruwał, lecz ktoś z nas pięciorga. Analiza wykazała znów obecność tonargalu.

Jakież było jego zaskoczenie, gdy zauważył w laboratorium dwa puste flakony po tym lekarstwie. Jeszcze kilka dni przed tym widział je prawie pełne. Pamiętał, że nikt nie brał od niego lekarstwa, jak również, że sam otworzył w dniu śmierci Stefana jedną z butelek i wziął kilkadziesiąt kropel dla uspokojenia nerwów.

Wówczas w jego umyśle zrodziło się podejrzenie, iż sam jest obłąkany. Bał się jednak powiedzieć o tym komukolwiek zanim nie znajdzie pewniejszych dowodów. Po zastrzyknięciu sobie dużej dawki altamezu, włączył magnetofon. Psychoanalicy używają czasem altamezu jako środka ułatwiającego przełamywanie oporów wewnętrznych i wyzwalającego stany szczerości. Próbował w ten sposób sam siebie przebadać, co chyba należy uznać za krok dość ryzykowny. Był świetnym internistą i radiobiologiem, ale niestety, w psychiatrii nie miał praktyki. Nie znamy wyników tego eksperymentu, gdyż Emil skasował zapis, jednak nie ulega wątpliwości, że po tym seansie próbował zatrzeć ślady zatruwania alg. Oczywiście niszczenie butelek to głupota, lecz nie wolno zapominać, że Emil, jak sam stwierdza, był wówczas w stanie pewnego rodzaju odurzenia.

Gdy oprzytomniał, zajął się przede wszystkim usunięciem gnijących glonów, oczyszczeniem zbiorników i zaprowadzeniem tam nowych kultur. Wziął się też znów do eksperymentowania, by stwierdzić jakie substancje działają zabójczo na algi. Chciał, zdaje się, znaleźć sposób leczenia glonów, ale mu się to nie udało. Specjalistą był tu tylko Stefan.

Przypomniała się Emilowi również sprawa filtrów i pochłaniaczy. Wymienił więc wszystkie płytki, chcąc wykluczyć możliwość przypadkowych zatruc.

Tymczasem Joanna dowiedziała się od Miry, że algi znów zostały zatrute i że Emil w tajemnicy oczyścił zbiorniki. Chociaż Mira twierdziła, że widziała to na własne oczy — Joanna nie uwierzyła.

Poszła do Emila i zapytała go otwarcie, czy to prawda, że algi giną. Na nieszczęście trafiła na moment, gdy Emil był w półprzytomny. Prawdopodobnie znów przeprowadzał ze sobą jakieś eksperymenty, albo po prostu próbował się „leczyć” jakimiś narkotykami. Faktem jest, że w sposób dość bełkotliwy lecz jednoznaczny począł się oskarżać, że zatruewał glony, zacierał ślady, a nawet, że otruił Stefana. Oczywiście ta ostatnia możliwość nie wchodzi w rachubę.

Wszystko to jednak tak wstrząsnęło Joanną, że doszło między nimi do dramatycznej sceny, o której mówiła mi Mira. Ten incydent, łącznie z moją niefortunną, nieświadomą sugestią, że obłąkany członek załogi powinien popełnić samobójstwo, i zaraz po tym wyginięcie nowo założonych kultur, wpłynęły na przyspieszenie decyzji Emila.

Tyle mniej więcej dowiedziałem się od Joanny. Następnie wezwałem na rozmowę Mirę.

Wniosła ona stosunkowo niewiele do sprawy i raczej gmatwała wszystko, oskarżając bezpośrednio Joannę, że ona spowodowała śmierć Stefana i Emila, a nawet, że jest obłąkana i sama zatrująca algi. Jak już wspomniałem, również mnie poczęła atakować i to przede wszystkim o to, że... kieruję się instrukcjami Mayerlincka. Tak jakby nic nie rozumiała. Podejrzewam, iż wie o „uszkodzeniu” nadajnika. Czyżby próbowała połączyć się z Ziemią?

Nie będę powtarzał jej insynuacji i ograniczę się tylko do faktów związanych ze śmiercią Emila. Mira nie widziała, jak Emil zatrucił algi. O wyginięciu kolonii w dwóch dalszych zbiornikach dowiedziała się od Gabriela. Widziała natomiast, jak Emil oczyszczał zbiorniki, ale nie znaczy to jeszcze, że był wariatem. Żałuje, że powiedziała o tym Joannie w ów krytyczny wieczór, lecz Joanna sama ją do tego sprowokowała „bezczelnym postępowaniem”.

Na moje pytanie, dlaczego nie powiedziała mi o zatruciu alg — stwierdziła, że nie dałem jej przyjść do słowa.

Może byłoby w tym trochę prawdy, gdyby nie zeznanie Gabriela. Muszę przyznać — o ile dawniej wysoko ceniłem Mirę — teraz zaczyna mi się jej postępowanie coraz bardziej nie podobać.

W przeciwieństwie do wypowiedzi Miry — zeznania Gabriela budzą na ogół zaufanie. Rzucają one jednak trochę dziwne światło właśnie... na Mirę.

Prawdą jest, że Gabriel pierwszy dostrzegł zmiany w zbiorniku II i IV. Gdy jednak powiedział Mirze — ta namówiła go, aby nikomu o tym nie wspominał. Umówili się, że będą sami obserwować mnie, Joannę i Emila. Nie byłoby w tym nic złego, ale gdy w kilka godzin później Gabriel zauważył, że Emil oczyszcza zbiorniki i powiedział o tym Mirze — ona prosiła go aby nadal milczał.

Można to oczywiście wytłumaczyć obawą o los Emila, niemniej wynika z tego, że Mira przez blisko trzydzieści godzin wiedziała co się święci i bynajmniej nie kwapiła się, aby mnie o tym zawiadomić.

Wszystko to byłoby głupstwem, gdyby nie inny, podejrzany bardzo fakt. Otóż Gabriel twierdzi, że po śmierci Stefana, to jest w czwartek, widział jak Mira sama wychodziła około południa z laboratorium.

Następnego dnia, a więc 8 września, po południu spotkaliśmy Mirę w śluzie. Wówczas Gabriel zauważył, że ukryła coś pospiesznie w kieszeni kombinezonu. To „coś” przypominało bardzo butelkę z tonargalem. Gabriel zastrzega, że może się mylić, ale tak czy inaczej — trzeba sprawę wyjaśnić.

Dziś już jest późno, lecz jutro zaraz z rana przesłucham Mirę. Charakterystyczne, że również Emil wspominał o jej dziwnym zachowaniu.

Ustaliłem z Gabrielem dalszy podział funkcji. On sam zajmie się algami. Zobowiązałem też wszystkich, aby mi o każdej sprawie składali osobiście raporty. Dość już intryg i niedomówień. Niepokoi mnie zachowanie się Miry, lecz mam nadzieję, że to tylko jakieś nieporozumienie.

Nie ulega chyba wątpliwości, że to Emil niszczył algi.

8 września — 242 dzień podróży.

Zaraz z rana poprosiłem Mirę na rozmowę w cztery oczy.

Postanowiłem zagrać metodą „wiem wszystko”. Powiedziałem jej bez wstępu, iż wiem, że była w laboratorium w dniu 1 września w południe, jak również o tym, co tam robiła. Natychmiast znikła jej pewność siebie. Zmieniła się na twarzy i ręce poczęły jej drżeć.

Czułem, że wkraczam na właściwy trop i poleciłem, aby o wszystkim opowiedziała po kolei. To był błąd, bo Mira jest inteligentna i w lot zrozumiała, że wiem nie za wiele i tylko próbuję z niej coś wyciągnąć. Przytaczam ten fragment rozmowy bez skrótów, tak jak zarejestrowała go taśma:

JA Opowiadaj po kolei. Więc weszłaś do laboratorium i...?

MIRA Nie przypominam sobie. To był taki straszny dzień...

JA Musisz sobie jednak przypomnieć. Widziano cię.

MIRA Chciałam zobaczyć się z Emilem.

JA To nieprawda. Wiedziałaś dobrze, gdzie jest Emil. Zajęty był prześwietlaniem zwłok.

MIRA Czułam się bardzo źle.

JA Więc przyszałaś do laboratorium po lekarstwo?

MIRA Tak. Ale Emila nie było.

JA Już o tym mówiliśmy. Wzięłaś więc ten lek?

MIRA (po chwili) Tak.

JA Wzięłaś dwie butelki tonargalu i wyszłaś.

MIRA Czułam się bardzo źle. Przecież nie spaliśmy całą noc.

JA Dlaczego wzięłaś dwie butelki, a nie jedną?

MIRA Sama nie wiem. Tak jakoś...

JA Załóżmy, że to prawda. Co zrobiłaś z tonargalem?

MIRA Wypiłam.

JA Wszystko? Całe dwie butelki?

MIRA (milczy)

JA No, powiedz wreszcie. Dlaczego usiłujesz kręcić? I tak wiem wszystko, albo prawie wszystko.

MIRA (pewniej) To znaczy? Co ty wiesz? Chcesz mi coś wmówić?

JA Nic ci nie chcę wmówić. Wiem, na przykład, że chciałaś tę butelkę wyrzucić ze statku.

MIRA Widziałeś?

JA Widzieliśmy cię w śluzie razem z Gabrielem. Schowałaś wówczas do kieszeni...

MIRA (wybucha płaczem, po chwili mówi złamanym głosem) Boję się... To jest okropne...

JA Czego się boisz?

MIRA Że gotowi jesteście teraz wmówić we mnie, że ja zatruwam algi!

JA Cóż więc zrobiłaś z tonargalem?

MIRA (wybucha) Nic nie zrobiłam! Nic! Nie zatruwałam alg! Wylałam! Po prostu wylałam do muszli kanałowej!

JA Nie denerwuj się. Krzykiem nic nią zmienisz. Wytłumacz lepiej. Jeśli prawdą jest to, co mówisz — dlaczego wylałaś do kanału tonargal?

MIRA (po długim milczeniu) Powiem ci szczerze. Wszystko tak jak było. Naprawdę po tej nocy czułam się bardzo źle. Emil był zajęty, wzięłam więc sama tonargal. Nie miałam zamiaru tego ukrywać. Dwie butelki zabrałam na zapas. Ostatnio częściej potrzebuję środków uspokajających. Emil bardzo oszczędzał... Chciałam zresztą powiedzieć, że wzięłam lecz nie było w tym dniu okazji. Następnego dnia rano przedstawiłeś nam jak się rzeczy miały ze Stefanem. Dowiedziałam się wówczas o tonargalu... Że właśnie nim zatruwał algi. Wiedziałam, że

Stefan nie przyznał się do winy. Ogarnął mnie niepokój, że jeśli wyjdzie na jaw moje szperanie w laboratorium — możecie i mnie podejrzewać. Postanowiłam odnieść butelki na miejsce. Niestety, była tam Joanna, Nie mogłam tych butelek nosić przy sobie i coś mnie podkusiło, aby wylać lekarstwo do kanału, a butelki wyrzucić do termoprzetwornika. Później jednak, już po wylaniu lekarstwa, zmieniłam zamiar. Postanowiłam wyrzucić je w przestrzeń kosmiczną. Wówczas spotkałam was w służbie i plan nie doszedł do skutku. Byłam coraz bardziej niespokojna, bo wszystko, co dotąd zrobiłam, mogło kierować podejrzenie przeciw mnie.

JA Bez wątpienia.

MIRA Zdecydowałam się wreszcie odstawić puste butelki na miejsce, ale i to nie było łatwe. Emil i Joanna zamykali się coraz częściej w laboratorium. Byłam wściekła.

JA Zazdrosna.

MIRA (podnosi głos). Tak. Byłam zazdrosna! Bo ja go naprawdę kochałam!... Tylko ja! Dla Joanny był to tylko kaprys! Chwilowy kaprys.

JA Przestań czepiać się Joanny! Więc jak to było z tymi butelkami?

MIRA (z wysiłkiem) Postawiłam na miejsce.

JA Kiedy?

MIRA W czwartek. Trzeciego września, rano. (dłuższa chwila milczenia)

JA Wszystko to, co powiedziałaś, wydają się niezbyt prawdopodobne. Dlaczego tak bardzo chciałaś się pozbyć tych butelek? Przecież każdy ma wstęp do laboratorium! A może wiedziałaś wcześniej, że algi giną? Mimo śmierci Stefana?

MIRA (gwałtownie) Nie! Nie!

JA A więc?

MIRA Powiem prawdę. Drugiego września w południe zauważyłam, że w niektórych zbiornikach woda zaczyna zmieniać kolor, i dlatego wylałam tonargal.

JA A więc nie byłaś pewna czy czasem...

MIRA Nie. Nie. To tylko pod wpływem twych słów... Gdy mówiłeś o Stefanie i o przypadku inżyniera Ż.

JA Dlaczego nie przyszłaś do mnie i nie opowiedziałaś mi o wszystkim?

MIRA Do ciebie?

JA A cóż w tym dziwnego?

MIRA Bałam się...

JA Czego?

MIRA Że będziesz szukał na własną rękę wariatów lub sabotażystów, zamiast podjąć jedyną rozsądną decyzję.

JA To znaczy?

MIRA Powiadomić Ziemię o tym co się tu dzieje. I to kontaktując się bezpośrednio z Centrum Badawczym AFC, a nie poprzez tego twojego Mayerlincka, który widzi tylko algi, a nie ludzi...

JA Wiesz, że to niemożliwe.

MIRA (z ironią) Wiem. i coraz lepiej rozumiem dlaczego ciebie a nie Deweya mianowano dowódcą wyprawy...

JA Dziękuję za szczerość. Wróćmy jednak do właściwego tematu. Co było później?

MIRA Później? Postanowiłam jednak postawić otwarcie całą sprawę. Ale nie chciałeś ze mną gadać.

JA Dlaczego wobec tego przekonywałaś Gabriela, że lepiej nic nie mówić?

MIRA Ja? To przecież on był zdania, że należy wszystkich podejrzanych obserwować!

JA To znaczy — mnie również?

MIRA A dlaczego by nie?

JA Widzę, że ta nieufność do mnie nabiera cech jakiejś manii.

MIRA Nie wiesz sam, co mówisz. Stanowisko Gabriela było całkowicie uzasadnione.

JA Co przez to rozumiesz?

MIRA Nic poza tym, że tak samo mamy prawo podejrzewać ciebie, jak ty nas!

JA Pleciesz głupstwa! Przeciwno tobie i Emilowi przemawiają fakty! Któreś z was zatruwało algi! Ty, albo on!...

MIRA jestem niewinna. Wszystko, co ci opowiedziałam, jest prawdą.

JA To jeszcze o niczym nie świadczy. Mogłaś działać nieświadomie! W takim stanie jak inżynier Ż.

MIRA Zbytek łaski. Rezultat byłby ten sam.

JA A więc jeśli nie ty, to znaczy — Emil?

MIRA Nie! Emil nie był wariatem! To przecież nie on, lecz ja wylałam

tonargal! To co robił — robił świadomie! Nie ma udowodnionych luk w jego pamięci! Wszystko można wytłumaczyć.

JA Pozostaje jeden szkopuł — algi.

MIRA Jest jeszcze Joanna.

JA Skończ z głupimi, bezpodstawnymi oskarżeniami! jeśli nawet jest tak, jak mówisz — nie Joanna, lecz ty, tylko ty spowodowałaś śmierć Emila! Ta historia z butelkami stała się źródłem autosugestii! Począł wierzyć, że sam jest nienormalny. Nie chciałem wypominać ci tego, ale jeżeli chcesz, to masz...

MIRA (zdławionym głosem) Wiem. Tak... Ja przyczyniłam się do jego śmierci... Nie potrzebujesz mi tego przypominać. (dźwięk dzwonka)

W tym miejscu rozmowa nasza została przerwana.

Dzwonił Gabriel, prosząc bym zaraz sam przyszedł do laboratorium. Zwolniłem więc Mirę zapowiadając, że wrócimy jeszcze do tej rozmowy.

Gabriel czekał już na mnie. Był zdenerwowany w najwyższym stopniu. Zanim otworzył usta — domyśliłem się prawdy. Przecież miał od rana zająć się oczyszczaniem zbiorników.

Trzy dalsze kultury glonów znajdują się w stanie rozkładu. Wysunąłem wątpliwość, która zrodziła się w mej głowie podczas rozmowy z Mirą. jest to, co prawda, mało prawdopodobne, ale przecież nie można wykluczyć i tego, że zachodzi tu jakieś straszne nieporozumienie.

Może algi giną na skutek jakiejś nieznannej choroby i tylko nieudolności Emila należy przypisać, że nie została ona wykryta i zwalczona.

Gabriel bardzo zaskoczony był tym przypuszczeniem i ku mojemu zdziwieniu oświadczył, że — niestety — istnieje niezbity dowód przeciw tej hipotezie. Zamiast wyjaśnień zażądał godziny czasu — a może będzie w stanie wskazać tego, kto niszczy algi. Potem usiadł przy stole prosząc, bym podał książkę leżącą obok miernika promieniotwórczości. Licznik był włączony, ale na to wówczas nie zwróciłem uwagi, tak byłem pochłonięty myślami. Gabriel następnie zwrócił się do mnie, abym poprosił do laboratorium Mirę.

Zastałem ją w obserwatorium. Była w stanie całkowitego załamania. Pewność siebie, jaką wykazywała w rozmowie ze mną, znikła bez śladu.

Gdy powiedziałem, by poszła do laboratorium — w oczach jej dostrzegłem strach. Wykonała jednak polecenie. Gabriel rozmawiał z Mirą najwyżej minutę i zaraz wyszli z laboratorium. Zaprowadziliśmy ją do kabiny mieszkalnej i poradziliśmy jej, aby wzięła jakiś środek uspokajający i próbowała zasnąć.

Z kolei Gabriel poprosił Joannę o dokonanie kilku analiz. Joanna, jako geolog i mineralog, zna się w tej chwili na chemii najlepiej spośród nas. Chodziło mu oczywiście o analizę próbek pobranych z zatrutych zbiorników. Niestety, Joannie nie udało się znaleźć czegoś, co można by uważać za truciznę dla alg. Przyznaję, że nie mam bezgranicznego zaufania do jej umiejętności, lecz tonargal lub kwas solny na pewno by wykryła.

W czasie analizy byłem obecny. Zwróciło moją uwagę, że próbówki z płynem stoją w pobliżu tego samego licznika cząstek. Zapytałem wówczas Gabriela, dlaczego aparat jest włączony.

— Możesz wyłączyć. Wiem już, kto niszczy algi.

Okazało się, że Gabriel zastawił pułapkę. Wczoraj wieczorem posmarował uchwyty klap zakrywających otwory przy separatorach jakąś pastą radioaktywną. Nad ranem stwierdził licznikiem ślad pasty na szczelkach drabiny prowadzącej do kabiny mieszkalnej, jak również na gałkach w drzwiach łazienki. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś otwierał klapę. Teraz sprawdził, na czyich rękach zostały ślady.

Licznik reagował bardzo silnie w obecności Miry, słabo w obecności Joanny. Joanna schodziła w nocy po drabinie do łazienki i musiała dotykać szczelki i gałek, zanim nad ranem Gabriel zdążył usunąć pastę. Moje ręce pozostały czyste, gdyż nie wstawałem w ogóle w nocy. Joanna była tak wstrząśnięta odkryciem, że z trudem dokończyła analiz. Może właśnie dlatego nie udało jej się nic wykryć. Przeszliśmy do kabiny nawigacyjnej aby naradzić się nad sytuacją. Dla wyjaśnienia sprawy do końca odtworzyłem z taśmy zeznania Miry. Przyznaję, że był to bardzo niefortunny krok, zważywszy stan Joanny. Ale cóż — stało się. Joanna dostała histerycznego ataku. Długi czas nie mogliśmy jej uspokoić.

Po południu doszło do nieuniknionego snięcia. Joanna powiedziała Mirze o paście, oskarżając ją o świadome doprowadzenie do śmierci Emila i zamiar uduszenia wszystkich. Mira przez cały czas ataku Joanny milczała, ukrywając twarz w dłoniach. Dopiero gdy padło oskarżenie o

zamiar zniszczenia ekspedycji, zawołała rozpaczliwie: „Nieprawda!” — i wyszła pospiesznie do obserwatorium.

Poszedłem za nią, obawiając się, że może sobie coś zrobić w przystępie depresji. Zostałem ją siedzącą w fotelu. Zupełnie nie zauważyła mej obecności. Nie reagowała również na moje słowa. Zostawiłem więc ją samą, zaglądając tylko co jakiś czas do obserwatorium.

W tej sytuacji zdecydowałem się zaalarmować Mayerlincka. Oczywiście umówionym hasłem, a nie tak, jak to sobie naiwnie wyobrażała Mira.

„Dr Holwitz prosi o przekazanie pozdrowień dla dra Mayerlincka”.

Tego nie może pozostawić bez odpowiedzi.

Około godziny dwudziestej pierwszej usiłowałem namówić Mirę aby wróciła do kabiny mieszkalnej i położyła się spać. Pokręciła tylko przecząco głową. Po raz ostatni byłem tam około godziny dwudziestej drugiej. Zasnęła w fotelu. Pomyślałem, że chyba ją tak zostawimy. Sen jej dobrze zrobi. Gabriel w tej chwili instaluje dzwonek alarmowy w pionie łączącym obserwatorium z kabinami głównymi. Musimy mieć się na baczności. Chociaż będziemy czuwać na zmianę z Gabrielem — dzwonek nie zawadzi. Trzeba będzie Mirę jakoś izolować. Ale jak?..

Już połowa zbiorników z algami jest nieczynna. Zwiększyliśmy intensywność nasycania i jest nas tylko czworo, lecz Gabrielowi wydaje się ciągle, że brakuje powietrza. Nie wiem, może to sugestia, ale teraz i ja czuję jakby w statku robiło się coraz duszniej.

9 września — 243 dzień podróży

Jest nas tylko troje. Mira umarła. Nie wiem, czy to było zamierzone samobójstwo, czy też zażyła zbyt wiele środków nasennych. Zastaliśmy ją rano martwą w obserwatorium, w tej samej pozycji, w jakiej zasnęła wieczorem. W kieszeni kombinezonu znaleźliśmy trzy pudełka po fatalnych proszkach. Były puste.

Ostatni dyżurował Gabriel. Przez cztery godziny ani razu nie zajrzał do obserwatorium. A może i zaglądał, tylko teraz się nie przyznaje... Może nawet spostrzegł, że sen Miry nie jest naturalny. Może świadomie czekał na jej śmierć?..

Nie wiem. Jakoś zaczynam nabierać, przeświadczenia, że ten

człowiek zdolny jest do wszystkiego. Bo czy nie są wyrazem cynizmu takie słowa, wypowiedziane zaraz po katapultowaniu zwłok:

„To straszne, co się stało, a jednak... dla nas będzie więcej powietrza. Proporcja znów została utrzymana: 50 procent alg — 50 procent załogi...”

Przecież nawet Joanna, która ze strony Miry ostatnio spotykała się tylko z przejawami nienawiści, nawet ona w obliczu śmierci starała się zapomnieć o wszystkim i naprawdę szczerze była wstrząśnięta.

Od Mayerlincka odpowiedź jeszcze nie nadeszła.

10 września — 244 dzień podróży

Dziś chyba po raz pierwszy nie potrzebowałem brać proszków od bólu głowy. Spałem też lepiej.

Wczoraj wieczorem rozmawiałem jeszcze długo z Gabrielem i Joanną. Powinienem właściwie skreślić słowa, które zapisałem parę godzin przedtem. Moje podejrzania wobec Gabriela są nieuzasadnione. Widocznie pod wpływem ostatnich wypadków nabrałem chorobliwej nieufności do wszystkich. Zarówno wczoraj wieczorem, jak i dziś Gabriel zachowywał się zupełnie normalnie. Sam nawet czuł się w obowiązku wytłumaczenia swych niestosownych słów, wypowiedzianych po śmierci Joanny. Co ja piszę? Jak mogłem popełnić tak makabryczną pomyłkę? Oczywiście miałem na myśli śmierć Miry.

Zbyt się przejmuję głupią pomyłką. Nerwy... Nerwy... Ostatnie dni wykończyły mnie zupełnie.

Cały dzień porządkowaliśmy zbiorniki z algami. Jutro wychodzę z Gabrielem na zewnątrz, gdyż chce on nareszcie dokończyć przegląd silników..

11 września — 245 dzień podróży

Dziś rano nadeszła wreszcie wiadomość:

„Doktor Mayerlinck dziękuje kapitanowi Holwitzowi za pozdrowienia i życzy dalszych sukcesów”.

Oznacza to: żadnych doniesień na temat kłopotów z algami.

Jesteśmy zdani tylko na własne siły. Całe szczęście, że nowe kolonie rozwijają się normalnie. Miejmy nadzieję, że i na Marsie nie będzie z nimi kłopotów.

Do końca podróży pozostało jeszcze dziesięć dni. Mars świeci już bardzo jasno. Gdyby żyła Mira...

Miałem nie pisać o tych, którzy odeszli, tymczasem znów wracam do tego samego tematu.

12 września — 246 dzień podróży

A jednak ciągle prześladują nas upiory... Dziś, w czasie gdy byłem z Gabrielem na zewnątrz, Joanna odkryła w obserwatorium, obok maszyny liczącej, cztery niewielkie słoiki z cuchnącą, zgniłą wodą.

Nie ulega wątpliwości, że Mira w tajemnicy wypróbowała trucizny zabijające algi. W dwóch słoikach stwierdziliśmy znaczną zawartość tonargalu. Na jednym były ślady radioaktywnej pasty.

13 września — 247 dzień podróży

Odkryte przez Joannę słoiki z gnijącymi chlorellami znów wprawiły Gabriela w histeryczny stan. Nie chciał dziś wyjść na zewnątrz. A przecież chodzi już tylko o sprawdzenie instalacji elektrycznej. Odpowiada na pytania półsłówkami, albo w ogóle nie odpowiada. Wyraźnie unika zarówno mnie jak i Joanny.

Chyba nie ulega wątpliwości, że zazdrość pchnęła Mirę do zbrodni. Intryga z butelkami służyła tylko jednemu celowi — wmówić Emilowi, że on jest niszczycielem alg. Niewątpliwie istnieje jakiś związek między zatruciem pierwszych zbiorników i wywołaniem wzmożonego napięcia między Stefanem i Emilem. Może Mira sama podsunęła Stefanowi myśl, że Emil chce go otruć? Tego nie dowiemy się nigdy.

Sądzę jednak, że Joanna nie ma racji twierdząc, że Mira w pełni uświadomiła sobie cel swych intryg i niszczycielskich wyczynów. Można raczej przypuszczać, że tylko w niektórych momentach poczynała zdawać sobie sprawę ze swego stanu i wówczas usiłowała za wszelką cenę ukryć to przed nami.

14 września — 248 dzień podróży

A jednak Gabriel jest chyba nienormalny. Gdyby nie to — może należałoby uznać to, co teraz robi, za bunt. Zachowuje się wręcz bezczelnie. Powiedział mi dziś rano, gdy zażądałem od niego aby zakończył prace na zewnątrz, że statku nie opuści. Potem przyniósł mi

schemat i oświadczył, że muszę sam sprawdzić działanie instalacji, bo on nie ma czasu. Odpowiedziałem, że ja również nie mam czasu — jest to zresztą nie mój, lecz jego obowiązek. Na to Gabriel nic nie odrzekł, tylko wyszedł z kabiny.

Cały dzień, aż do tej chwili zajęty jest montowaniem jakichś dodatkowych urządzeń przy zbiornikach z algami. Przerywa jednak pracę w naszej obecności. Gdy Joanna pytała co robi — nie raczył nawet odpowiedzieć. Zażądałem więc od niego wyjaśnień i to kategorycznie — jako dowódca statku. Jednak zamiast odpowiedzi usłyszałem pytanie:

— Czy chcesz sam zająć się algami?

Przypuszczałem, że może nie zrozumiał intencji mego żądania. Wyjaśniłem więc:

— Nie mam zamiaru nic zmieniać. Będziesz się nadal opiekował glonami tak jak dotąd. Powinieneś jednak uzgadniać ze mną wszelkie zmiany jakie chcesz zaprowadzić.

— Jestem innego zdania — przerwał mi nerwowo. — Algami może się opiekować tylko jeden człowiek! Bierze on na siebie odpowiedzialność za życie glonów, a więc i całej załogi. Dlatego musi mieć zapewnioną swobodę wyboru środków ochrony. Inaczej nie podejmuję się tej funkcji. Muszę być pewny, że jeśli coś się stanie, winę będę ponosił tylko ja. Bezpośrednio lub pośrednio. To już nieważne.

— Domagasz się całkowitego zaufania? — poparła, mnie Joanna. — Jaką jednak będziemy mieli gwarancję, że nie spowodujesz zagłady wszystkich alg i końca wszystkiego? Twoje żądanie — może skądinąd słuszne — związane jest ze zbyt wielkim ryzykiem.

— Nie bójcie się! Prędzej zrobię tak jak Emil, niż... Ale muszę być pewny. Muszę mieć tylko do siebie pretensje.

— Uspokój się — powiedziałem pojednawczo. — Musimy się nad tym dobrze zastanowić. Na razie rób to, co uważasz za konieczne.

Przyjął to z wyraźną ulgą.

— Żądam od was jednego — nie dotykajcie zbiorników. Ani żadnych urządzeń aparatury hodowlanej. Ostrzegam was...

— Ostrzegasz? Co to znaczy?

Ale on odszedł nie odpowiadając na moje pytanie. Gdy próbowałem go później nagabywać, nie odezwał się do mnie słowem. Znów „uszkodziłem” nadajnik. Tylko by tego brakowało, aby ten szaleniec

przekazał jakieś niepotrzebne informacje na Ziemię. Oczywiście, zarówno Gabriel jak i Joanna nic nie wiedzą o odmownej odpowiedzi Mayerlincka. Wątpię, aby w tym stanie potrafili zrozumieć słuszność tej decyzji.

15 września — 249 dzień podróży

Zaczynamy się naprawdę obawiać, czy Gabriel nie zwariował. Na wszystkie okienka kontrolne nałożył czarne płytki, a klapy oplombował. Nie mamy więc w tej chwili żadnej kontroli czy algi znów nie giną. Przesiaduje teraz nieprzerwanie w korytarzu. Zainstalował sobie tam coś w rodzaju fotela. Gdy próbowałem odsunąć którąś z płytek zasłaniających okienko, rzucił się na mnie z pięściami wołając:

— Precz! Precz! Nie ruszaj!

Siedzi teraz godzinami w tym fotelu, nic dosłownie nie robiąc. Joanna zaczyna się go lękać panicznie. I nie dziwię się jej.

Dziś wyszedłem sam na zewnątrz i doprowadziłem do końca robotę Gabriela. Joanna chciała pójść ze mną, ale doszliśmy do wniosku, że bezpieczniej będzie, aby jedno z nas pilnowało śluzy. Może Gabriel naprawdę zwariował i wpadnie na zbrodniczy pomysł odcięcia nam drogi powrotu?

16 września — 250 dzień podróży.

Jestem coraz bardziej niespokojny. Przyczynia się do tego sam Gabriel. Widzimy, wyczuwamy niemal każdym nerwem, że nieustannie nas obserwuje. Nie wiem, czy on w ogóle sypia?

Już dwie noce przesiedział w korytarzu. Do kabiny mieszkalnej wchodzi tylko wtedy, gdy jesteśmy tam oboje. Na posiłki zjawia się dotychczas regularnie, ale je bardzo niewiele i nerwowo.

Nie rozmawiamy z nim prawie zupełnie. A raczej on nie rozmawia z nami, gdyż zarówno ja jak i Joanna próbowaliśmy jakoś rozproszyć jego chorobliwe obawy. Bo nie ulega wątpliwości, że to strach. On boi się nas panicznie. Boi się abyśmy nie zniszczyli alg. Może nawet posądza nas, że dybiemy na jego życie?

Dziś rano postanowiliśmy w jakiś sposób uspić jego czujność i zbadać, co się dzieje z glonami. Joanna chciała nawet dosłownie uspić go przy pomocy środków nasennych podanych w jakimś napoju, lecz po

namyśle zrezygnowaliśmy z tej metody, jeśli wyczuje zmianę smaku — gotów posądzić nas, że chcemy go otruć. A przecież ludzie żyjący w stanie ciągłego lęku mogą być nieobliczalni. Na razie staramy się niczym nie wzbudzać niepokoju Gabriela. W ogóle nie podchodzimy do alg, nie podglądamy, gdy coś tam majstruje lub czyści zbiorniki. Musimy jednak zdobyć pewność, że glonom nic nie zagraża.

17 września — 251 dzień podróży

Jest w tej chwili godzina trzynasta dziesięć. Najdalej za dwadzieścia minut będziemy wiedzieli wszystko.

Z korytarza rozchodzi się wyraźnie zapach gnijących glonów. Już wczoraj wieczorem Joanna zwróciła na to uwagę. Nie będę już dłużej zwlekał.

Plan działania jest prosty. W czasie obiadu Joanna zejdzie na dół i sprawdzi zawartość zbiorników. Ja w tym czasie postaram się zatrzymać Gabriela w kabynie mieszkalnej. Choćby siłą. Jest on znacznie węższej budowy ode mnie. Zresztą w razie czego mam broń.

19 września — 253 dzień podróży

Joanna nie żyje. On ją zabił. Ten obłąkaniec. Że też nie potrafiłem tego przewidzieć!... Sam posłałem ją na śmierć.

Piszę to wszystko w tym celu, aby pozostał dowód, jak było naprawdę. Nie wiem, co stanie się jutro, za godzinę, może za minutę...

Tak, jak postanowiliśmy z Joanną — opuściła ona w czasie obiaduabinę mieszkalną. Gdy tylko wstała od stołu i podeszła do włazu, Gabriel zerwał się z miejsca i chciał biec za nią.

Byłem jednak szybszy. Zagrodziłem mu drogę mówiąc, że chcę porozmawiać z nim w cztery oczy. Próbował odepchnąć mnie od włazu, ale chwyciłem go za ramiona i odrzuciłem na środek kabiny.

— Puść mnie! — bełkotał, a widząc, że nie mam zamiaru ustąpić, zaczął wołać na całe gardło.

— Joanno! Nie ruszaj! Nie dotykaj klap! Nie dotykaj!

W oczach jego zobaczyłem obłądny strach.

— Poczekaj! Czego się spieszysz? — powiedziałem dość spokojnie.

I wtedy usłyszałem jęk Joanny. Podbiegłem do włazu.

Joanna wisiała bezwładnie, uczepiona klapy zbiornika przy

separatorze, a ciało jej drgało w jakichś nienaturalnych konwulsjach.

Zeskoczyłem z drabiny i chwyciłem ją w pól. W tym samym momencie uderzenie prądu elektrycznego zważyło mnie z nóg. Oderwałem jednak Joannę od klapy.

W pierwszej chwili myślałem, że tylko zemdląca. Próbowałem rozcierać jej ciało, stosować sztuczne oddychanie. Na próżno — nie żyła. Prawdopodobnie serce nie wytrzymało wstrząsu.

Cóż za potworny, szatański, iście obłąkańczy pomysł — podłączyć do sieci metalową obudowę zbiorników. I ten zbrodniarz stał jeszcze obok! Nawet nie usiłował ratować Joanny. Powtarzał tylko w kółko głupie, naiwne usprawiedliwienie: że nie chciał jej zabić, że to tylko dla ochrony alg... jako ostrzeżenie. Kłamał, że napięcie nie było wysokie... Jeszcze teraz ten bełkot dudni mi w uszach.

20 września — 254 dzień podróży

Gabriel ucieka na mój widok. Jednocześnie czuję, że mnie obserwuje nieustannie. Na pewno będzie próbował mnie również zabić.

Dla pewności sypiam w laboratorium, blokując drzwi. Długo tak nie pociągniemy — zwłaszcza, że on zatruwa dalej algi. Wczoraj były jeszcze cztery zespoły czynne. Dziś w jednym woda zżółkła. Muszę Gabriela w jakiś sposób unieszkodliwić.

Za dwa dni powinienem włączyć silniki. Przeważenie mnie ogarnia, że mam spędzić na Marsie czterysta pięćdziesiąt pięć dni z obłąkanym człowiekiem. Czy zresztą uda się zapobiec zniszczeniu wszystkich kultur?

21 września — 255 dzień podróży

Zabiłem Gabriela. Przyznaję się do tego czynu otwarcie. Nie ukrywam nic. jeśli dane mi będzie powrócić na Ziemię — niech ten pamiętnik będzie dowodem, że nie mogłem inaczej postąpić... Nie wiem, czy ktokolwiek na moim miejscu znalazłby inne wyjście. Mogłem najwyżej odebrać sobie życie... Trzeciej drogi nie było.

To straszne, co piszę, ale dopiero w tej chwili potrafię oddychać swobodnie.

Chyba nie ma nic potworniejszego jak śmierć czająca się za każdym włazem, za każdym załamaniem ściany, sygnalizowana każdym

szmerem, każdym nowym zapachem...

Strzeliłem do niego. Po prostu — nie wytrzymałem nerwowo. Cóż z tego, że on nie miał broni? Mógł mnie zabić na tysiąc sposobów! Moja śmierć oznaczałaby koniec ekspedycji. Czy obłąkany człowiek zdolny byłby do jakiegokolwiek rozsądnego działania?

Rano oczyściłem zatrute zespoły i pozakładałem nowe kultury glonów. Jestem zupełnie spokojny. Ciągłe tylko staję mi przed oczami twarz Joanny i Emila... Tak głupio, niepotrzebnie zginęli...

Za czternaście godzin włączam silniki. Rozpoczynam przyspieszanie statku i wchodzenie na okołomarsyjską orbitę parkingową. Za dwa miesiące mam lądować. Czyż mogłem się spodziewać, że wyląduję na Marsie sam jeden?

22 września — 256 dzień podróży

Stało się coś, czego lękałem się najbardziej. Z dwunastu zbiorników alg — pięć wypełnia żółtawa ciecz. A więc nie Gabriel... Jeśli zaś nie Gabriel...

Nie włączyłem silników. Planeta minęła statek, który podąża teraz dalej po swej orbicie wokół Słońca, zniekształconej przyciąganiem Marsa. Na podobnie dogodne zbliżenie statku i planety trzeba czekać dziesiątki, może setki lat.

Jestem skazany na śmierć!...

Trzeba z tym wszystkim szybciej skończyć. Znalazłem w laboratorium jeszcze trzy butelki tonargalu. Należę do każdego zbiornika. Do każdego! Jeśli robiłem to nieświadomie, to lepiej tak od razu... Potem koniec.

23 września — 257 dzień podróży

Jeszcze żyję. Zginęły dalsze dwie kultury glonów. Ciekawe, że nie od razu wszystkie siedem. Jak dotąd algi giną w tych zbiornikach, które oczyszczałem.

Cóż mnie w tej chwili obchodzą głupie glony?...

Ciągle teraz myślę o Joannie...

24 września — 258 dzień podróży

Z algami dzieją się dziwne zjawiska. Wczoraj wieczorem wlałem

resztę tonargalu do jednego ze zbiorników ze starą kulturą, która dotychczas trzymała się nieźle. Dziś stwierdziłem, że zginęły znów dwie kultury, ale ta wczoraj „zatruta” trzyma się nadal świetnie. Czyżby tonargal nie niszczył alg?

Słoje z glonami, znalezione w obserwatorium, mogły służyć innym celom niż nam się zdawało. Może Mira podejrzewała, że chodzi tu o jakieś okropne nieporozumienie i sama próbowała eksperymentować? Dlaczego jednak chlorelle ginęły w czasie doświadczeń Emila i Miry?

25 września — 259 dzień podróży

Algi giną nadal. Już teraz nie tak gwałtownie ale nieustannie. Wiem jedno — nie tonargal je zabija. To jest chyba jakaś nieznaną epidemia. Może gdyby Stefan nie umarł — nie byłoby tego wszystkiego. Na pewno wykryłby przyczynę. Żyliby dziś Joanna, Emil, Mira, Gabriel...

Czy mogę jednak wierzyć swemu rozsądkowi, gdy oni... Może jednak ja jeden jestem obłąkany?...

26 września — 260 dzień podróży

Pozostał jeszcze jeden zbiornik z żywymi algami, ale już pod mikroskopem widać, że chorują. To już koniec. Próbowałem zakładać nowe kultury, ale nic już z tego nie wychodzi.

Chyba to jakaś infekcja wirusowa. Zdaje mi się, że gdzieś czytałem jakoby choroby wirusowe roślin przypominały zatrucie środkami chemicznymi. Jeśli tak byłoby istotnie — trzeba spróbować spojrzeć inaczej na wszystko, co przeżyliśmy w tych strasznych pięciu tygodniach. Pod wpływem promieniowania kosmicznego mogła przecież powstać nowa, niezwykle zjadliwa, nieznaną dotąd mutacja jakiegoś wirusa. Początkowo wirusy opanowały tylko jeden zespół roboczy aparatury. Dopiero gdy Emil oczyścił zbiornik wylewając wodę ze zniszczoną kulturą do kanału, poczęły one stopniowo przenikać przez filtry do innych zbiorników.

Przecież wirusy są przesączalne. Mogliśmy zresztą sami przenosić zarazki, pobierając próbki z innych kultur. Nikt z nas nie zachowywał szczególnej ostrożności sądząc, że glony niszczy tonargal lub kwas solny.

Ta hipoteza pozwala również wytłumaczyć wyniki eksperymentów Emila i Miry. Nie tonargal niszczył kultury — to słoje były zakażone. Gdy

wlałem tonargal wprost do zbiornika — glony nie zginęły.

A obecność tonargalu w zespołach roboczych aparatury? Prawdopodobnie któryś z filtrów lub pochłaniaczy był uszkodzony i tonargal przeniknął z kanału po wylaniu tego leku przez Stefana, a później przez Mirę. Łatwo też wytłumaczyć dlaczego stwierdziliśmy większe stężenie tonargalu w tych zbiornikach, w których algi były martwe, a w innych — gdzie były żywe — zaledwie jego ślady. Po prostu — żywe algi asymilowały tonargal... Od paru dni w ogóle nie podejmuję łączności z Ziemią. Mayerlinck może spokojnie reklamować „Alga-Food”.

Jutro zniszczę pamiętnik.

27 września — ostatni dzień ekspedycji

Algi zginęły. Korzystam teraz z rezerwowego zapasu tlenu. Niewiele go już zostało.

Nie zniszczę pamiętnika. Musi pozostać ślad... Lojalność ma też chyba jakieś granice. Czy jestem obłąkany, czy też to były wirusy?

Ostatnio stale przesiaduję w obserwatorium. Gdy patrzę w czarną przestrzeń ulegam złudzeniu, że jestem bliżej Joanny.

Teraz za kilkadziesiąt minut opuszczę statek. Wiem, że śmierć to koniec wszystkiego. Że tam, po drugiej stronie, nic nie ma. A jednak czuję jakąś radość... Idę do nich... chociaż w ten sposób będziemy razem... i Joanna... i Emil...

Toccata

Spośród stu trzydziestu czterech ludzi biorących udział w wyprawie do gromady kulistej M 55 — na Ziemię powróciło tylko troje.

Dziewięćdziesięciu dwóch pochłonęły na zawsze niebieskie dżungle planety Kloto 4. W czterdziestym trzecim dniu pobytu na tym globie, gdy wydawało się, że już nic ludziom nie grozi ze strony tamtejszych mikroorganizmów, zmarli w ciągu kilkunastu godzin wszyscy uczestnicy ekspedycji planetograficznej.

W dwadzieścia dwa dni później epidemia wybuchła wśród załogi statku-bazy. Nie oszczędziła nikogo, lecz tym razem trzy przypadki nie były śmiertelne. Wirus paraliżu klotońskiego pozostawił jednak trwały ślad w organizmach dwojga uczestników nieszczęsnej wyprawy.

Światło gromady kulistej M 55 biegnie do Słońca dziewiętnaście tysięcy lat. Statek międzygwiazdny przybył niemal całą tę drogę z chyżością tylko o nieznaczny ułamek procentu mniejszą od prędkości światła.

Gdy zegary statku międzygwiazdznego wskazywały tygodnie — na Ziemi płynęły wieki...

Dla Rosta, Mii i Helii wyprawa do gromady kulistej M 55 trwała pięć lat. Dla ludzi zamieszkujących Ziemię minęły w tym czasie trzysta osiemdziesiąt dwa wieki. Mówiły o tym zarówno obliczenia teoretyczne, jak i zmiany we wzajemnych położeniach gwiazd.

Pierwsze sygnały radiowe z Układu Słonecznego złapała Helia w ostatnich miesiącach hamowania — w odległości jedenastu miliardów kilometrów od Słońca. Przypominały telemetryczne meldunki, ale treści ich nie potrafił rozszyfrować żaden komputer.

Obserwacje i pomiary wskazywały, że w fizycznej strukturze Układu Słonecznego nastąpiły zmiany, które można było wytłumaczyć tylko świadomym działaniem istot myślących.

Wenus i Merkury przestały krążyć jako pojedyncze planety po odrębnych orbitach — przeobraziły się w planetę podwójną, wirującą wokół wspólnego środka masy jak Ziemia i Księżyc.

Mars zyskał cztery nowe księżycy i to świecące własnym światłem.

Za to w pobliżu Ziemi — nawet wówczas gdy odległość od rodzinnej planety zmalała do paru milionów kilometrów — nie dostrzeżono żadnego z wielkich sztucznych satelitów, które w końcu XX stulecia stanowiły największą dumę ludzkości. Widocznie obecny poziom techniki nie wymagał budowy baz dla lotów kosmicznych.

Gdy już stały się możliwe zdjęcia i obserwacje teleskopowe szczegółów powierzchni ziemskiego globu, stwierdzono również znaczne zmiany w kształcie lądów. Trudno było przypuścić, aby działały tu siły geologiczne. Znikł Bałtyk, Morze Śródziemne i Czarne, a w ich miejscu można było, przy znacznym powiększeniu, dostrzec subtelną siatkę kanałów i sztucznych jezior. Niegdyś żółte obszary pustyń pokrywała zieleń.

A jednak...

W obrazie rodzinnej planety było coś niepokojącego... Zwróciła na to uwagę Mia. Leżąc nieruchomo w swej koi patrzyła w sufitowy ekran, na którym świecił niebieskawym blaskiem sierp Ziemi. Kiedy już rozmiary owego sierpa przestały mieścić się w ramach ekranu, na oświetlonej stronie planety w przerwach między chmurami można było bez trudu dostrzec ciemne plamy wielkich miast. Miast tych przybyło chyba stokrotnie! A jednak...

Z chwilą gdy pogrążały się w cieniu — na próżno szukano odbłasku ich światel nocnych... Nieprzenikniona czerń okrywała kontynenty.

*

Pierwszą audycję foniczną, a następnie telewizyjną odebrano dopiero pod sam koniec podróży. Z głośnika nie popłynęły jednak słowa oczekiwanego powitania. Sucha instrukcja dotycząca ostatniej fazy lotu — rozkaz przestawienia automatycznego pilota na sterowanie zdalne — i to wszystko. Zdania wypowiedziane matowym, bezbarwnym głosem, miały dziwaczną i bardzo skondensowaną, jakkolwiek poprawną budowę.

— To chyba nie mówi człowiek, lecz automat — zauważyła Helia.

Wtedy po raz pierwszy w głowie Rosta zrodziło się podejrzenie...

Na ekranie telewizyjnym nie ujrzeli żadnego człowieka. Audycja wizyjna, powtórzona parokrotnie, przedstawiała przebieg przyszłego ich lądowania. W ostatniej fazie lotu statek miał być sprowadzony na Ziemię w „asyście” sześciu maszyn przypominających płaskie krążki.

Jakkolwiek rozmiary tych krążków były ogromne, wobec całkowitego braku jakichkolwiek śladów okien czy kopuł obserwacyjnych, należało wątpić, aby znajdowali się w nich ludzie. Oczywiście, pokazując przyszły rozwój wydarzeń, musiano operować makietami i trikami, niemniej obraz sprawiał wrażenie rzeczywistości chwytej okiem kamery na gorąco.

Na zakończenie padło z głośnika lakoniczne pytanie:

— Dlaczego nie wszyscy?

Nie zrozumieli, o co chodzi. Na ich pytania odpowiedź długo nie nadchodziła.

— Dlaczego tylko troje? — popłynęły wreszcie z głośnika słowa, a na ekranie ukazał się fragment starego filmu, przedstawiający ostatnie chwile przed startem „Heliosa”. Ujrzeni raz jeszcze twarze zmarłych towarzyszy. Nieznany spiker czytał monotonnym głosem listę nazwisk i funkcji...

Dlaczego nie zapytano ich w sposób jasny i prosty, co stało się z innymi uczestnikami ekspedycji? Oszczędność słów doprowadzona do absurdu, to znów sięganie do zupełnie zbytecznych środków poglądowych, dogodnych może w dialogu przedstawicieli różnych cywilizacji kosmicznych, ale nie ludzi między sobą...

Helia przedstawiła pokrótce tragiczne dzieje ekspedycji. Gdy wspomniała o ciężkim stanie Mii i Rosta, łączność została przerwana.

Tego dnia nie odebrali już żadnej audycji. Gubili się w domysłach. Nasuwało się stosunkowo proste rozwiązanie zagadki — ale odrzucali je z lękiem, szukając z uporem innego, choćby opartego na jak najbardziej sztucznych i nierealnych hipotezach.

Byle tylko nie to!...

*

Rost nie mógł zasnąć tej nocy. Przed oczami stawały mu męczące, koszmarne obrazy Ziemi, na której nie ma już człowieka... Ziemi obcej, dalekiej i strasznej.

Nad ranem nie wytrzymał nerwowo. Z trudem dobrnął do centrali radiowej i wezwał Ziemię.

Nie powiedział, gdzie idzie — ani Mii, ani Helii. Bał się, że będą usiłowały go przekonać, aby jeszcze poczekał, że będą starały się odwlec jak najdłużej tę chwilę, która może przynieść wyjaśnienie i... pogrzebać

ostatnie nadzieje.

Po długim oczekiwaniu odezwał się sygnał kontrolny.

— Czego chcecie?

Dwa słowa zimne, nieprzystępne.

Rost stłumił drżenie warg i zapytał wprost, otwarcie, bez niedomówień:

— Z kim rozmawiam? Z człowiekiem czy z maszyną?

Chwila ciszy. Potem znów tylko dwa słowa wypowiedziane tym samym jak poprzednio tonem:

— Nie rozumiem.

— Czy jesteś człowiekiem? Takim jak ja?

— Nie.

Wiedział, że taka będzie odpowiedź, a jednak... Opadł ciężko na fotel. Uczuł ból w skroniach.

— Jak wyglądacie? Pokażcie się! — usłyszał za sobą głos Helii. Stała w drzwiach, patrząc z lękiem na martwy ekran.

— Nie rozumiem — padło z głośnika w odpowiedzi.

— Czy można was zobaczyć? Pokażcie obraz!

Znów cisza. Widocznie rozmówca znajdował się w odległości kilkuset tysięcy kilometrów, prawdopodobnie na Ziemi lub na Księżycu.

— Kogo? — padło zaskakujące pytanie.

— No, choćby ciebie! Chcemy zobaczyć ciebie!

— Nie można — nadeszła po kilkunastu sekundach odpowiedź.

— Dlaczego nie chcesz nam pokazać, jak wyglądasz? Kto ci nie pozwala? A może lękasz się nas? Może nie chcesz nas przerazić swym widokiem? Nie bój się, jesteśmy zahartowani! Nie lękamy się prawdy!

Z napięciem czekali reakcji.

— Pokaż myśl... — usłyszeli wreszcie w odpowiedzi. Co kryło się za tymi dwoma słowami?

Czyżby była to metafora? Helia jednak nie ustępowała.

— Jednak przecież gdzieś jesteś? Jest struktura, w której biegną impulsy... Pokaż nam tę strukturę, a przynajmniej zewnętrzny, fizyczny kształt tego, w czym się ona mieści.

Minęła długa chwila.

— Wycinkowo! — padł z głośnika pojedynczy wyraz. Jednocześnie na ekranie pojawiła się mozaika żółtych i czarnych plam.

Obraz począł się jakby oddalać.

Kamera obejmowała coraz większe pole widzenia. Wymiary plam i odległości między nimi malały szybko, wreszcie żółte i czarne punkty zlały się w jednolitą, gładką powierzchnię, która przybrała barwę błękitną. Powierzchnia ta zaczęła teraz jakby pęcznieć, nabierać kulistości.

Ujrzeni gruszkowaty twór, jeden, drugi, dziesiąty... Niektóre z tych tworów były jakby zawieszane w powietrzu, inne wspierały się na długich, wygiętych w spiralę prętach.

— Czy są jeszcze na Ziemi ludzie? — wyrwało się Rostowi rozpaczliwie pytanie.

— Tak.

— Chcemy ich zobaczyć!

— Zobaczycie na Ziemi.

— Nie! Pokażcie ich teraz! Tu na ekranie!

Obraz zamigotał i znikł. Zieloność palmowego gaju wypełniła ramy ekranu. Wśród tej przyrody, skąpanej w słonecznym blasku, spoczywały pod przezroczystym kloszem, na sztucznym kolistym wzniesieniu, dwie istoty ludzkie.

Byli to z pewnością mężczyzna i kobieta. Ale choć harmonijnie zbudowani, razili podobieństwem w proporcjach anatomicznych: mężczyzna był jakby zbyt kobiecy, kobieta zbyt męska, a niezwykle bujne włosy, uformowane u obojga w ten sam sposób — na kształt dwóch spłaszczonych kul po obu stronach czaszki — zacierają jeszcze bardziej różnice. Twarze drobne o smagłej cerze, wydatnych wargach i silnie zarysowanych kościach policzkowych, odzwierciedlały chyba zlanie się w jedność wszystkich istniejących przed wiekami ras.

W pierwszej chwili wydali się Rostowi zupełnie nadzy, gdy jednak zwrócił na to uwagę Helii, zaprzeczyła twierdząc, iż widzi wyraźnie obciste srebrzyste stroje. W miarę, jak się wpatrywał w ekran, począł rzeczywiście dostrzegać coś na kształt odzieży, ale wydała mu się ona raczej cienką warstwą mlecznej mgły pokrywającej ciała, niż jakimś metalicznym tworzywem.

Początkowo zresztą nie przywiązywali do tej różnicy spostrzeżeń wielkiej wagi, zajęci tym, co działo się na ekranie.

Mężczyzna i kobieta mieli oczy przymknięte. Zdawali się drzemać

beztrosko w upalny dzień, wśród rajskiej przyrody, jakby stworzonej tylko po to, aby mogli tak trwać w uśpieniu, zapomniawszy o otaczającym ich świecie.

— Czy ci ludzie... żyją? — zapytała z lękiem Helia.

Rost uczuł nieprzyjemny skurcz w krtani.

— Myślisz, że oni... — wyszeptał i urwał.

Mężczyzna poruszył się. Rost ujrzał, jak dotknął dłonią ramienia kobiety, potem przesunął palcami po wewnętrznej powierzchni klosza i uniósł głowę. Oczy miał jednak nadal zamknięte, zaś twarz jego była obojętna, bez wyrazu.

Helia podeszła kilka kroków do ekranu, potem cofnęła się i usiadła obok Rosta na poręczu fotela.

— Czy możemy z nimi porozmawiać? — zapytała ukrywając z trudem niepokój. Znów tylko jedno słowo w odpowiedzi:

— Rozmawiacie.

Rost zacisnął nerwowo dłoń Helii.

— Po co kłamie? Po co przeczy samemu sobie? — syknął przez zęby. — Przecież przed chwilą mówił co innego.

— Pokażcie miasta! — rzuciła Helia z determinacją.

Obraz zmętniał i znikł. Miejsce palmowego gaju zajęły szerokie, proste ulice. Czy to zresztą były ulice? Trudno dociec. Chodników ani ludzi nigdzie nie mogli dostrzec.

Panowały za to niepodzielnie maszyny. Wśród wysokich, podobnych do iglic gmachów o prostej, surowej architekturze przebiegały we wszystkich kierunkach setki pojazdów. Często mijaly się w powietrzu, „przeskakując” niejako przez siebie. Niektóre zbaczały i znikaly w głębi ciemnych pochylni biegnących gdzieś w głąb ziemi.

Pojazdy i domy nie miały ani drzwi, ani okien. Ściany ich były mlecznobiałe, nieprzeniknione dla ludzkiego oka.

Rost pochylał głowę coraz niżej i niżej.

— Nie! Nie! Dość tego!

Uczuł na włosach miękkie dotknięcie palców Helii.

— Uspokój się... Jeszcze nic nie wiadomo.

— Co nie wiadomo?! Czy ci to nie wystarczy? — wskazał na martwy już ekran. — Co oni zrobili z ludźmi?! A raczej co ludzie zrobili z ludzkością?!

— Więc ty przypuszczasz?...

— Czy można tu mieć jakieś złudzenia?

— Przecież tamtych dwoje, to byli ludzie!

— Ludzie? Czy można nazwać ludźmi bezmyślne istoty, wegetujące pod kloszami w jakichś muzeach czy ogrodach zoologicznych?

— Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski. Pamiętasz, jak ten człowiek podniósł rękę? Jestem pewna, że palce jego przeszły na wskroś tego rzekomego klosza.

— To ci się zdawało! Tak, jak ten strój srebrzysty... Ja go nie widziałem!

— Nie widziałeś? Czy to możliwe, aby dwie osoby, patrzące równocześnie na ten sam ekran, widziały każda co innego?

— A więc masz dowód! — rzucił z gorzkim tryumfem. — Próbują nas oszukiwać! To wszystko fikcja! Ci ludzie... ta przyroda... Ja nie mam już złudzeń, że panami Ziemi, a z pewnością i całego Układu Słonecznego, są istoty sztuczne!... Że te istoty przewyższyły ludzi i podporządkowały ich sobie? Czy nie rozumiesz, że te miasta nie są wytworem ludzkiej cywilizacji, ludzkiej kultury? Że to cywilizacja i kultura robotów?!

— Ależ!...

— Możesz jeszcze wątpić? Czy nie przypominasz sobie: „Nadmierna organizacja życia społeczeństwa w warunkach pełnej automatyzacji musi doprowadzić do podporządkowania człowieka maszynie”? To były prorocze słowa! Automaty nie tylko produkowały dla ludzi! Automaty poczęły myśleć za ludzi! Nie człowiekowi one służyły, lecz bezosobowej strukturze państwowej, w której ludzie i automaty zespały się, stapiały w jeden organizm społeczny, coraz ściślej, coraz pełniej...

— To niemożliwe.

— Możliwe! Zupełnie możliwe! Zarówno jednostki, jak i całe społeczeństwa uzależniały się od tych maszyn coraz bardziej, a one przeobrażały świat tak, aby stał się światem, w którym najlepiej mogłyby pełnić swoje funkcje. Tworzyły świat dla siebie! Nie dla człowieka! I dlatego stały się jego władcami! Stały się spadkobiercami ludzkości! I oto widzimy wynik...

— Jesteś szalony. Przecież jeszcze nic pewnego nie wiemy!

— Ja jestem szalony?! To ci, którzy pchali ludzkość ku zagładzie, byli obłąkani!

Z wysiłkiem zaczerpnął powietrza.

— Nie wiem — powiedział po chwili już spokojniej, z jakąś ponurą rezygnacją. — Może zresztą to było nieuniknione? Może nie było innej drogi? Może tak być powinno i właśnie owe sztuczne twory człowieka są naszymi prawowitymi spadkobiercami?

Zacisnął dłonie na poręczy fotela. Krew pulsowała mu w skroniach, a czaszkę zdawał się rozsadzać mącający myśli ból. Przed oczami poczęły mu wirować jaskrawe, kłujące wzrok światełka. Zamknął powieki. Ale to nie pomogło. Ból wzrastał się.

Znów poczuł dotknięcie chłodnej dłoni na czole. Gdzieś z daleka dobiegł go głos Helii:

— Masz gorączkę...

— Nic mi nie jest! Nic... — usiłował wstać, lecz siły go opuściły. Czuł, iż zapada się w jakąś otchłań, w czarną, nieprzenikloną noc bez świateł gwiazd i dalekich mgławic... Wielkie ponure budowle piętrzą się jedne na drugich coraz to wyżej i wyżej, a wśród nich — podobne do mrówek i komarów — tysiące poruszających się szybko pojazdów. Dążą one nie wiadomo gdzie, to pojedynczo, to grupami, w jedną, w drugą stronę. Ich drogi krzyżują się w przestrzeni, tworząc dziwaczne zygzaki, spirale, sinusoidy... Lecz oto, gdzieś z podziemi wypływa na ulicę czarna rzeka... Rzeka ta rozlewa się coraz szerzej. Coraz wyżej wzbierają jej wody... by wreszcie rozpląnąć się w bezbrzeżnym oceanie... nicości.

*

Rozwarła się przezroczyta czasza kopuły wejściowej. Po raz pierwszy od tysiącleci wtargnęło w głąb statku przepelnione zapachem lasu powietrze Ziemi. Wraz z nim wpłynęło do wnętrza osiem błyszczących kul. Nie dotykając podłóg, jak balony pchane lekko powiewem wiatru, podążyły ku kabinom mieszkalnym.

Helia doprowadziła je aż do koi Rosta i Mii. Potem stanęła przy włączniku i oparta plecami o ścianę trwała tak ze wzrokiem utkwionym w niezwykłych przybyszach.

Tymczasem kule podzieliły się na dwie grupy i popłynęły nad koje. Chwilę krążyły w powietrzu, wreszcie zatrzymały się nad ciałami spoczywających bezwładnie ludzi.

Mia nie spała. Rozszerzonymi z podziwu oczami wodziła po kulach.

Naraz ciało jej uniosło się wolno w górę. Wstrząsnął nią dreszcz

niepokoju.

— Helio! — zawołała rozpaczliwie. — Gdzie jesteście? Boję się!

Na ten okrzyk, a może pod wpływem ruchu własnego ciała, które także uniesione zostało w górę, ocknął się z odrętwienia Rost. Przez chwilę błędził wółprzymomnym wzrokiem wokoło.

— Więc... to... już?

— Tak. Jesteśmy już na Ziemi! — usłyszał głos Helii. — Zaraz zobaczysz...

— Nie. Nie chcę... — wyszeptał z przerażeniem. — Lepiej wracać! Z powrotem! W Kosmos!

— Gdzie mamy wracać? — spytała łagodnie. — Tu przecież nasz dom.

— Nieprawda! Tu już nie ma naszego domu! Nie mamy domu!

— Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Będziecie zdrowi.

— Zdrowi?! I cóż z tego? Czy będziemy mogli opuścić Ziemię?

— Jeśli tylko zechcemy...

— Jeśli zechcemy?... — spojrzał na nią nieprzytomnie. — Ale ty zechcesz. Ty mi pomożesz. Ty zechcesz. Nie zapomnisz, co mówiliśmy. Zaczniemy nowe życie... Stworzymy nowy świat!...

— Tak. tak. Nie lękaj się niczego. Tam są ludzie... — mówiła łagodnie podążając za towarzyszami unoszonymi w powietrzu niewidzialnym polem sił.

Rost zdawał się jej nie słyszeć. Patrzył z napięciem przed siebie, jakby czegoś oczekując.

Tymczasem kule wyniosły go już poza otwarty właz kopuły w przestrzeń. W zapadającym mroku ujrzał z góry szeroki, owalny plac. otoczony pierścieniem lasu.

— Gdzie oni? Gdzie ludzie? — zawołał ochryple.

Ale nikt mu nie odpowiedział. Ciało jego opadało wolno w dół. Wokół niego poczęły wyrastać spod ziemi czarne, dziwaczne twory o długich, cienkich ramionach. Uczuł, że osuwa się na miękkie, puszyste łożo.

— Jak ciemno — skonstatował niemal bez zdziwienia. — Ciemność. Tylko ciemność...

Była to ostatnia myśl, pozostała w jego pamięci z tamtej chwili.

*

Ocknął się gwałtownie, jakby wyrwany nagle silnym bodźcem świetlnym z głębokiego snu. Przebudzenie nie było jednak przykre: czuł się rześki i wypoczęty, a w miarę, jak znikwały ostatnie ślady odurzenia sennego, ogarniało go przyjemne, podniecenie i nieodparte pragnienie działania.

Ujrzał nad sobą błękit nieba i białe, postrzępione z lekka obłoki. Przesuwały się wolno i znikwały poza krawędziami oświetlonego słońcem muru.

Znajdował się w przestronnej, okrągłej sali, czy może raczej atrium, o wysokich pozbawionych okien ścianach. Na ich powierzchni jawiły się i znikwały barwne plamy, bezkształtne, to znów zgeometryzowane i tworzące zadziwiająco zharmonizowane wzory.

Sala była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć łóżka czy raczej tapczanu, na którym Rost spoczywał.

Powiódł wzrokiem jeszcze raz wokoło, ale nie dostrzegł nigdzie drzwi. „Złota klatka” — przemknęło mu przez głowę.

Ta myśl nie wzbudziła w nim niepokoju. Stał się tylko czujniejszy i gotów stawić czoła każdemu niebezpieczeństwu. Spróbował usiąść i ze zdziwieniem stwierdził, iż odrętwienie i ból, towarzyszące jeszcze niedawno każdemu ruchowi, zniknęły bez śladu. Uczuł, jak ogarnia go nieprzeparta chęć sprawdzenia, czy i paraliż nóg ustąpił. Wstał, ostrożnie opierając się na rękach, lecz nic nie wskazywało, aby nogi miały odmówić posłuszeństwa. Jak to się stało?

Przecież podczas kilkuletniej podróży nastąpił zanik niektórych mięśni. Niemożliwe, aby z dnia na dzień zaszła taka radykalna zmiana. Trzeba na to wielu tygodni, a może nawet miesięcy...

Postąpił parę kroków ku ścianie, zatoczył się z lekka, ale natychmiast odzyskał równowagę. Mógł chodzić! Czy to możliwe? Przecież na to, aby odzyskać sprawność fizyczną, trzeba długotrwałych ćwiczeń... Nie przypominał sobie nic, co by wskazywało, iż uprawiał takie ćwiczenia. Odczuwał niepokój, ale stłumił go bez trudu. Widocznie luka w pamięci wiązała się z procesem leczenia. Nie wydaje się, aby istoty rządzące światem, mimo obcości, której przejawów mieli już okazję doświadczyć, miały jakieś złe wobec niego zamiary. Przecież w gruncie rzeczy zdany jest na ich łaskę i niełaskę.

Pomyślał w tej chwili, czy nie mogą one również kierować tokiem

jego myśli. I czy w ogóle byłby w stanie zdać sobie z tego sprawę? To go niepokoiło.

Przeszedł wolno, jeszcze niepewnie stawiając nogi, przez salę raz, drugi i trzeci. Zadziwiająco szybko nabierał wprawę.

Uwagę jego przykuwał jednak coraz bardziej nie jego własny stan, lecz trwająca nieprzerwanie gra barw i kształtów na ścianach atrium. Zastanawiało go, czy jest to tylko dynamiczna kompozycja dekoracyjna, przeobrażająca się w wyniku przypadków, czy też może coś więcej niż dzieło plastyczne.

Nie potrafił odkryć sensu tego, co działo się przed jego oczami, ale intuicyjnie wyczuwał, a nawet wyodrębniał pewne prawidłowości w zasadach przekształcania się obrazów. Jednocześnie skonstatował, iż samo śledzenie owych zmian sprawia mu przyjemność, że czuje się spokojniejszy, a myśli biegną chętniej i swobodniej. Może nabierają nawet większej precyzji?

Czy jednak to odczucie nie było złudzeniem? Wiadomo przecież, iż poddany działaniu narkotyków człowiek może wyobrażać sobie, że dokonuje genialnych odkryć, w rzeczywistości powtarzając banalne prawdy albo wręcz plotąc bezsensowne bzdury. Co prawda fakt iż sam nad tym się zastanawia, mógł świadczyć, że nie ulega narzuconej sugestii. Czy jednak również to, o czym myśli, nie może być narzuconą sugestią? Czy w ogóle jest w stanie coś stwierdzić obiektywnie, wydostać się poza „zaklęty krąg” własnej psychiki?...

Wokół panowała cisza. Uderzył butem o podłogę, ale żaden dźwięk nie dobiegł jego uszu. Było w tym coś przeciwnego naturze, coś, co mąciło spokój płynący z doznań wzrokowych. Podświadomie starał się wypełnić tę pustkę, dobywając z pamięci jakieś stare, dawno zapomniane przeżycia. Przed oczami stanęła mu sala koncertowa. Orkiestra, jakiś muzyk przy fortepianie... Zapragnął odtworzyć w wyobraźni zasłyszaną melodię. Ale pamięć przywodziła tylko rytm, uparty, ostry, niemal mechaniczny...

Odczuwał nieokreślony niepokój. Gdyby Helia i Mia były z nim razem... Konfrontacja spostrzeżeń, to też sprawdzian. Teraz uświadomił sobie wyraźniej: niepokój rodziło osamotnienie.

Ogarnęło go gwałtowne pragnienie ujrzenia ostatnich bliskich mu istot. Pragnienie rozmowy — zwykłej, ludzkiej rozmowy... Musi je

odnaleźć! Musi!

Rozejrzał się rozpaczliwie po sali, jakby szukając sposobu wydostania się poza otaczające go ściany. Nagle osłupiał.

Ujrzał Helię i Mię. Pojawiły się gdzieś na tle przeciwległej ściany, jakby przekraczając zasłonę z mgły. I szły teraz ku niemu. Trzymały się za ręce, a ściślej — Helia podtrzymywała niepewnie poruszającą się jeszcze Mię.

To chyba nie była halucynacja.

— Jesteście? — zapytał niezbyt sensownie.

— Jak widzisz...

Uśmiechały się do niego i mimo, iż nie wyzbył się wątpliwości, odczuł wyraźną ulgę.

— Ciągle się boję, że to wszystko może być złudzeniem — powiedział po chwili, jakby się usprawiedliwiając.

Przez twarz Helii przebiegł cień.

— To znaczy... co?

— Wszystko! I te ściany, to niebo, wy obie, nawet moje własne ciało. To, że mogę chodzić jak dawniej...

Helia ujęła go za ramię i uściśnięła. Czyżby w ten prymitywny sposób chciała zadokumentować swe realne istnienie? Ale przecież i to mogło stanowić tylko kierowaną z zewnątrz grę sygnałów w jego mózgu. Chciał odrzucić tę myśl, zepchnąć ją poza margines świadomości, ale wracała uparcie.

— Nie dręcz się tym — powiedziała serdecznie Mia. — To nie ma sensu. A przynajmniej... do niczego nie prowadzi — dodała po chwili. — Powiedz lepiej, co się z tobą działo?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Obudziłem się kilkanaście minut temu. Ostatni obraz, jaki pamiętam, to nocne niebo. Jakieś zarysy lasu i kule wynoszące nas ze statku. Co było później — nie wiem. Czy minął miesiąc, czy rok, czy jeden dzień...

— Dwa dni — powiedziała Helia.

— Czy to możliwe?

— Byłam cały czas przytomna.

— A Mia?

— Pół godziny temu odzyskała przytomność. Tak jak ty. Ja nie

byłam poddana żadnym zabiegom.

— Skąd wiesz? Przecież musiałaś spać. A wówczas...

Helia uśmiechnęła się.

— Początkowo byłam tak samo nieufna, jak ty... Pamiętasz jednak ten wieczór, gdy was wynoszono? Świecił Księżyc. Zaobserwowałam jego położenie wśród gwiazd. Do dziś przesunięcie wynosi około trzydziestu stopni. A więc ponad dwa dni. Teraz mamy ranek.

— I co robiłaś przez te dwa dni? Czy widziałaś ICH?

— Widziałam.

Powiedziała to z pozoru swobodnie, a nawet przez twarz jej przebiegł blady uśmiech. Ale wzmogło to tylko jego niepokój.

— Czy można się z nimi porozumieć?

Poruszyła przecząco głową.

— To chyba zrozumiałe — dodała niepewnie. — Trzysta osiemdziesiąt wieków! Myślę jednak, że gdy poznamy ich lepiej...

Uwaga Helii pogłębiła tylko zdenerwowanie Rosta.

— Czy to nie nadmiar optymizmu? A ty, Mio. co o tym wszystkim myślisz? — rzucił, siląc się na spokój.

— Ja? — zapytała z wahaniem. — Ja patrzę i słucham... Jeszcze za wcześnie na konkluzje. Przede wszystkim to, że chodzę, że mogę się poruszać, to w tej chwili dla mnie najważniejsze.

— Najważniejsze... — powtórzył w zamyśleniu.

— Łatwiej niż ci się zdaje — powiedziała niespodziewanie Helia, jakby odpowiadając na pytanie. — Ale nie w ten sposób. To niemożliwe.

— Dlaczego? — zapytał odruchowo.

— Nad nami setki piętér...

— Gdzie? Przecież widać niebo.

— Tylko jego obraz. Wędruję po tym gmachu Już dwa dni. Wszędzie, w każdym niemal pomieszczeniu, na każdej kondygnacji, gdy spojrzysz w górę — widzisz niebo

— A więc... — rozpoczął i urwał.

— Sądzę, że nie masz racji. To nie klatka. Nikt nie ma zamiaru nas więzić. Te ściany...

— Co wy?! — przerwała nagle Mia. Patrzyła rozszerzonymi zdziwieniem oczami na Helle, to znów na Rosta.

Teraz dopiero uświadomił sobie dziwny przebieg rozmowy.

— Wiedziałaś, o czym myślę... — wyszeptał z niepokojem.

Helia wydawała się zaskoczona.

— Rzeczywiście. Pytałeś najpierw, jak można się stąd wydostać. Że te ściany... gdyby choć wspiąć się na nie i spojrzeć...

— Tak! Ale ja nie pytałem! Pomyślałem tylko...

Pamiętam przecież. Zresztą Mia jest świadkiem.

— Jak to możliwe? — Mia patrzyła niepewnie na Helię.

— Trudne pytanie. Sama nie wiem. To przychodzi jakby z zewnątrz. Chwilami. Po prostu... jak gdybym słyszała słowa wypowiedane przez ciebie. Podobnie było wówczas, jak nas wołałeś...

— Nie wołałem.

— Chciałeś nas zobaczyć, prawda?

— Tak. Czyżby telepatia?

— Nie wiem. Zbyt wielka wyrazistość... Chyba raczej jakieś urządzenie techniczne.

— A ty? — zwrócił się do Mii. — Czy też słyszałaś wołanie?

— Nie. Pomyślałam tylko w tym momencie o tobie: co się z tobą dzieje.

— Skąd więc wiedziałyście, gdzie mnie szukać?

— Nie potrzebowałyśmy cię szukać. To nie tak... Zobaczyłam ciebie... Przedtem zresztą Mię...

Urwała. Rost zamyślił się.

— Nie bardzo mi się to wszystko podoba — odezwał się po chwili.
— Mówiłaś, że można się stąd wydostać? — zmienił nagle temat.

— W każdej chwili.

— Którędy?

— Wszystko jedno. Możemy iść w dowolnym kierunku.

— Przez ścianę? — zapytał na wpół z ironią.

— To nie są ściany w naszym tego słowa znaczeniu. Możesz je przekroczyć bez trudu. Chodźcie!

Helia poprowadziła Rosta ku najbliższej ścianie, gdzie potok kolorowych płam raz po raz przybierał kształt długich wstęg i współśrodkowych pierścieni.

Gdy dzieliło ich od barwnej powierzchni nie więcej niż półtora metra, obraz zmętniał. Spowiła go mleczna mgła, z której wyłoniło się coś na kształt tunelu czy korytarza. W jego głębi, prawdopodobnie u

wylotu, jaśniało światło dnia.

— Dokąd idziemy? — zapytała szeptem Mia.

— Na zewnątrz. Zaraz zobaczycie.

Korytarz utkany z mgły rozpieczętował się i ujrzeli, że stoją na skraju otwartej przestrzeni, czy raczej tarasu, zawieszzonego u ściany ogromnego gmachu. Tam, skąd przyszli, widniał teraz jasna, jednostajnie gładka powierzchnia bez drzwi i okien. Budowla pięła się na kształt ogromnej, niebotycznej iglicy. Najwyższe jej partie raz po raz przesłaniała woal przesuwających się po niebie obłoków.

Rost patrzył w górę, nie mogąc oderwać wzroku od tego niezwykłego widoku, aż oto uderzony nagłą myślą chwycił Helię za ramię i wskazując na wznoszący się nad nimi gmach, zapytał głosem pełnym nerwowego napięcia:

— Skąd wiesz, że to nie jest złudzenie? Jeśli tamto niebo było tylko obrazem rzuconym na sufit, to przecież nie mamy dowodu, czy to...

— Nie mamy — skinęła twierdząco głową. — Ale moim zdaniem, to wcale nie takie ważne, jak ci się zdaje...

Nie próbował zastanawiać się nad jej słowami. Patrzył chciwie na rozległy krajobraz wyłaniający się przed nim z mgieł. W dole ujrzał szerokie, prostokątne, poprzecinane pasami zieleni płaszczyzny. W oddali rysowały się niezliczone wieże, czy raczej iglice, podobne do tej, na której się teraz znajdowali. Wydawało mu się, że gdzieś z góry dobiegają jego uszu dźwięki muzyki. Jakaś dziwna, jękliwa melodia... Ale było to chyba złudzenie, bo gdy wsłuchiwał się dłużej w te dźwięki, nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż to tylko wiatr gra w niewidocznych załamach budowli.

Wskrzesało to znów tamtą, zagubioną w pamięci scenę. Pianista pochylony nad fortepianem i charakterystyczny, pełen motoryczności rytm toccaty... Czyj to był utwór, nie był w stanie sobie przypomnieć. Czyżby tysiąclecia wymazały przeszłość nawet z jego umysłu?... A może to po prostu obsesja? Nie! Nie wolno mu się poddawać!

— Na razie nie pozostaje nam nic innego jak obserwować, gromadzić fakty — powiedział po dłuższym milczeniu, już niemal zupełnie spokojnie. — Przede wszystkim niech mówi Helia. Wszystko, co pamięta z tych ostatnich kilkudziesięciu godzin. Powinniśmy wiedzieć, co się z nią działo od chwili, gdy rozeszły się nasze drogi. To może nam

wiele pomóc. A później spróbujemy nakreślić jakiś plan działania.

— Po cóż szczegółowo opowiadać?... I tak wkrótce sami wszystkiego doświadczycie... — odparła ściszym głosem, jakby zmieszana.

Rost popatrzył badawczo w jej twarz.

— Nie rozumiem — odparł po chwili. — Czego mamy doświadczyc? Twoich przeżyć?

Poruszyła się niespokojnie, a w oczach jej pojawiło się ni to zdziwienie, ni zakłopotanie.

— Jak ci to wytłumaczyć?!... Szczegóły moich przeżyć nie są najważniejsze... Inaczej zresztą patrzyłam na to wszystko jeszcze przedwczoraj z rana, a inaczej patrzę dziś...

— Ale chyba pamiętasz, co robiłaś w ciągu tego czasu?

— Pamiętam.

— No, powiedz, jak opuściłaś statek? — indagował nieustępliwie.

— Zjechałam dźwigiem za wami... Ale was już nie było. Nie wiedziałam co robić. Czy wracać do statku? Czy iść i was szukać? Ale gdzie? Bałam się... Naprawdę ogarnął mnie wówczas strach... że zostanę sama. Wtedy zobaczyłam światełko. Małe światełko. W odległości nie większej niż metr ode mnie. Nie żadna kula, maszyna czy przyrząd... Samo światło. Szłam ku niemu, a ono prowadziło mnie. Przez ciemność! Tylko Księżyc świecił... W złączeniu z Alfą Panny. Wkrótce zresztą znikł. I on, i gwiazdy... Pozostała tylko ciemność, i to światło... i tak szłam chyba z kwadrans... może dłużej... Jakby pod górę, potem w dół, i znów pod górę...

— Nie spojrzałaś na zegarek? To może być ważne.

— Nie pomyślałam o tym. Na niewiele by się to zresztą zdało. To są jakby ruchome chodniki...

— Więc nie znasz ani kierunku, ani odległości? To fatalne. A zresztą... z pewnością już go tam nie ma — powiedział na wpół do siebie.

— Nie potrzebujesz się martwić o statek. Stoi na swoim miejscu. Widzę go...

— Gdzie?!

Milczała.

Spojrzał w kierunku, w którym zwrócona była jej twarz. Ale tam wznosił się tylko szereg gigantycznych budowli, u których podnóża, poprzez niezwykle szeroką arterię komunikacyjną toczył się nieprzerwanie strumień błyszczących w słońcu „owadów”.

— Gdzie widzisz statek? — ponowił pytanie przenosząc wzrok na Helię. Uczuł nieprzyjemny skurcz w krtani.

Helia miała oczy zamknięte.

— Ależ ty... — urwał w pół zdania.

Mia ścisnęła jego dłoń aż do bólu. Spojrzał na nią pytająco. Pokręciła przecząco głową. Zrozumiał...

— Czy daleko stąd do statku? — spytała Mia, z trudem ukrywając niepokój.

— Chyba... nie.

Helia stała nadal nieruchomo.

— Więc nie możesz wskazać nam kierunku? — spytał Rost z ponurą rezygnacją.

— Mogę.

— Pokaż ręką.

— Tam! — wskazała przed siebie.

— Za tą najwyższą iglicą?

— W niej.

— W tym gmachu?! Przecież wylądowaliśmy na jakimś rozległym, płaskim terenie, otoczonym lasem. Widzieliśmy wszyscy!

— Tak. Pamiętam, i widzę. O! Wyraźnie widzę! Statek stoi w samym centrum tej płyty... To chyba płyta?... Nic się nie zmieniło.

— I to wszystko ma być w tej iglicy?! Bzdura! — nie wytrzymał Rost.

Nie odpowiedziała, tylko pochyliła głowę. Przez twarz jej przebiegł nerwowy skurcz. Otworzyła oczy. Chwilę patrzyła w półprzytomnie na Rosta i Mię. Dotknęła ręką czoła.

— Co to było? — wyszeptała na wpół do siebie.

Rost uśmiechnął się gorzko.

— Miałaś jakieś halucynacje... — rzucił ponuro. — Obawiam się...

— Nie! — przerwała Helia gwałtownie. — To nie była halucynacja! Widziałam nasz statek!...

— W tamtej iglicy?! Na rozległym placu... Otoczonym lasem... — dorzucił z ironią.

— Tak — potwierdziła niepewnie. — To niby nonsens... Ale wiem. Wiem, że tak jest... naprawdę! — dodała z wysiłkiem.

— Uspokój się — powiedziała Mia łagodnie, — Jesteś zmęczona.

— Nie. Czuję się zupełnie dobrze... Tylko...

— Tylko co?

— Jakoś dziwnie... Zaczęło się to już wczoraj... W takiej niedużej sali... Gdy patrzyłam na swoje myśli...

— Co ona plecie? — Rost pochylił się nad uchem Mii. Mimo iż powiedział to bardzo cicho, Helia dosłyszała.

— Nie plotę, Rost. Widziałeś te ściany? Tam w tym niby atrium.

— Oczywiście. Mówisz o wstęgach i plamach barwnych?

— Tak. To odbicie twoich myśli. Świadomych, a być może i podświadomych procesów w mózgu.

— Bzdura!

— Przyjrzyj się dobrze. Możesz przecież eksperymentować. Przekonasz się, że mam rację.

— Chodźmy tam! — zapaliła się Mia.

— Nie! — Rost chwycił ją za rękę. — Jeśli w tym, co mówi Helia, jest choć trochę prawdy, tamto wewnątrz jest czymś w rodzaju aparatu do czytania myśli. Nie chcę, aby te potwory wdzierały się w głąb mej psychiki. Aby ją poznały i zrobiły ze mną to, co uczyniły z Helią.

Helia zdawała się nie słyszeć ostatniej uwagi.

— Nie mów tak o nich. To nie potwory. To ludzie. Inni niż my — to prawda. Inni fizycznie i psychicznie. Ale doskonalsi, potężniejsi, lepiej widzący świat...

— A więc już tak daleko zaszło? — wyszeptał z niekłamaną zgrozą. — Powiesz może: piękniejsi i szczęśliwsi?...

— Nie powiem, Rost. Jestem głęboko przekonana, że każda epoka ma swój specyficzny ideał piękna i szczęścia. Nieporównywalny historycznie.

Spojrzał na nią z uwagą. Co się z tą Helią dzieje? Niby jest taka jak zawsze: trzeźwa, rozumująca jasno i logicznie. To znów za chwilę bredzi jak w gorączce. Jeśli to samo ma się stać i z nimi?...

— Co było później? Mów dalej, Helio — usłyszał dziwnie spokojny głos Mii. — Szłaś więc za tym światłem?...

— Potem... światelko zgasło. Otoczyła mnie jasność. Byłam w jakimś gmachu. Przed sobą widziałam korytarz. Oświetlony. Niskie sklepienie... Ale, jak tylko weszłam w ten korytarz, stał się przestronny. Szłam wolno, a ściany zdawały się biec szybko gdzieś poza mnie. Byłam jednocześnie pewna, że wznoszę się w górę. Potem mgła. Nie wiedziałam wtedy, że to

pola siłowe. Podejrzewałam nawet, że to sen. Potem sala. Bez sufitu. Widziałam gwiazdy i Księżyc wysoko na niebie. Te same gwiazdy i Księżyc co tam, na polanie... Na ścianach błyskały kolorowe ogniki...

Rost słuchał i czuł, jak wzbiera w nim gniew na Helię, że mówi to wszystko tak jakoś bezosobowo, beznamiętnie, tonem pozbawionym wszelkich emocjonalnych odcieni. Opowieść zdawała się wydłużać, jakby rozwadniać, nie wnosząc, jak dotąd, wiele do tego, co znał ze swych własnych, zaledwie kilkudziesięciminutowych doświadczeń. Helia krążyła w labiryncie sal i korytarzy, które być może zresztą wcale nie były salami i korytarzami. Widziała jakieś twory, maszyny, których nie tylko przeznaczenia, ale nawet kształtu nie była w stanie określić. Jakież ciecze czy gazy pulsujące w przezroczystych zbiornikach i przewodach. Jakież nieruchome, zda się zastygłe w przerwany z nagłą procesie przypadkowych przeobrażeń, ni to istoty żywe, ni maszyny, między którymi granica zagubiła się już dawno w setkach wieków postępu.

W ciągu tych dwu dni Helia spała i odpoczywała niewiele. W sumie zaledwie około trzech godzin. Nie odczuwała też ani głodu, ani pragnienia, a inne naturalne funkcje fizjologiczne ulegały wyraźnemu zanikowi.

Konkretnych, uzasadnionych naukowo wniosków, czy choćby hipotez na temat zaobserwowanych zjawisk, nie podawała prawie wcale. Do wyjątków należało odkrycie korelacji między tokiem myśli a zmianą kształtu i barwy rzekomych elementów dekoracyjnych. Ale czy upoważniało to do stwierdzenia, że owe dynamiczne abstrakcje stanowią rzeczywiście odbicie tego, co działo się w jej mózgu? Zbyt wiele sądów było zawieszonych w próżni, nie popartych żadnym konkretnym dowodem, aby Rost mógł je przyjąć za prawdziwe.

Helia zdawała sobie zresztą z tego sprawę. Była przekonana, że jest tak jak mówi, ale nie potrafiła określić źródeł tego przekonania. Nie ulegało wątpliwości, że umysł jej w ciągu tych kilkudziesięciu godzin znajdował się pod przemożnym wpływem sił rządzących planetą.

Kim były istoty władające Ziemią? Jak wyglądały? Tego z opowiadania Helii nie można było dociec. Prawda! Mówiła o ludziach. O dziwnych istotach ludzkich, jakże niepodobnych do Rosta, Helii i Mii. Spotkała je kilkakrotnie w czasie swych wędrówek, Przeważnie pogrążone były jakby w transie, czasem śpiące, raz nawet zajęte czymś,

co według słów Helii przypominało taniec.

Helia twierdziła, że to są właśnie gospodarze Ziemi. Ale Rost podejrzewał, że to tylko myśl, którą jej narzucono i przeciw której nie jest już w stanie zbuntować się jakże trzeźwy niegdyś umysł uczonej.

Nie potrafiła przecież podać żadnego rozsądnego argumentu na poparcie tego twierdzenia.

Czyż można było bowiem uznać za taki argument subiektywne odczucie, iż w obecności tych istot szybciej i łatwiej odnajdywała związki między zadziwiającymi zjawiskami, że jakby głębiej, pełniej i wnikliwiej patrzyła na świat ją otaczający, że zatracał on swą niepokojącą obcość i kurczyła się jakby przepaść trzystu osiemdziesięciu wieków...

Cóż miało to oznaczać? jeśli w tym wszystkim, co mówiła, była choć część prawdy — obraz Ziemi, wynikający z jej słów, przypominał dziwny, poplątany, gorączkowy majak senny, w którym na próżno byłoby szukać konkretnej, realnej rzeczywistości. Chociaż starał się zachować pełnię nie tylko obiektywizmu i rozwagi, ale również ostrożności i umiarkowania w krytycyzmie, nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż to, co słyszy, jest wytworem chorego lub, co gorsza, zdalnie sterowanego mózgu.

Czy Mia odczuwała to samo? Ogarniał go gniew na nią. Dlaczego wpatruje się tak w Helię? Czyżby wierzyła temu, co mówi?

— Mia!

Odwróciła głowę i spojrzała na niego zdziwiona.

— O co chodzi?

— Czego się boisz? — dorzuciła Helia. W głosie jej zdawała się brzmieć ironia.

— Ty mówisz... Ty mówisz... mówisz... — zająknął się — A czas ucieka! — dokończył zaczerpnąwszy nerwowo powietrza.

— Sam chciałeś — odparła lakonicznie i umilkła.

— Mniejsza o to. Powiedz lepiej, czy możesz nas zaprowadzić do statku?

Poruszyła się niespokojnie.

— Spróbuję.

Znów znaleźli się w sali podobnej do atrium. Lecz chociaż w pierwszej chwili Rost mógłby przysiąc, że wrócili tą samą drogą, było to inne pomieszczenie niż to, w którym się obudził.

Nie było w nim tapczanu, za to w kilku miejscach wyrastały z podłogi dziwaczne twory, przypominające kwiaty o wielkich, rozchylnych kielichach. Ściany też były jakby niższe, a przede wszystkim — podzielone na kilka pierścieni-segmentów o zmieniających się szybko barwnych plamach i liniach geometrycznych.

— Chcecie sprawdzić? — zapytała nagle Helia, zatrzymując się na środku sali. — Wystarczy dokonać prostej operacji rachunkowej. Powiedzmy, podzielić lub pomnożyć. Zaraz zauważycie zmianę.

— Nie! — zaproponował gwałtownie. — Chodźmy stąd. Prędeż! I radzę wam: jak najmniej rozmyślań. Najlepiej: tylko o tym, jak stąd wyjść. Helia uśmiechnęła się blado.

— Jak chcesz... — powiedziała bez przekonania. — Ale nie wiem czy...

— Powiesz, że to nie ma sensu? A ja myślę, że to ma sens! A jeśli nawet... Cóż nam pozostaje?...

— Rost ma chyba rację — skinęła głową Mia. — Chodźmy!

Znów przekroczyli ścianę. Korytarz był tu jakby dłuższy i wznosił się w górę. Za nim — sala podobna trochę do poprzedniej i nowy korytarz, również pnący się do góry.

— Czy jesteś pewna, że idziemy właściwą drogą? —

— Tak sądzę... — powiedziała, uśmiechając się z lekka.

— Przecież wchodzimy coraz wyżej! A jeśli prawdą jest, że statek znajduje się w tej iglicy, którą nam pokazywałaś, to chyba najpierw trzeba wydostać się z tego gmachu, a więc zejść na dół.

— Nie znam innej drogi.

— Skąd wiesz, że tędy właśnie należy iść?

Znów się uśmiechnęła.

— Już jesteśmy niedaleko — odrzekła nie odpowiadając na pytanie.

— Co?! Nie powiesz mi, że...

— Nie denerwuj się. Mówię prawdę. Zaraz będziemy na miejscu.

Spojrzał na zegarek.

— To niemożliwe! Wtedy, z góry, sam widziałem... Iglica była oddalona od nas co najmniej dwa kilometry. Idziemy dopiero osiem minut. Nawet nie wyszliśmy z gmachu.

— Mówiłam ci już, że odległości nie można tu mierzyć krokami!

— Skąd wiesz, że idziemy właściwą drogą? — zapytała Mia.

— Widzę.

— Jak to możliwe?

— Nie wiem — odpowiedziała szczerze.

Tego już było Rostowi za wiele. Przyskoczył do Helii, chwycił ją za ramiona i potrząsnął:

— Słuchaj! Obudź się! Weź się w garść! Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się z tobą dzieje? Przecież to potworne! Zachowujesz się jak w stanie hipnozy! Obudź się!

Odsunęła delikatnie, ale stanowczo jego ręce.

— To ty zachowujesz się jak... dzikus.

— Jak dzikus? — stropił się nieco. — Ja cię przepraszam, ale...

— Jeśli mam być szczerą, właśnie to określenie jest najodpowiedniejsze.

— Może zachowałem się zbyt gwałtownie... Ja cię naprawdę przepraszam.

Zaśmiała się z lekka.

— Ależ... Nie rozumiesz, o czym mówię. Nie o to mi chodzi! To znaczy — nie chodzi o mnie! Znalazłeś się w innym świecie. Całkowicie różnym od tego, do jakiego przywykłeś. Złość cię ogarnia, że nie rozumiesz zjawisk w nim występujących. Złość pomieszana ze strachem! I fabrykujesz złe duchy...

— Ależ ja chcę tylko wiedzieć!

— A myślisz, że ja nie chcę? Albo Mia? Ona milczy i patrzy. Bo cóż innego nam pozostaje? Można mieć tylko nadzieję, że stopniowo uda nam się pojąć choćby cząstkę tego, co widzimy i doznajemy.

— Ależ to są zjawiska, które nie mogą występować realnie! One przeczą logice. Nie tylko świadectwu zmysłów. Świat jest przecież zjawiskiem obiektywnym. Przestrzeń i czas...

— Nie spiesz się tak — przerwała mu spokojnie.

— Wyobraź sobie człowieka jaskiniowego, który znajdzie się nagle w obliczu telefonu, radia i telewizora, a choćby tylko windy szybkiej... My jesteście takimi jaskiniowcami...

— Ależ...

— I ty wymagasz ode mnie, aby ci wytłumaczyła, w jaki sposób widzę odległe przedmioty, choć oczy mam zamknięte. Widzę z bliska, lepiej niż własnymi oczami... Albo, że powinnam ci powiedzieć, jak to

możliwe, że z pozoru nie wyszliśmy z gmachu odległego od miejsca lądowania o dwa czy trzy kilometry, a tymczasem statek nasz znajduje się tu... za tą ścianą! — wskazała ręką.

— Za tą ścianą? — powtórzyła Mia. — Więc to już?...

— Już.

Helia ujęła oboje za ręce, jak matka dzieci, i poprowadziła ku ścianie, gdzie wielkie, żółte i czerwone trójkąty nikły z wolna w wirujących ramionach spirali. Ogarnęła ich na chwilę mgła i oto znaleźli się nagle... w lesie.

Wysoko nad ich głowami wznosiły się rozłożyste korony sosen. Pod stopami czuli piaszczysty grunt porośnięty trawą i rzadkim wrzosem.

Mia podeszła do najbliższego pnia i dotknęła palcami grubej, chropowatej kory.

— Chodźcie — ponagliła Helia.

Trzydzieści metrów dalej, spoza zarośli wyłoniła się otwarta przestrzeń. Wielki, owalny plac otoczony ze wszystkich stron lasem. W jego środku, na wklęsłej płycie startowej stał ich statek.

Rost zatrzymał się na skraju lasu. Dłuższą chwilę patrzył w niemym podziwieniu na lśniący w słońcu kadłub rakiety, jakby ją po raz pierwszy zobaczył. Nagle, pod wpływem jakiegoś wewnętrznego impulsu, rzucił się naprzód i zaczął biec ku statkowi. Kilkusetmetrową odległość przebył biegiem, nie zwalniając, ani nie oglądając się poza siebie. Dopadł wreszcie zdyszany i spocony do ogromnej płaskiej „stopy” jednego z trzech amortyzatorów „Heliosa”, i przywar dłońmi i czołem do zimnej powierzchni metalu.

Wzmagające się w ostatnich godzinach napięcie nerwowe ustąpiło raptownie. Chociaż gdzieś, na granicy świadomości, czaił się jeszcze niepokój — dominującym uczuciem, jakie go w tej chwili ogarnęło, była radość.

A więc rzeczywiście odnalazł statek! To nie mógł być sen, ani halucynacja!... Starał się wierzyć w to głęboko i niezachwianie. Więc jeszcze nie wszystko stracone! Mogą opuścić tę Ziemię obcą i niezrozumiałą. Przytłaczającą bogactwem i potęgą władania nad materią, świadomie czy nieświadomie dążącą do ujarznienia ludzkiej duszy. Ale on na to nie pozwoli! Chce pozostać wolny i niezależny! Choćby musiał stąd odejść na zawsze i szukać gościnniejszej Ziemi, gdzieś wokół innych

słońc. Uniósł głowę i spojrzał w górę na wznoszący się nad nim — niczym wielopiętrowy gmach z metalu i plastyku — statek międzygwiazdny. Właz kopuły wejściowej był otwarty. Wyprostowane ramię dźwigu sięgało platformą transportową powierzchni Ziemi.

Ogarnęło go nieprzeparte pragnienie znalezienia się jak najszybciej we wnętrzu statku.

Wstał i podszedł do platformy dźwigu. Jeszcze tylko przez moment po naciśnięciu guzika, nim obudzone sygnałem do działania wielkie ramię drgnęło i poczęło unosić platformę w górę, odczuł krótki, gwałtowny przypływ niepokoju. Ale maszyna działała sprawnie i nic nie wskazywało, aby ktoś — lub coś — próbowało przeszkodzić Rostowi w realizacji podjętej decyzji.

Wokoło panowała cisza. Uświadomił to sobie dopiero teraz, gdy ramię dźwigu dokonało już półobrotu i wspinało się dalej w górę ku kopule wejściowej, z pamięci wyłowił wspomnienie: las pełen zapachów i dźwięków, cichy szum drzew i świergot ptaków. Nie był jednak pewny, czy jest to wspomnienie sprzed kilkunastu minut czy z przeszłego, zagubionego w tysiącletniach życia. Czuł na twarzy delikatny powiew wiatru, lecz dalekie korony sosen zdawały się nie poruszać.

Im wyżej wznosiła się platforma, tym szerszy obejmował wzrokiem krajobraz. Na próżno jednak próbował dostrzec ściany budowli, w której przecież miał mieścić się ów kosmodrom. Wszystko zdawało się raczej wskazywać, iż znajduje się na szczycie rozległego wzgórza porośłego sosnowym lasem, a dopiero gdzieś w oddali, wśród dolin i innych wzgórz, wznosiły się owe dziwne, podobne do iglic wieżowce bez okien.

Platforma dotarła do kopuły i zamarła w bezruchu. Rost spojrzał jeszcze raz w dół, gdzie na zalanej słońcem wielkiej płycie startowej czerniły dwie małe sylwetki ludzkie: Helia i Mia szły wolno w kierunku statku.

Właściwie powinien był poczekać na nie na dole. Nie potrafił jednak wyjaśnić sobie, dlaczego postąpił inaczej. A zresztą... Czy to było takie ważne?

Przesunął dźwignię do położenia „planeta” i przeskoczył próg śluzy. Już miał przejść w głąb statku, gdy uwagę jego zwróciła delikatna warstwa kurzu na podłodze komory — widocznie nawianego przez otwartą kopułę. Rysowały się na niej wyraźnie ślady jego butów, a pod

nimi... jak gdyby zarys bosych stóp ludzkich.

Przyjrzał się śladom uważnie. Stopy musiały być niewielkie, szerokie, o bardzo krótkich palcach.

Kim był tajemniczy gość? Czy była to jedna z tych istot ludzkich, o których wspominała Helia? Nie wydawało się możliwe, aby wegetujące w cieplarnianych warunkach, cofnięte w rozwoju umysłowym istoty, potrafiły uruchomić dźwig...

Kiedy nastąpiły odwiedziny? Chyba kilkanaście godzin temu, gdyż ślady pokrywała nowa, cienka warstwa pyłu.

Lecz ślady mówiły tylko o wyjściu owej istoty ludzkiej ze śluzy na platformę dźwigu...

Wejść do wnętrza statku musiała wcześniej. Być może od razu tamtej nocy. po tym, jak go opuściła Helia. Wyobraził sobie dzikusa plądrującego kabiny... Może uszkodzona została aparatura kierownicza?

Z niepokojem przekraczał próg przedsionka.

Wygląd korytarza i kabin nie nosił jednak żadnych śladów odwiedzin. Nic się tu nie zmieniło od chwili, w której opuścili statek. Ale Rost nie ufał pierwszemu wrażeniu. Szedł od kabiny do kabiny, badał skrupulatnie wszystkie pokłady od sterowni aż po warsztaty i magazyny. Na próżno. Tajemnicza istota nie pozostawiła żadnych śladów swej obecności — poza odciskiem bosych stóp na zakurzonej podłodze przedsionka...

Wrócił na koniec do sterowni, jeśli plan miał się udać — należało jak najspieszniej przystąpić do jego realizacji. Włączył centralny ośrodek obliczeniowy i począł przygotowywać zadanie. W rachubę wchodził chyba tylko któryś z księżyców Jowisza lub Saturna. Jeśli zaś wszystkie są już całkowicie zagospodarowane, trzeba będzie uzupełnić zapasy gdzieś dalej. Uran, Neptun... Wątpliwe, aby i tam władała niepodzielnie cywilizacja Ziemi. A bez uzupełnienia zapasów nie ma mowy o dalszym locie. Materii pozostało zaledwie na kilka większych manewrów w obszarze Układu Słonecznego.

Podszedł do tablicy sterowniczo-kontrolnej piątego zespołu roboczego i spojrzął na wskaźnik zapasu materii w głównym zbiorniku. W pierwszej chwili sądził, że go wzrok myli, lecz to nie było złudzenie! Sprawdził jeszcze wskaźniki rezerwowych zbiorników. To samo!

Dysponował pełnym zapasem materii! Czy możliwe, aby w ciągu

dwóch dni zdołano wypełnić zbiorniki nie ruszając statku z miejsca? W najlepszych warunkach, przy pełnym obciążeniu energetycznym, zajmowało to osiem dni. „Upychacze atomów” nie mogły przecież działać szybciej. Jednak to, w jaki sposób uzupełniono zapasy, nie było w istocie tak ważne.

Ziemia dysponowała przecież techniką bogatszą o trzysta osiemdziesiąt wieków postępu.

Ważniejszym pytaniem było: dlaczego to zrobili? Chcą ułatwić Im opuszczenie Układu Słonecznego? To chyba nie ulega wątpliwości! Ale dlaczego? Dlaczego chcą, aby odlecieli? Czy możliwe, aby... bali się ludzi z zamierzchłej przeszłości?

Ta myśl w pierwszej chwili wydała się Rostowi absurdalna. Nie odrzucił jej jednak. Potwierdzała w pełni jego przypuszczenia i obawy — a to znaczyło dla niego wiele. Przede wszystkim szukał w niej odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu władza rządzących Ziemią istot jest ograniczona. Czyżby rzeczywiście można obudzić z letargu tych, którzy „przestali chcieć”?...

Wzdrygnął się. Uczuł dotknięcie czyjejś ręki na ramieniu. Odwrócił się gwałtownie, gotów stoczyć walkę z niespodziewanym napastnikiem. Ale za nim stała tylko Mia.

— Przestraszyłam cię... — powiedziała, jakby się usprawiliwiając.

— Myślałem, że... to oni.

Patrzyła na niego z głęboką troską.

— Czy to prawda, że chcesz odlecieć?

— Tak! — potwierdził z determinacją. — Skąd wiesz?

— Powiedziała mi... Helia. Wiesz przecież. Ona...

— Wiem. Ale to minie. Minie, jak zły sen. Będzie normalna. Taka jak my. Gdzie... — rozpoczął i urwał niespokojnie.

— Jej tu nie ma. Została.

— Jak to? Została na dole? Po co? Na co czeka? Nie mamy czasu!

Dostrzegł w jej oczach jakiś niepokojący wyraz.

— Ona nie czeka. Odeszła.

— Dokąd?!

— Tam...

Nerwowy skurcz wykrzywił twarz Rosta. Stał wyprostowany, z pochyloną naprzód głową i wpatrywał się oczami pełnymi zdziwienia i

lęku w Mię.

— Dlaczego... pozwoliłaś jej... odejść?

— Nie masz prawa żądać od niej...

— Co ty mówisz?! — przerwał jej wzburzony. — To byłaby zbrodnia pozostawić ją w tym stanie! Chodź! Idziemy! — chwycił ją za rękę.

— Czeka! Chodzi o to...

— Nie! Trzeba ją dogonić, zanim przekroczy granicę lasu. Chodź! Albo nie! — Zmienił nagle zamiar. — Zostań tu. Czeka na nas. Tak będzie lepiej.

Skoczył ku drzwiom.

— Rost!!!

— Pilnuj statku!

Wybiegł ze sterowni.

*

Gdy dotarł do śluzy, Helia dochodziła już do skraju lasu.

— Stój! Helia! — zawołał jak mógł najgłośniej, ale chociaż okrzyk dotarł do jej uszu, widocznie nie zrozumiała słów, gdyż tylko machnęła ręką kilkakrotnie na pożegnanie i zniknęła w zaroślach.

Zdawał sobie sprawę, że zjazd dźwigiem i bieg na przełaj przez kosmodrom pochłonie zbyt wiele czasu. Nie dogoniłby jej, zanim przekroczy linię „mgieł”. Lecz jeszcze nie wszystko było stracone. Skoczył do przedsionka i pochwycił plecowy motolot.

Zapięcie pasów zajęło zaledwie kilka sekund. Świst wyrzucanego z dysz powietrza przerwał ciszę panującą dotąd na kosmodromie. Maszyna uniosła Rosta w górę i pomknęła w kierunku lasu. Helii już, co prawda, nie widział, ale pamiętał dobrze, w którym miejscu zniknęła jej ciemna sylwetka.

Po chwili leciał już nad koronami sosen. Widział wyraźnie w dole niskie krzaki jałowca i kępy wrzosu. Na próżno jednak wypatrywał Helii. Czyżby zdążyła już przekroczyć „granicę”?

Pole siłowe musiało być gdzieś niedaleko.

Wzbił się nieco wyżej, aby ogarnąć wzrokiem szerszy obszar lasu i powoli zataczał w powietrzu koła, zbliżając się, to znów oddalając od skraju lądowiska. Nagle wydało mu się, że dostrzega w odległości kilkudziesięciu metrów wśród zarośli ciemną sylwetkę ludzką. Pchnął natychmiast maszynę w tym kierunku, ale las w tym miejscu był gęstszy i

korony sosen zasłoniły pole widzenia.

Zniżył lot. Jeszcze jedna, niemal odruchowa próba przeskoczenia gęstwiny i nim zdążył uświadomić sobie co się stało, niespodziewanie otoczył go mleczny obłok.

Oślepiający błysk. Jakaś potężna siła zepchnęła ciało Rosta w dół, podrzuciła w górę, potem znów pchnęła w dół. Uderzył nogami o coś twardego i przekoziółkował, padając na wznak.

Mgła pierzchła. Rost zerwał się z ziemi, lecz nim zdążył ponownie włączyć silnik, z przerażeniem ujrzał, że wprost na niego wali się ogromny, szary blok skalny.

Uskoczył w bok. W tym samym momencie dostrzegł, iż z góry stacza się w jego kierunku ze wzrastającą szybkością inny ciemny kształt.

Znów uskoczył. To, co wydało się blokiem skalnym, było jak gdyby przednią ścianą jakiegoś wydłużonego potwora, który przemknął cicho obok Rosta i zniknął. Lecz już zbliżały się dwa inne — z boku i z góry. Już, już miały go zmiążyć...

Wiedziony jakimś instynktem, w ostatniej chyba chwili przypadł do ziemi. Czyżby mechaniczne potwory nie były w stanie go osiągnąć? Było ich chyba coraz więcej. Nadlatywały ze wszystkich kierunków, jedne nisko tuż nad powierzchnią ziemi, ocierając się niemal o plecy Rosta, inne wyżej, jakby szukając ukrywającej się w dole ofiary. Ale czy było możliwe, aby on, Rost, był rzeczywiście obiektem ataku tych machin? Powoli opanowywał rozdygotane nerwy. Bloki przelatywały nieustannie, lecz obecnie poczynął dostrzegać w ich ruchu pewną regularność. Tworzyły kilka strumieni, biegnących na różnych wysokościach i w różnych odległościach od miejsca, w którym leżał. To, że dybią na jego życie, było oczywiście złudzeniem.

„Jaskiniowiec na skrzyżowaniu wielkich arterii komunikacyjnych nowoczesnego miasta”... Tak by z pewnością powiedziała Helia... i chyba miałyby rację.

Helia... Co się z nią w tej chwili dzieje? Pod wpływem wstrząsających wrażeń zupełnie zapomniał, że przyleciał tu właśnie po nią.

Odpiął pasy motolotu i począł czołgać się w przypadkowo wybranym kierunku. Byle jak najprędzej wydostać się z tego piekła.

„Jaskiniowiec na jezdni” — pomyślał znów z goryczą.

— Nie obawiaj się! Możesz wstać! — usłyszał nagle głos Helii.

— Gdzie jesteś?! — zawołał, rozglądając się wokoło.

— Niedaleko. Wstań!

Podniósł się z ziemi. Teraz dopiero dostrzegł, że znajduje się na dnie jakby gigantycznej studni, której ściany tworzą niebotyczne gmachy. Wielkie szare bloki wyskakiwały nieustannie ze ścian budowli i ginęły w niezrozumiały sposób we wnętrzu innych gmachów.

Nie był zresztą w stanie zastanawiać się nad tym, gdy co chwila przebiegały obok niego ogromne cielska machin. Wrażenie było zbyt silne, jak na jego wyczerpany chorobą i ostatnimi przeżyciami system nerwowy.

— Gdzie mam iść? W jakim kierunku?

— Widzisz ten gmach, po twojej lewej ręce? — usłyszał znów głos Helii.

— Tak. Widzę. To ta sama... iglica?

— Ta sama. Spójrz uważnie! Czy widzisz ciemną, okrągłą plamę wysoko na ścianie?

— Nie widzę. Gdzie?... — urwał i nagle zawołał z przejęciem: — Tak! Widzę ją! Teraz się ukazała!

— Dobrze. Staraj się nie spuszczać z niej wzroku. I chodź! Spokojnie, wolno. Nie ma się co spieszyć...

Plama była niewielka, podobna do wirującej, okrągłej tarczy. Począł iść w tym kierunku, starając się nie myśleć o tym, co działo się wokół niego.

Czym była owa plama? Czyżby urządzeniem sygnalizacyjnym? Kierunkowskazem?... Chyba nie...

W tym momencie uświadomił sobie, że nie była to ani plama, ani wirująca tarcza, lecz otwór. Otwór w ścianie?... Okno?... Nie, to nie mogło być okno. To chyba wylot długiej rury?...

A może raczej korytarza. Widział wyraźnie w perspektywie daleki prześwit tunelu. Teraz dopiero zauważył ze zdziwieniem, że przerażający obraz pędzących ze wszystkich stron machin znikł.

Znajdował się już we wnętrzu owego korytarza, wznoszącego się stromo w górę. Korytarz był z pewnością złudzeniem, sztucznie wywołaną, narzuconą mu halucynacją. O tym mówił rozsądek. A jednak... Po tym, co przeżywał przed paru minutami, ów długi tunel o gładkich, jakby wypolerowanych ścianach wydawał się dobrze znaną, zaciszną

ścieżką prowadzącą do domu...

Wylot korytarza wypełniały mleczne opary, lecz przekroczył je śmiało, bez cienia obawy. Był znów w lesie otaczającym lądowisko.

*

Mia czekała w sterowni przy ekranie obserwacyjnym.

— Gdzie Helia? — zapytała cicho.

— Została — odrzekł unikając jej wzroku. — Miałaś rację. Ona już jest ICH!...

Zapanowało milczenie.

Rost usiadł przy pulpicie sterowniczym i patrzył w zamyśleniu na szeregi przycisków i lampek kontrolnych.

— No, cóż... — powiedział po chwili. — Polecimy sami...

Mia poruszyła się niespokojnie.

— Widzisz, Rost... — podjęła niepewnie. — Ja też... nie chcę opuszczać Ziemi.

— A myślisz, że ja chcę?! — krzyknął prawie. — Ale przecież musimy. Nie ma innego wyjścia. Przecież zdajesz sobie sprawę, że jeśli zostaniemy tu choćby tylko dwa dni, może stać się z nami to, co stało się z Helią. Jeśli ona...

— Ja naprawdę nie mam zamiaru nigdzie lecieć — przerwała mu stanowczo. — Helia ma rację.

— A więc i ty?!

Patrzył na nią z rozpaczą.

— Nie wmawiaj mi, że ulegam sugestii. Żadnych narzuconych myśli ani kierowania wolą tu nie ma — uprzedziła jego argumentację.

— Pleciesz nonsensy! Przecież Helia... Myślisz, że ona sama... z siebie?...

— Mieszasz różne zjawiska. Nie ma żadnych dowodów, że ktoś usiłuje władać mózgiem Helii. Przynajmniej w większym zakresie, niż władają naszymi mózgami warunki. To, co nam się wydaje jakąś telepatią czy jasnowidzeniem — może być po prostu pewnego rodzaju „mózgową telewizją”. Zastanów się dobrze, a przyznasz mi rację. Nie widzę żadnej potrzeby opuszczania Ziemi. Przeciwnie, chcę poznać ten świat. Dopiero wówczas przekonam się, czy mi odpowiada czy też nie.

— Wtedy będzie za późno! — rzucił ponuro.

— Ty w kółko swoje. Jakie masz dowody?

— Może i mam... — popatrzył na tablicę piątego zespołu. — Czy wiesz, że oni chcą, abyśmy odlecieli?

— Oni chcą? Nie rozumiem.

— W czasie, gdy nas tu nie było, napełnili zbiorniki materia roboczą i paliwem. Możemy startować. Choćby zaraz! Chcą się nas pozbyć! I mówię ci: korzystajmy z ich dobrej woli. To dobrze, że choć tyle pozostało w nich człowieczeństwa...

Podeszła do tablicy. Przez chwilę przyglądała się wskaźnikom, sprawdzała działanie urządzeń kontrolnych.

— Ciekawe...

— Widzisz sama! — podchwycił z tryumfem.

— Widzę — potwierdziła. — I zastanawiam się: dlaczego...

— Przecież ci mówię!

— To, co mówisz, pełne jest sprzeczności. Najpierw upierasz się, że ludzie zamieszkujący obecnie Ziemię chcą owoładnąć naszymi mózgami, chcą nas przekształcić na własną modłę czy użytek... A teraz znów twierdzisz, że najchętniej by się nas pozbyli i że tym wyświadczają nam przysługę.

— To tylko z pozoru wygląda na sprzeczność. Notabene, nie wierzę, aby to byli ludzie, ale mniejsza o to. Przede wszystkim myślę, że mogą oni opanowywać umysły, ale tylko do pewnych granic. Może zresztą byliby w stanie w pełni to uczynić, tak jak mogliby również nas pozabijać, ale uważają taki czyn za niemoralny. Może to jakaś pozostałość ludzkiej etyki? Pozostawić zaś nas w spokoju nie mogą. Boją się. Powodujemy zbyt wiele zamieszania w ich świecie. Jesteśmy jaskiniowcami! — zaśmiał się ponuro. — Być może chodzi o możliwość naszego wpływu na te istoty ludzkie, jakie jeszcze błąkają się po Ziemi...

— Czemu więc nie chcesz pozostać i podjąć walki? Mówiłeś przecież...

— To walka beznadziejna. Są zbyt potężni, aby istniała jakaś szansa powodzenia. Gdybyśmy spróbowali działać przeciwko nim, spotkalibyśmy się z reakcją katastrofalną dla nas. Proponują nam odlot, bo nie chcą, abyśmy zmusili ich do postępowania nieetycznego. Rozumiesz?

— Bardzo śmiała hipoteza... A jeśli nie jest tak, jak mówisz?

— A jak?

— Może to oznaczać zadokumentowanie swobody wyboru.

— Nie widzę sprzeczności. To jest alternatywa. Możemy wybierać.

— To nie to samo. Sądzę, że twoje przypuszczenie, że oni chcą, abyśmy Ziemię opuścili, jest bezpodstawne. Zostawiają nam swobodę wyboru, bo znają nasze myśli. Nasze wątpliwości i obawy. Ale sprawa naszego pozostania czy odlotu, to w skali planety incydent bez znaczenia. To tylko nasza, wyłącznie nasza osobista sprawa! Wierz mi... Jesteśmy tu co najwyżej interesującym reliktem.

Wzruszył ramionami.

— Słowem, zarzucasz mi naiwną megalomanię? Ale to nieporozumienie! Bynajmniej nie uważam, abyśmy byli pępkiem świata. Przypuszczam tylko, że traktują nas jak potencjalnych szkodników, których należy przepłoszyć albo zamknąć w klatce. To drugie jest oczywiście gorszym, czy może nawet niemoralnym rozwiązaniem. Zresztą, mówiąc twoimi słowami, cóż my wiemy o ich moralności? Gdyby to byli ludzie...

— Jesteś uparty jak kozioł! Helia twierdzi, że to są ludzie, i nie mamy żadnych podstaw, aby w to wątpić.

— Dlaczego wobec tego unikają bezpośrednich kontaktów z nami? Dlaczego głos, który słyszeliśmy tu, w statku, przez radio, jeszcze przed lądowaniem na Ziemi, był głosem maszyny, a nie człowieka? Dlaczego istoty ludzkie, które pozwolono nam widzieć, zachowują się jak w stanie zamroczenia? Czy to nic nie mówi?

— Myślisz, że głos, który słyszeliśmy, można uważać za dowód, iż skończyła się epoka człowieka? Że to, co widzimy, jest cywilizacją robotów? To bardzo kruchy dowód. Przede wszystkim wydaje się wielce wątpliwe, aby tak wysoko rozwinięta technicznie cywilizacja nie potrafiła w sposób doskonały naśladować naszego głosu. Nie było to już problemem w naszych czasach. Nie jest z pewnością i dziś dla spadkobierców i kontynuatorów postępu. Nie dlatego głos brzmiał sztucznie, zimno i obco, że przemawiał do nas robot. Myślę, że maszyny trzechsetnego stulecia potrafią przemawiać jak Demostenes i najukochańsza matka w jednej osobie.

— Chcesz powiedzieć, że nasi rozmówcy nie przywiązują wagi do sposobu, do formy wypowiedzania myśli?

— Może dążą do postawienia sprawy w Sposób otwarty, naturalny,

szczerzy...

— Znów próbujesz idealizować! Ale nie bardzo widzę sens...

— Przyjmijmy na chwilę, że w czasie tych trzystu osiemdziesięciu wieków rozwinął się w społeczeństwie ludzkim jakiś nowy, sztucznie stworzony sposób łączności, bez pośrednictwa sygnałów akustycznych, Jeśli jest to doskonalszy od mowy dźwiękowej środek komunikowania się, mógł spowodować w praktyce jej zanik. Jak ci ludzie mają się z nami porozumieć? Oczywiście, mogą im w tym dopomóc automaty! Ale czy maszyna przemawiająca ludzkim głosem, i to w taki sposób, jakim człowiek posługiwał się trzysta wieków temu, nie wprowadziłaby nas w błąd? Czy nie ukryłoby to rzeczywistego charakteru zmian, które w tym czasie nastąpiły na Ziemi? Tego nie chcą nasi rozmówcy...

— Przesłanki być może słuszne, ale wniosek fałszywy. Hipoteza zbyt sztuczna, aby mogła być prawdziwa. Dlaczego nie powiedzą nam tego, co trzeba, w prosty, ludzki sposób? Dlaczego unikają kontaktu? Tu chyba leży klucz do rozwiązania zagadki.

— Czy rzeczywiście unikają? Może tylko my nie potrafimy dostrzec...

— Przeczysz sama sobie. Raz mówisz, że są to ludzie, drugi raz, że jakieś niedostrzegalne twory. Ustal wreszcie jakąś rozsądną wersję.

Nie reagowała na docinki.

— Czy nie dziwi cię, że ich... tak mało? — powiedziała w zamyśleniu.

— No właśnie! — podchwycił z tryumfem. — Jeśli ludzie są władcami Ziemi, powinny być ich miliardy! Choćby nawet przyrost był bardzo powolny. Albo nawet stabilizacja... Ubytek, to już regres... Te puste sale i korytarze...

— A wiesz, co mi powiedziała Helia, gdy ją o to samo pytałam? Przypuszcza, że to właśnie może być przejawem ich prawa do samotności.

— Co za brednie!

— Nie powiem. Jeśli rzeczywiście dziesiątki, a może nawet setki miliardów ludzi zamieszkuje Ziemię, jeśli środki łączności zapewniają bezpośredni kontakt między mózgami, problemem staje się już nie tylko sprawność kontaktów społecznych, ale takie ukształtowanie ich struktury i formy, aby pozostawić jednostce swobodę życia wewnętrznego. Wyobraź sobie, co by się działo, gdyby te miliardy skazano na stałe obcowanie ze sobą!

— To zbyt wydumane, aby było prawdziwe. Nie bardzo wierzę ani w owe miliardy, ani w owe kontakty, których nie widać...

— Czy kontakt musi mieć dostrzegalną dla każdego formę? — odpowiedziała pytaniem. — Sądzę, że Helia już nawiązała z nimi...

— Helia?! — przerwał gwałtownie. — Dziękuję za taki kontakt. Właśnie dlatego nie możemy tu pozostać.

— Czy myślisz, że świat, który chciałbyś zbudować, będzie światem z naszej przeszłości? — zapytała cicho. — Przeszłość na pewno już nie wróci. i nie masz prawa twierdzić, że świat, który na Ziemi zastaliśmy, jest gorszy od tego sprzed trzystu osiemdziesięciu wieków.

— Nie mówię, że jest gorszy. Jest inny, obcy nam!

— Tylko wydaje nam się obcy i niezrozumiały. Trzeba by go poznać, zrozumieć...

— Jakim kosztem?! Chcę być sobą!

Patrzyła na niego ze współczuciem.

— Zdaje się — powiedziała po chwili — że w tym tkwi sedno sprawy. A przecież nie świat do nas, lecz my do świata musimy się dostosować! Taka jest droga poznania i... zrozumienia. I dlatego ja z tobą nie polecę.

— Po cóż więc tu przysłaś? — wyrzucił z rozdrażnieniem.

— Chcę cię przekonać.

— To strata czasu. Jeśli tylko będę mógł... to znaczy jeśli nie uszkodzili nam silnika, albo nie przeszkodzą w inny sposób, startuję za dziesięć minut!

— Poczekaj, zabiorę tylko materiały naukowe. To jest własność Ziemi.

— Rób jak chcesz...

Został sam w sterowni. Usiadł przy pulpicie i wsparł głowę na dłoniach.

A więc i ona... Czy nie powinien jej ratować? Choćby i wbrew jej woli? Czy wolno mu ją zostawić? Czy nie będzie to w istocie porzuceniem chorego psychicznie towarzysza wyprawy? Czy strata Helii nie jest ostrzeżeniem?

Uświadomił sobie, że za chwilę będzie już za późno że gdy Mia opuści statek — straci na zawsze ostatnią bliską mu istotę.

Uniósł głowę i spojrzął na pulpit sterowniczy. W lewym jego rogu

umieszczono zaplombowaną dźwignię. Czerwony pierścień, namalowany na pulpicie, podkreślał jej szczególną wagę. Rost wysunął rękę. Dotknął dźwigni palcami ostrożnie, jakby z wahaniem. Potem nagłym, drapieżnym ruchem szarpnął metalowy uchwyt.

Przytłumiony szmer przeszedł przez statek.

Grodzie awaryjne zablokowały wszystkie przejścia.

Teraz przebiegł palcami po przyciskach. Zapłonęła żółta lampka. Reaktory przeszły ze stanu jałowego w czynny. Za sześć minut mógł wystartować, jeśli zdąży opracować program...

Podszedł do pulpitu centralnego układu obliczeniowego. Pospiesznie, drżącą ze zdenerwowania ręką wystukał na klawiszach ramowe zadanie. Właściwie nie miał żadnych danych.

Nie wiedział, gdzie się znajduje kosmodrom, jakie jest dokładne położenie wzajemne planet. Ale przecież wystarczyło wznieść się w górę, przebić płaszcz atmosfery i wprowadzić statek na orbitę okołoziemską. Potem będzie dość czasu na pomiary i obliczenia.

Automat drukował już wyniki kontrolne, gdy odezwał się brzęczyk telefonu. Pierwszym odruchem Rosta było włączyć głośnik. Przełącznik znajdował się tuż przy pulpicie sterowniczym. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Lecz to oznaczało podjąć dialog... Czy bał się argumentów Mii? Może raczej prostego, zwykłego pytania: „Co ty chcesz zrobić? Czyś się zastanowił?”

Terkotanie nie ustawało. Nie pozwalało skupić myśli. Natarczywie, uparcie dopominało się odpowiedzi. Rostowi wydawało się, że telefon brzęczy coraz głośniejsze, coraz bardziej nerwowo, rozpaczliwie... Wiedział, że to złudzenie, jednak — wbrew rozsądkowi — wrażenie nie ustępowało.

Wystartować! jak najszybciej opuścić Ziemię!

Patrzył na cyfry, wolno przesuujące się w okienkach aparatury kontrolnej. Starał się skoncentrować uwagę na działaniu automatów przygotowujących statek międzygwiazdny do startu. Ale dźwięk brzęczyka nie pozwalał oderwać myśli od tego, co działo się tam, w którejś z kabin, podzielonych grodziami awaryjnymi na zamknięte hermetycznie klatki.

Znał dobrze Mię. Jej spokój, zdecydowanie i wytrwałość okazywaną w najtrudniejszych sytuacjach. Wyobraził ją sobie teraz, jak stoi przy

telefonie i czeka.

Choćby nawet wystartował, choćby odleciał daleko — cóż jej powie? Czy potrafi ją przekonać? Bo przecież jeśli nawet jest to choroba, czy istnieje jakieś lekarstwo?...

W głębi duszy nie był zresztą pewien swej racji do końca. A jeśli tak?... Na pulpicie zapłonęła zielona lampka. W trzech okienkach kontrolnych pod nią ukazały się cyfry „0”.

Rost patrzył w to światelko, a na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Znowu upłynęło kilka sekund.

Wyciągnął dłoń. Oparł ją na guziku startowym, potem cofnął pośpiesznie rękę i przebiegł palcami po przyciskach.

Zielona lampka zgasła, potem za nią żółta. Reaktory przeszły w stan jałowej reakcji. Teraz szybko, bez wahania przesunął dźwignię układu awaryjnego na poprzednie miejsce. Znowu szmer przebiegł poprzez ściany statku; grodzie nie blokowały już przejść...

Sygnal telefonu umilkł raptownie. W kabinie zapanowała dzwoniąca w uszach cisza. Rost siedział przy pulpicie nieruchomo i patrzył na drzwi prowadzące w głąb statku. Czekał. Na co? Czyżby jeszcze się łudził?

Minuty płynęły wolno.

Nagle na tablicy kontrolnej zapaliło się maleńkie białe światelko i poczęło rytmicznie mrugać. Dostrzegł ten sygnał natychmiast i uczył, chyba po raz pierwszy od wielu lat, cisnące się łzy.

Nie mógł mieć już żadnych złudzeń. Wiedział, że Mia nie przyjdzie. To pracował dźwig łączący komorę wyjściową z powierzchnią planety.

Zacisnął nerwowo powieki. To wszystko wydało mu się złym, koszmarnym snem. Jakże by chciał przebudzić się z niego, choćby za cenę powrotu do cierpień fizycznych, które musiał znosić jeszcze niedawno, obezwładniony paraliżem.

Gdy otworzył oczy, światelko sygnalizacyjne już zgasło. Był sam w opustoszałym statku międzygwiazdnym. Ale może było to tylko złudzenie? Pośpiesznie nacisnął klawisz włączający teleiluminatory.

Nie! To nie było złudzenie. Na tle białego, zalanego słońcem kręgu startowego poruszała się ciemna sylwetka ludzka. Rost patrzył, jak oddalała się coraz bardziej, malejąc na ekranie.

W połowie drogi między statkiem a lasem Mia zatrzymała się i odwróciła. Długą chwilę patrzyła w stronę statku, potem ruszyła w

dalszą drogę, aby w kilka minut później zniknąć wśród drzew.

Teraz dopiero odczuł w pełni lęk przed samotnością, spychany dotąd poza granice świadomości. Czy był dość silny, dość zdecydowany na wszystko, aby nie ugiąć się pod tym ciężarem? Tego nie był w stanie stwierdzić kategorycznie. Wraz bowiem z odejściem Mii wszystko to, co planował, straciło sens. Po cóż miał lecieć ku obcym, innym światom?

Ogarnęło go zniechęcenie i obojętność.

Siedział nieruchomo przed ekranem. Czyżby na coś oczekiwał? Czyżby istniały jeszcze jakieś iskierki nadziei?...

Ale na płycie kosmodromu, aż po linię lasu, nikt się już nie pojawił. Tylko cienie obłoków płynęły po ziemi wolno, przesłaniając raz po raz białą taflę startową.

*

Rost jeszcze raz spojrzął poza siebie. Nad krzakami jałowca, porastającymi gęsto skraj lasu, widoczna była teraz tylko dziobowa część statku międzygwiazdowego. Pierwsze promienie wschodzącego słońca srebrzyły już czaszę obserwatorium, podobną z daleka do szklanego cacka na szczycie świątecznie przystrojonej choinki.

Nie czuł żalu ani też niepokoju. W ciągu tej długiej, nieprzespanej nocy, zanim zdecydował się opuścić statek, zdążył pogodzić się z myślą, że poniósł klęskę. Wiedział, że nie potrafi odgrodzić się od tego dziwnego, obcego mu świata, tak jak nie potrafi zdobyć się na samotną ucieczkę przed nim. A jednak wzrok jego nieświadomie wracał raz po raz ku opustoszałej rakiecie, jakby szukając w niej oparcia, zanim przyjdzie mu przekroczyć linię graniczną.

Była ona teraz tuż, tuż. Mleczne opary uległy wyraźnie zagęszczeniu, przybierając kształt ściany wzniesionej z mgieł. Wiedział, że po wkroczeniu w ich obręb, przestrzeń, a może i czas, stracą dotychczasowe wymiary. To, co odczuwał w tej chwili, nie było ani lękiem przed nowym życiem, ani też żalem za dawnym. Właściwie chciał, aby to, czego się spodziewał, było już poza nim, aby wchłonął go bez reszty i przekształcił ów świat, który zabrał mu ostatnie najbliższe istoty ludzkie.

Mgła rozstąpiła się i znów ujrzał przed sobą długi, wąski korytarz, a za nim salę bez drzwi i okien, że stropem otwartym pozornie na przestwór porannego nieba. Gdy wszedł do tej sali — wraz z nim na ścianach pojawiły się barwne plamy i linie. Śledził ich ruchy i

przeobrażenia początkowo dość obojętnie, potem jednak z rosnącym zainteresowaniem, a nawet przyjemnością.

Począł nawet dziwić się sam sobie, że wczoraj, w czasie wędrówek z Helią i Mią, nie odczuwał, tak jak dziś, piękna i harmonii tych plastycznych form. Helia miała rację: te barwne linie i plamy sterowane były biegiem jego myśli. Był tego teraz pewny. Potwierdzały to eksperymenty, a ich rezultaty stawały się coraz bardziej pasjonujące, w miarę jak odkrywał coraz to nowe elementy powiązań. Nabierał też stopniowo wprawy w kierunkowaniu przebiegu zmian plastycznych wizji, a więc jednocześnie — toku własnych myśli. Czyżby ten gigantyczny elektroencefalograf służył właśnie takiemu celowi? Może w ten sposób można nie tylko widzieć bieg swych myśli, ale i kontrolować prawidłowości ich toku? Czy tylko prawidłowość formalną? Może również prawidłowość merytoryczną?

Czuł, że znajduje się na progu odkrycia jeszcze jednej niezwyklej właściwości tych urządzeń.

Znów począł eksperymentować. Zadawał sobie pytania i próbował odpowiadać na nie, śledząc zmiany kształtów i barw. Nie było to łatwe, ale stopniowo nabierał wprawy. W zasadzie przypominało to grę w „tak lub nie”, w której osoba starająca się dociec prawdy wygłasza zdania i otrzymuje tylko informacje o ich prawdziwości lub błędzie. Ta informacja, co prawda, była tu wyrażona w nieznanym Rostowi kodzie, ale czuł, że zaczyna wykrywać prawidłowości, które pozwolą mu go zgłębić.

Czy ta nowa umiejętność umożliwiała rzeczywiście zdobywanie nowych informacji? Mógł ulegać złudzeniu... jedyna droga, to eksperymentalne sprawdzanie ścisłości otrzymywanych odpowiedzi.

A gdyby tak podjąć próbę wykorzystania niezwyklej właściwości tych ścian w poszukiwaniu Helii i Mii... Sukces byłby najlepszym potwierdzeniem, że odkrycie nie jest pozorne.

Począł w myślach rozważać kierunki i — śledząc zmiany na ścianach — próbował dociec, który jest właściwy.

Lecz nie miał pewności. Plamy i linie wydawały się podobne, zawodziła intuicja; próby analizy były bezowocne, nie znajdował żadnego punktu zaczepienia.

Nie wiadomo dlaczego przyszło mu do głowy, że oznacza to, iż Helia

i Mia nie chcą dopuścić do spotkania. Próbował odrzucić tę myśl, ale wracała uparcie. Wprawilo go to w stan niepokoju i rozdrażnienia. Nie podejmując już dalszych eksperymentów przekroczył ścianę w pierwszym sygnalizowanym przejściu.

Następna sala była zupełnie podobna do poprzedniej. Zaczął nawet podejrzewać czy nie jest to ta sama sala. W tym świecie nie należało odrzucać i takiej możliwości...

Trzecia sala miała zupełnie inny wygląd. Ściany białe, matowe i martwe, sufit niski, pozbawiony odbicia nieba. Z podłogi wyrastały nieregularnymi szeregami pręty o różnej wysokości i grubości. Jakie jest przeznaczenie tych urządzeń? Czy dowie się o tym kiedykolwiek?

Wyciągnął rękę i dotknął ostrożnie palcami jednego z prętów. Wydał mu się dziwnie ciepły, miękki, ba! nawet jakby pulsujący życiem.

Przez ciało Rosta przebiegł dreszcz. Czy był on wywołany działaniem otaczających go sił, czy po prostu napięcie nerwowe uzewnętrznilo się w ten sposób? Tego nie był w stanie skonstatować.

„Zachowuję się jak jaskiniowiec”! — przebiegło mu przez głowę.

Puścił pręt, lecz w tym ruchu była raczej wyrozumowana, świadoma decyzja — niż lęk. Te pulsujące życiem maszyny nie budziły w nim żadnej odrazy, a przeciwnie, odczuwał przyjemność gdy dłoń stykała się z ich ciepłą powierzchnią.

Ale właśnie świadomość tego wrażenia napełniła go niepokojem. Pomyślał znów o Helii. Gdyby mógł ją odnaleźć w tym labiryncie...

— Zamknij oczy — usłyszał przytłumiony szept. Był przekonany, że jest to głos Helii.

Rozejrzał się wokoło. W sali nie było nikogo. Gdzieś z pewnością ukryto głośniki.

— Zamknij oczy! — znów posłyszał polecenie.

Nie. Ten głos nie biegł z żadnego możliwego do zlokalizowania kierunku. On był jakby w nim samym.

Teraz dopiero uświadomił sobie treść posłyszanych słów i zacisnął powieki. Ujrzał przed sobą mglisty zarys jakiegoś obrazu. Przysłonił dłonią oczy i obraz stał się wyraźniejszy. Widocznie wrażenia optyczne tłumily proces wywoływany jakimś nieznanym sposobem w ośrodkach wzrokowych mózgu. Szybko zresztą, w miarę jak siatkówka przyzwyczajała się do ciemności, obraz nabierał ostrości i barw.

Znajdował się w jakimś ogrodzie. W cieniu drzew, na podwyższeniu spoczywało kilka postaci ludzkich. Byli to mieszkańcy Ziemi, podobni do tych, których widział przed tygodniem na ekranie. Wśród nich dostrzegł jednak dwie różniące się wyglądem i strojem postacie. Tak!

Poznał je! To była Mia i Helia!

Gdzie znajdował się ten ogród? Daleko czy blisko? Tego nie potrafił określić. Najdziwniejsze wydawało się w tej chwili to, że obraz otaczał go ze wszystkich stron, że każdy ruch głową czy gałek ocznych pozwalał zmieniać pole widzenia tak, jak gdyby on sam, Rost, znajdował się w tym ogrodzie.

Otworzył oczy i ogród znikł. Wokół otaczały go tylko białe ściany sali. Zacisnął więc znów powieki, przywołując na powrót wizję.

— Czy można... tam... do was? — zapytał niepewnie.

— Jeśli chcesz... — usłyszał głos Helii. Ona sama jednak nie zwróciła do niego twarzy, ani żadnym ruchem nie potwierdziła kontaktu.

— Chcę! Jak jednak do was trafić?

— Idź stale w moją stronę!

— Z zamkniętymi oczami?

— Nie, to zbytęczne. Tylko chwilami, dla zachowania kierunku.

Rozumiesz?

— Rozumiem. Czy to właśnie ONI?

— Jak widzisz.

— Czy z nimi rozmawiacie?

— Trudno tak to nazwać... Zbyt duża przepaść czasu... Ale niech Cię to nie przeraża. Pomogą nam z pewnością. Oni nas rozumieją, i Ciebie też... Jeśli tylko zechcesz...

— Jacy oni są? — zapytał z wysiłkiem.

— Cóż ci mogę powiedzieć... Są mądrzy i... piękni. Oczywiście, nie tak jak przywykliśmy oceniać... Mogłabym powiedzieć, że są dla nas dobrzy, ale nie wiem, czy takie określenie ma sens. Zbyt przypomina stosunek człowieka pierwotnego do bogów przez siebie stworzonych...

— Nie rozumiem Cię.

— Boję się, że nieświadomie możemy tworzyć mity. Trzeba odrzucać wszelkie oceny emocjonalne. Oni też tego nie chcą... Musimy ich poznać. Poznać takich, jacy są. Bo to są ludzie! Tylko z pozoru inni! W istocie — tacy sami. Ukształtowani w wielowiekowym procesie

postępu...

— Czy jesteś tego pewna? Przecież to, co widzimy, nie daje żadnej gwarancji... Wszystko jest złudzeniem. Pozorem. Gdybym mógł zobaczyć ten świat takim, jakim jest naprawdę! Bez zniekształceń i fantowizji!

— Nie żądam za wiele.

— Nie żądam. Niech mi pokażą swój świat w zwykłych, znanych mi trzech wymiarach i czasie, którego tempo potrafię pojąć. Czy to niemożliwe?

— Myślę, że możliwe. W pewnym stopniu. Ale nie wiem, czy to ma sens. To tak, jakbyś chciał ujrzeć naraz wszystko, co robi każdy mieszkaniec twego domu.

— Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi! Chcę ujrzeć tylko obiektywną rzeczywistość. Choćby tylko zobaczyć, co się dzieje tu, w tym miejscu gdzie teraz jestem, gdzie znajduje się mój mózg. Przecież to, co mnie otacza, jest złudzeniem! Sztucznie wywołaną halucynacją! Może jestem zawieszony w przestrzeni, może tego pokoju, tego gmachu wcale nie ma? Może śni mi się to wszystko? Może w ogóle nie istnieje moje ciało, a tylko gra sygnałów w mym mózgu, albo nawet tylko w jakiejś maszynie. Zapis mojej osobowości wszczepiony w sieć krystaliczną...

— Pleciesz głupstwa! Jesteś człowiekiem z krwi i kości.

— Dobrze chociaż i to. Ale mnie nie wystarcza. Czy nie mogę poznać rzeczywistości?

— Już ją widziałeś. Nie pamiętasz? Na tym placu...

— To nie to samo.

— A czego się spodziewasz? jeśli zresztą chcesz koniecznie... Tylko zachowuj się rozsądnie!

— Postaram się.

— Patrz!

To, co ujrzał, przekraczało wszelkie granice wyobraźni. Znajdował się jakby na niewielkiej platformie stanowiącej przezroczystą podłogę sali, w której był przed chwilą. Wokół niego, nad głową, pod stopami — setki, ba! chyba tysiące postaci ludzkich tworzyło jakieś ogromne tętniące życiem mrowisko. Najbliżej Rosta kilku ludzi spoczywało nieruchomo jakby zawieszonych we wnętrzu przezroczystych „kokonów”, a tylko ruchy ich dłoni i skupione twarze wskazywały, iż zajęci są jakimiś skomplikowanymi, wymagającymi napiętej uwagi

czynnościami. Tuż obok, wyżej i niżej biegły w niewiadomych kierunkach, w zawrotnym tempie, niczym na szybkobieżnych taśmach chodnikowych strumienie ludzkie — mężczyźni, kobiety, wszyscy młodzi i jakże piękni...

Głębiej w dole, jakby na niższych kondygnacjach tej przezroczywej wieży Babel — ogromne tłumy. Setki ludzi spieszących we wszystkich kierunkach, mijających się nieustannie, bez potrażeń czy choćby najmniejszych oznak wahania w ruchach. Każdy dążył do jakiegoś nieznanego celu, zdając się nie widzieć mijających go innych ludzi, jakby zajęty tylko sobą lub co najwyżej najbliższymi towarzyszącymi mu osobami. Miejscami, tam, gdzie tłum zdawał się przerzedzać, dostrzec można było pojedyncze, kilkusobowe grupy. Przeważnie trzymano się za ręce wykonując dziwaczne ruchy, czy nawet ewolucje gimnastyczne, których sensu na próżno byłoby dociekać.

Nagle, tuż przed sobą ujrzał kobietę. Tak. To z pewnością była kobieta. Wysoka, zgrabna, o długich spiętrzonych po obu stronach głowy włosach. Ciało jej pokrywała warstwa puchu podkreślająca jeszcze posągowość kształtów. Szła ku niemu lekkim, tanecznym krokiem, zapatrzona jednak gdzieś, w jakiś punkt położony wyżej nad głową kosmonauty.

Raptownie zatrzymała się tuż przed nim. Spojrzenie jej przemknęło po postaci Rosta, aż zatrzymało się na twarzy. Wydawała się zdziwiona jego obecnością.

Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie końcami palców jego dłoni. Uczuł jak serce kołacze mu w piersiach...

Trwali tak nieruchomo krótką chwilę, potem kobieta uśmiechnęła się do niego i ruszyła w dalszą drogę, w kierunku „kokonów”. Chciał biec za nią, lecz w tym samym niemal momencie rozdzieliła ich biała, matowa ściana. Znowu znajdował się w małej niskiej salce, wypełnionej tylko szeregami prętów wyrastających z podłogi.

— Chyba wystarczy — usłyszał głos Helii.

Przymknął powieki i znowu ujrzał ogród.

— Co to było? — zapytał, jeszcze oszołomiony nawałem wrażeń.

— Tak jak chciałeś. To jest rzeczywistość.

— Idę do was! — powiedział z nagłym postanowieniem. — Tak będzie najlepiej.

Otworzył oczy. Pośpiesznie przekroczył ścianę, tam, gdzie przed chwilą widział Helię i Mię. Znalazł się w jakiejś długiej sali lecz teraz nie zwracał uwagi na otoczenie. Znowu przymknął oczy, sprawdził kierunek i przyspieszył kroku.

Pochłonięty był jedną myślą: aby jak najszybciej dotrzeć do owego ogrodu, spotkać Helię, Mię i tych nieznanych gospodarzy Ziemi. Wydawało mu się, że każda chwila zwłoki może spowodować utratę jakiejś ogromnej, jedynej szansy, że obraz, wracający raz po raz przed jego oczy, utonie w mgłach i nie odnajdzie go już nigdy.

Czy jednak tamte dwie postacie, to rzeczywiście Helia i Mia, a nie ich widma wtłoczone w jego mózg? Prawda — rozmawiał z Helią... Był pewien, że to ona! Dlaczego jednak zachowywała się tak dziwnie? Czyżby przeobrażenia psychiczne sięgały aż tak daleko?...

Pytania mnożyły się, urastały w monstrualną piramidę... Jakież więc los ich czeka? Jeśli nawet prawdą jest wszystko to, co widzi i słyszy, jeśli Helia i Mia mają rację, że właśnie owe dziwaczne istoty to ludzie władający Ziemią — czyż można stworzyć most łączący dwie tak odległe cywilizacje? Czy owa adaptacja, na którą już się zdecydował, nie będzie w istocie oznaczała zataraty wszystkiego tego, co ukochał w swym dawnym życiu?

Odruchowo począł zwalniać kroku. Walka toczona z samym sobą stawała się coraz bardziej zażarta. Powtarzał sobie, że musi zaufać Helii, że musi pozostawić poza sobą tamto życie, a rozpocząć nowe. Być może lepsze, piękniejsze... Lecz jednocześnie nie mógł odeprzeć żadnym argumentem rodzących się wątpliwości: cóż warte może być najpiękniejsze, najrozumniejsze życie, jeśli ma ono przysłonić bez reszty przeszłość? Jeśli warunkiem tego życia jest odsunięcie w niepamięć przeżyć, które tworzyły kształt jego, Rosta, osobowości?

Zatrzymał się. Przymknął powieki i znowu ujrzał ogród, Mię i Helię...

Odwrócił się gwałtownie i otworzył oczy. Znajdował się w sali podobnej do tej, w której ocknął się ubiegłego dnia. Ponownie zacisnął powieki starając się jak najintensywniej myśleć o statku, i oto zamiast ogrodu, dostrzegł przed sobą rozległe, otoczone lasem pole startowe z wysoką, lśniącą w słońcu machiną międzygwiazdną.

Ruszył w tym kierunku jak lunatyk na oślep przekraczając ściany. Znalazł się w niewielkiej, wielokątnej sali, jakiej dotąd nie widział. Sufit i

ściany pokrywały duże okrągłe tarcze ze srebrzystego metalu.

Ale nie ów widok zatrzymał go w miejscu. Oto do uszu Rosta dobiegła ściszone, lecz wyraźna muzyka.

Serce poczęło gwałtownie łomotać mu w piersi. Nie mógł się mylić. Znał dobrze ten utwór: to był ów koncert fortepianowy, którego toccata prześladowała go wczoraj przez wiele godzin.

Była to muzyka zupełnie różna od tej, jaką znał dotąd. Nie mógł, nie potrafił odczuć jej piękna. Wydawała się dziwaczna i sztuczna, chwilami granicząca z nieznośną dla ucha kakofonią. A jednak — choć przetworzony w procesie wielotysiącletnich przeobrażeń stylu — bez wątpienia ten sam utwór. Potok dźwięków płynął jakby ze wszystkich stron. Ni to jakieś potężne organy, ni to połączone chóry i orkiestry symfoniczne...

Któż mógł wykonywać ten utwór? Któż mógł go słuchać? Czyżby tylko dla niego był przeznaczony? Zacisnął kurczowo powieki i oto ujrzał przed sobą artystę. Stał wyprostowany z twarzą wzniesioną nieco w górę, z przymkniętymi oczami. W całej postaci, w nieznaczących, lecz szybkich ruchach rąk, w grze uczuć jakie malowały się na twarzy tego człowieka, było tyle piękna i jakiegoś twórczego uniesienia, że Rost nie mógł oderwać oczu od tego widoku.

Zaprzagnął jak najszybciej, zaraz, znaleźć się właśnie przy NIM, w jego bezpośredniej bliskości!

Oto słyszy już pierwsze takty toccaty... „Jego” toccaty — skomponowanej przed setkami wieków przez człowieka, którego imienia on, przybysz z tamtych czasów, nie pamiętał...

Począł iść przed siebie nie otwierając oczu. Obraz, co prawda, nie zbliżał się, ani oddalał, muzyka jednak z każdym krokiem jak gdyby rosła, potężniała, pochłaniała go bez reszty. Nie było w tej chwili dla niego istotne, czy słyszy ją własnymi uszami, czy — tak jak głos Helii — brzmi ona gdzieś w nim samym...

Obraz znikł nagle. Rost podniósł powieki. Ujrzał, że znajduje się na jakiejś ogromnej estakadzie skąpanej w słońcu i zieloności. Wokół siebie zobaczył dziesiątki ludzi: kobiet, mężczyzn, dzieci. Niektórzy stali pojedynczo lub grupami, większość podążała bez pośpiechu w różnych kierunkach. Jakże zgrabni i piękni byli oni wszyscy...

Bez trudu odnalazł tego, którego szukał. Artysta stał w dole na

niewielkim podwyższeniu, otoczony kołem postaci. Z niewidzialnego instrumentu płynęły ostatnie akordy finału... *V Koncertu fortepianowego* Sergiusza Prokofiewa.

Ktoś dotknął ramienia Rosta. Odwrócił głowę: za nim stała Helia.
Patrzyli sobie w oczy długo, bez słowa...

Fantom

— A ja ci mówię, że zdarzają się przypadki, których nie wtłoczysz w żadną szufladę. Myślisz: albo — albo i wydaje ci się, że jedno wyklucza drugie, tymczasem w rzeczywistości to jest i jedno i drugie, a nawet czasem i trzecie. Choćby taka sprawa Baldera: nieszczęśliwy wypadek, morderstwo i samobójstwo.

Nie znasz tej sprawy? No pewnie... Zadaję niedorzeczne pytania... Przecież byłeś jeszcze wówczas pędrakiem. Zresztą do prasy nie podano nawet dziesiątej części prawdy! „Nikt by tego i tak nie zrozumiał, a po co szargać pamięć zmarłego” — takie było zdanie pewnych wpływowych osobistości... Nie masz się czemu dziwić. To były inne czasy. Oficjalnie stwierdzono, że to był wypadek i już...

Nie. Nie! To nie było kłamstwo. Rzecz w tym, że był i nieszczęśliwy wypadek, i morderstwo, i samobójstwo...

Ach, nie rozumiesz? Balder był jednocześnie i mordercą, i ofiarą... Tu nie chodzi o różny punkt widzenia — dosłownie: zamordował samego siebie, i jeśli chcesz znać moje zdanie — był to może jedyny ludzki odruch w jego życiu... Ależ, mówię zupełnie poważnie! Chyba wiesz, kim był Balder? W jaki sposób zrobił karierę? No, tak, generał, w chwili śmierci zresztą emerytowany.

Słyszałeś o doktrynie Baldera? To właśnie on! Był wówczas u szczytu kariery politycznej. Ale przed samą śmiercią już nie odgrywał żadnej poważniejszej roli. Czasy się zmieniły... Lecz jeszcze ciągle wierzył w słuszność swej doktryny. Mówisz: maniak? Gdybyż to był tylko maniak!...

Widzę, że wiesz o nim bardzo niewiele. Pewne światło na mentalność tego człowieka rzuca jego młodość. Były to czasy burzliwe. Druga połowa XX wieku. Balder pochodził z Południowej Afryki. Syn plantatora czy urzędnika. To zresztą nie tak ważne. Ważniejsze, że już jako dwudziestoletni młodzik dowodził oddziałem komandosów w pewnych niezbyt zaszczytnych akcjach. Parę lat później opuścił Unię, szukając szczęścia w służbie wielkich zjednoczeń górniczych.

Nie należał jednak do awanturników uprawiających profesję

kondotiera z zamiłowania do przygód. Był odważny, czasem nawet skłonny do ryzykanctwa, ale potrafił także kalkulować na zimno. Gdy wyczuł, że akcje jego zwierzchników spadają, rzucił swe, bardzo popłatne zajęcie i zniknął na pewien czas z widowni, aby ukazać się znowu, już jako doradca do spraw politycznych i wojskowych przy rządzie jednego z większych państw afrykańskich. Wówczas to nawiązał bliższe kontakty z naszym przedstawicielstwem dyplomatycznym. Nie ulega wątpliwości, że współpraca ta musiała być owocna. Po sześciu latach opuszcza na zawsze Afrykę i robi nową, błyskawiczną karierę wojskową, tym razem u nas. Jest ekspertem w zakresie długofalowych akcji prewencyjnych. W wieku trzydziestu ośmiu lat zostaje generałem. W marzeniach widzi się nowym Clausewitzem. Jego autorytet rośnie. Ówczesny prezydent powołuje go do grona najbliższych doradców. Wtedy właśnie występuje ze swą słynną doktryną „trzech uderzeń”, która przez blisko siedem lat trzymała naszych polityków w ślepych zaułku...

No, jasne... świat nie stoi w miejscu. Kiedy realizm w polityce zwycięża, tacy ludzie, jak Balder, muszą zejść ze sceny. Oczywiście i on nie ustąpił łatwo. Jeszcze przez kilka lat różnymi sposobami próbował wskrzesić, w zmienionych nieco wersjach, swą doktrynę. Lecz nadszedł koniec jego kariery: zwolnienie ze służby i emerytura. Co prawda, dzięki poparciu przyjaciół z kół niegdyś bardzo wpływowych, obejmuje stanowisko prezesa BEC, ale nie jest to już dawny generał Balder. Nie może pogodzić się z myślą, że to, czemu poświęcił najlepsze lata życia, zostało raz na zawsze przekreślone. W tym czasie coraz wyraźniej przejawia chorobliwą nienawiść do całego świata... Skąd wiem o tym? Przez ostatnie dwa lata życia Baldera byłem jego domowym lekarzem. Właśnie dlatego najlepiej wiem, jak to było naprawdę...

Nie, to nie był człowiek, z którym mógłbyś nawiązać bliższe, przyjacielskie stosunki. Umiał stwarzać „właściwy” dystans. Co mówisz? Oczywiście, miał kilku przyjaciół, przeważnie z kół wojskowych i przemysłowych. Żonę? Umarła, gdy był jeszcze u szczytu powodzenia.

Chyba nigdy jej nie kochał. Naprawdę przywiązany był tylko do swej córki, chociaż zewnętrznie tego nie okazywał. Dał jej imię — Nike. To imię też rzuca pewne światło na jego mentalność. Dziewczyna miała piętnaście lat w chwili śmierci Baldera. Nie była ładna, trochę

przypominała ojca, ale tylko zewnętrznie, gdyż usposobienie miała łagodne i nie potrafiła narzucać swej woli.

Nike po swojemu kochała ojca, lecz jednocześnie bała się go trochę. Balder nie był łatwy we współżyciu. Zawsze starał się być surowym ojcem, lubił narzucać swoje zdanie, a po odejściu z wojska często był rozdrażniony i wybuchał z byle powodu. Potem żałował, jeśli ofiarą tych humorów była Nike, i starał się to jej wynagrodzić, lecz przeważnie robił to niezręcznie, bo jednocześnie nie chciał okazywać swej słabości. Czasami...

Proszę cię bardzo, nie przerywaj w pół zdania. Jeśli mówię tyle o Nike Balder, to nie bez powodu. Stosunek Baldera do córki ściśle wiąże się ze sprawą jego śmierci.

Pierwsze sygnały o tym, że z generałem nie wszystko w porządku, dotarły do mnie na dwa miesiące przed katastrofą. Pewnego dnia zjawiała się u mnie Nike Balder. Prosiła, abym pod jakimś pretekstem odwiedził jej ojca i spróbował go zbadać. Jej zdaniem bowiem, czuje się on źle i przypuszczalnie jest poważnie chory, lecz lekarza nie wezwie. Dziewczyna podejrzewała, iż generał próbuje się sam leczyć — niestety — z odwrotnym skutkiem. Kazał zainstalować u siebie w domu, w gabinecie, jakiś automat medyczny i poddaje się zabiegom codziennie przez kilka godzin. W tym czasie zamyka się na klucz i zupełnie nie reaguje na pukanie.

Gdy pytała, do czego ten automat służy, początkowo nie chciał w ogóle odpowiedzieć, dopiero na nalegania odrzekł, że to nie automat medyczny, lecz prototyp nowego złudnika, w co dziewczyna nie uwierzyła, gdyż nie zgodził się zademonstrować jego działania.

Podejrzenia Nike pogłębiał fakt, że po każdym dłuższym zabiegu ojciec wychodził z pokoju niezwykle podniecony i jakby odmłodzony. Przeważnie dzwonił wówczas do dawnych kolegów, mówił o jakichś nowych projektach, ale po paru godzinach ogarniała go apatia, gasł w oczach, a nawet ostatnio zaczął przejawiać niepokój i potęgujące się coraz bardziej rozdrażnienie.

Z zewnętrznego opisu urządzenia wywnioskowałem, że jest to jakaś aparatura bioelektryczna, wyposażona w receptory odbierające informacje o pracy układu nerwowego i efekторы oddziałujące na prądy czynnościowe kory. Urządzenie było zbyt duże jak na złudnik.

Prawdopodobniejsze wydawało się przypuszczenie, że to jakiś nowy typ automatu leczącego niektóre schorzenia krwioobiegu, coraz popularniejszą w owym czasie metodą sterowania układem nerwowym.

Dlaczego nie pod kontrolą lekarza? Czeka! Przecież jeszcze nic nie wiesz. Po pierwsze, nie powiedziałem wcale, że on się leczył. Po drugie — jeśli nawet byłby naprawdę chory, wątpię, aby zgodził się na kurację pod kontrolą swoich pracowników. Nie rozumiesz? Nie tak łatwo — zwłaszcza dziś — zrozumieć mentalność tego człowieka. To było połączenie nieufności niemal do wszystkich ludzi z przesadnym poczuciem własnej wyższości. Wydawało mu się, że lekarz pracujący w podległym mu zakładzie musi być od niego głupszy.

Nie, Balder nie studiował medycyny, ale trzeba przyznać, że miał sporo wiadomości z niektórych dziedzin, zwłaszcza z elektroniki medycznej. BEC zatrudniała wielu wybitnych specjalistów i prezes Balder nie chciał uchodzić wśród nich za ignoranta. Po ostatecznej realizacji układu o powszechnym rozbrojeniu zakłady przestawiono prawie w siedemdziesięciu procentach na produkcję sprzętu medycznego. BEC wygrała zresztą na tym, bo kiedy pojawiły się pierwsze jaskółki „złudnikowego szaleństwa”, mogli bardzo szybko przystąpić do wyścigu i wejść na rynek jako poważni konkurenci RCA i Philipsa.

Balder, po objęciu funkcji prezesa, odnosił się początkowo niechętnie do projektu szerszego przestawienia produkcji na złudniki. Był zdania, że popyt jest chwilowy, wywołany nowością urządzenia, i że przewidywania niektórych entuzjastów, iż złudniki będą współzawodniczyły z telewizją czy kinem, nie należy traktować serio. Mniej więcej rok przed śmiercią począł jednak zmieniać zdanie, a w ostatnich miesiącach życia wprost entuzjastycznie odnosił się do tego przedsięwzięcia i snuł bardzo szerokie plany, nie oszczędzając funduszy na reklamę.

Zaangażował się też poważnie w zwalczanie projektów międzynarodowej konwencji ograniczającej swobodę programowania fantoautomatów.

Nie masz racji! Konwencja nie była sprzeczna z interesami BEC. Przynajmniej pojmowana dalekowzrocznie. Tu nie tylko o to chodziło!... Ostatecznie BEC nie potrzebowała bynajmniej programować pornografii czy sadyzmu, aby robić dobre interesy. Niezwykłe przygody, kosmos,

historia, świat sztuki — to teren wystarczająco bogaty dla wyobraźni. BEC była nawet w niemałym stopniu zainteresowana w zwalczaniu nielegalnego programowania, a konwencja to ułatwiała. Balder nie chciał kontroli dla zupełnie innych powodów. To nie była ślepotą — dobrze wiedział, co robi. Na szczęście i tu przegrał...

Jeśli dziś złudnik można nabyć w każdym sklepie elektronicznym, to tylko dzięki rozsądnemu i dalekowzrocznemu ujęciu sprawy w konwencji, przyjętej przez cały świat dwadzieścia lat temu. Dlatego, że sprowadzono złudnik do roli telewizora i domowego kina, nie stał się narkotykiem, środkiem zaczadzania umysłów. Nie, mój drogi! „Złudnikowe szaleństwo” to było tylko ostrzeżenie, co może nastąpić, jeśli w porę nie zapobiegnie się niebezpieczeństwu.

Pewno cię jednak zanudzam dygresjami. Otóż — wracając do tematu — w parę dni po wizycie u mnie Nike Balder zadzwoniłem do generała. Jako pretekstu do odwiedzin użyłem prostego kłamstwa, że chciałbym, aby mi osobiście udzielił pewnych rad fachowych. Był w świetnym humorze i zaproponował, bym do niego zaraz przyjechał. W kilka minut po tej rozmowie zatelefonowała do mnie Nike. Dowiedziała się od ojca, że przyjeżdżam, i chciała mnie poinformować o najnowszych wydarzeniach. Tego dnia, tuż przed moim telefonem, generał przeprowadził dwugodzinny „zabieg”. Nike podsłuchiwała pod drzwiami i — choć są one izolowane — wydawało jej się, że słyszała podniesione głosy — jak gdyby ojciec śmiał się, to znów krzyczał na kogoś, chociaż była pewna, że w pokoju nikogo po za nim nie było.

Nie zwlekając pojechałem do Baldera. Nike czekała na mnie w hallu. Okazało się, że generał wezwał ogrodnika i wyszedł z nim do parku, pomimo iż umówił się ze mną. Oczywiście, masz rację. To jeszcze niczego nie dowodziło. Mógł zapomnieć. A Nike była przewrażliwiona...

Dziewczyna zaproponowała, abyśmy poszli poszukać ojca, na co, rzecz jasna, skwapliwie się zgodziłem, bo przy okazji mogłem zdobyć nowe elementy do przyszłej diagnozy. Nike z pewnością domyślała się coś niecoś, bowiem zaprowadziła mnie wprost do betonowego bunkra w głębi ogrodu. Było to jedno z wejść do prywatnego schronu przeciwatomowego, zbudowanego przez Baldera przed kilkunastu laty.

Kłapa wjazdu była odsunięta. Zeszliśmy krętymi schodami chyba z pięć pięter w dół. Generała spotkaliśmy już w drugim przedsionku

wewnętrznym. Beształ ogrodnika za jakieś przewinienie, jak się później okazało, za założenie hodowli pieczarek w jednym z korytarzy. Gdy mnie zobaczył, odprawił go, wyrażając żal, iż niepotrzebnie się trudziłem, bo miał zamiar zaraz powrócić na górę. Poprowadził nas w głąb budowli do drugiego wyjścia łączącego schron z willą. Po drodze zrzędził jeszcze trochę na ogrodnika, że niszczy „tak dobry schron”, ale wkrótce, pokazując mi niektóre ciekawsze urządzenia, rozchmurzył się zupełnie. Widać było, że bardzo dumny jest ze swych podziemnych apartamentów.

Skąd tak dobrze wszystko pamiętam? Składałem później zeznania, i to kilkakrotnie...

Wracając do tematu... Balder nie sprawiał wówczas wrażenia człowieka chorego, przeciwnie, był pełen sił żywotnych i energii. Zaniepokoił mnie nie jego wygląd czy zachowanie się, lecz uwaga wypowiedziana tam, w schronie, niby tak sobie, mimochodem: „Gdy będzie potrzeba, to te żelbetowe bloki wytrzymają niejedno uderzenie...” Jeślibyś znał Baldera, na pewno nie traktowałbyś tego jako paplaniny... No, jasne, że nie wierzyłem w możliwość konfliktu.

Ale tacy, jak on, umieli mącić...

Pytasz: czy knuł coś? I tak, i nie! A raczej — tak, ale był to chyba najdziwniejszy z jego pomysłów, skazany z góry na fiasko.

Dowiedziałem się o tym jeszcze tego samego dnia. Rzecz jasna, nie powiedział mi wprost, ale łatwo było się zorientować, do czego zmierza. Nie robił zresztą przede mną specjalnej tajemnicy. Dziwi cię, że miał do mnie zaufanie? Ależ to nie było zaufanie! On do nikogo nie miał zaufania, co nie przeszkadzało mu do pewnych ludzi odczuwać coś w rodzaju sympatii. Dlaczego do mnie? Tego już, niestety, nie wiem.

Ale znów odbieглиśmy od tematu. Otóż kiedy Nike pozostawiła nas samych i generał wprowadził mnie do gabinetu, zwróciłem od razu uwagę na duży blok aparatury elektronicznej stojącej pod jedną ze ścian. Spytałem Baldera niby tak, od niechcena, co to za maszyna.

— To złudnik — odpowiedział z pewnym odcieniem dumy w głosie. — Nowy typ, jeszcze nie produkowany seryjnie.

Zapytałem wówczas, czy nie mógłbym zobaczyć, jak urządzenie działa. Spodziewałem się, iż zastosuje unik i powie, że złudnik nie jest czynny, lecz on spojrzał tylko na mnie przenikliwie i zupełnie niespodziewanie oświadczył:

— Widzę, że moja córka naopowiadała panu, doktorze, że jestem chory, że próbuję się sam kurować z pomocą niebezpiecznych środków... Prawda? Niech pan nie zaprzecza. Słyszałem waszą rozmowę telefoniczną. Ale to wszystko nieprawda. Nigdy nie czułem się tak dobrze, jak obecnie. A ta maszyna to naprawdę złudnik.

Tak to mniej więcej brzmiało, a ja czułem się jak szczeniak schwytyany podczas płatania głupiego figla. Na szczęście, zanim zdążyłem cokolwiek wyjąkać, Balder zmienił temat. Zaczął mówić o polityce, atakując rzekomą krótkowzroczność ówczesnego rządu. Wyraził się nawet w ten sposób, iż „usypianie opinii publicznej źle się skończy”. Spytałem, co ma na myśli, mówiąc o „usypianiu opinii”, ale zamiast odpowiedzieć, on zapytał mnie z kolei, czy sądzę, że obecne porozumienia i środki kontroli gwarantują bezpieczeństwo naszemu krajowi?

Odrzekłem, że tak istotnie sądzę. Zresztą — powiedziałem — nie potrafię wyobrazić sobie niespodziewanego ataku w dzisiejszych warunkach. Jego aż poderwało. Ale nie był to gniew, lecz jak gdyby satysfakcja z odniesionego sukcesu.

— Nie może pan sobie wyobrazić? Mogę to panu ułatwić — powiedział uśmiechając się.

Potem podszedł do owego bloku elektronicznego i nacisnął jakiś przycisk. Przednia ściana bloku opadła, przeobrażając się w wąską kozetkę. Zamiast podglówka — potężny hełm. Wiesz, zespół receptoefektorów indukcyjnych pracujących przemiennie. Jeszcze dziś można spotkać podobne hełmy w złudnikach starszego typu.

Zgadłeś! Zaproponował mi seans.

Co? Nie domyślasz się? No, przecież to jasne. Tak, tak! Tam była zaprogramowana wizja ataku, ba! — chyba całej wojny nuklearnej, jeśli komu starczyło wyobraźni... i oczywiście nerwów. Ja nie lubię takich mocnych wrażeń. Zgodziłem się tylko z ciekawości zawodowej — chciałem się przekonać, czym żyje Balder.

Przed seansem, jak to i dziś się praktykuje w prostszych typach fantoautomatów, dał mi do przeczytania krótki schemat tematyczny. Dla nadania kierunku biegowi wyobraźni. Było tam parę zdań o jakichś tajnych wyrzutniach i podstępnych planach niespodziewanego ataku, potem opis skutków owego ataku, między innymi śmierci ludzi, którzy

nie mieli się gdzie schronić. Schemat zredagowany był tandetnie, sugestie szyte grubymi nićmi i źle kryjące niedwuznaczną tendencję: „oto co może was spotkać, jeśli uwierzycie, że jesteście bezpieczni”!

Zgodnie ze wskazówkami Baldera położyłem się na kozetce pod hełmem i usiłowałem sobie wyobrazić to, co sugerował schemat. Wizja pojawiła się niemal natychmiast po włączeniu aparatury, z ogromną plastycznością, nie ustępującą jawie. Nie ulegało wątpliwości, że ten automat stanowił ogromny krok naprzód w porównaniu z produkowanymi dotąd złudnikami.

Przed wszystkim nie występowało zupełnie zwężenie pola świadomości. Wiedziałem, że to, co przeżywam, jest złudzeniem, ale jednocześnie nie mogłem wyzbyć się uczucia realności odbieranych wrażeń. I to w jakim stopniu! Teraz takich złudników produkować nie wolno.

Co widziałem? Och! To była tak potworna wizja, że jeszcze dziś odczuwam nerwowy dreszcz na samo jej wspomnienie. Ponadto wszystko rozgrywało się z jakąś żelazną logiką...

Czy mogłem ingerować? Oczywiście, lecz zakres korekty był wąski, przynajmniej w porównaniu z tym, co się wokół mnie działo. Mogłem uratować tego czy innego człowieka, odchylić tor pocisku, zapobiec zawaleniu się domu do piwnic, ale nie byłem w stanie powstrzymać kataklizmu. Zresztą orientujesz się przecież — można zmienić kierunek przeobrażania się wizji, uprzedzając wypadki, lecz nie można cofnąć biegu wydarzeń. A przecież złudnik zaskakuje cię niespodziankami, zdarzeniami, których nie potrafisz przewidzieć, czerpiąc często tworzywo informacyjne z twojej podświadomości.

Wytrzymałem zaledwie dziewięć minut pod hełmem — mnie wydawało się, że przeżyłem całe tygodnie wojny. Byłem tak wyczerpany nerwowo, iż nawet Balder się przestraszył, czy nie przeholował. To była Iście piekielna wizja! A przecież to, co ja wiedziałem o wojnie nuklearnej, sprowadzało się do jednej książki o Hiroszynie, paru podręczników medycznych z zakresu ochrony radiologicznej i popularnych artykułów w prasie czytanych przed laty. Jakie wizje musiał przeżywać pod hełmem złudnika Balder, który zajmował się tymi sprawami od kilkudziesięciu lat?! Przecież jego wyobraźnia była wprost przesycona tą problematyką.

Po tym seansie Balder sam odwiózł mnie do domu. Pamiętam, że po

drodze mówił mi coś o tym, że będą musieli przy seryjnej produkcji zmniejszyć plastyczność doznań.

W tydzień po tej wizycie, późnym wieczorem zadzwoniła Nike, prosząc, abym niezwłocznie przyjechał do ojca.

Generała zastałem w gabinecie, wpółleżącego w fotelu. Był bardzo blady, a w oczach jego nietrudno było dostrzec lęk. Rozkazał córce zostawić nas samych i gdy drzwi zamknęły się za nią, począł w sposób bardzo chaotyczny, odbiegający całkowicie od typowej dla niego precyzji wypowiedzi wyjaśniać, dlaczego mnie wezwał.

Okazało się, że doznał w czasie eksperymentu ze złudnikiem silnego szoku. Nastąpił on pod wpływem wizji, której przyczyn nie potrafił sobie wytłumaczyć, a nie chciałby wtajemniczać w osobiste przeżycia psychiczne specjalistów z zakładów BEC.

Odrzekłem, że mu niewiele pomogę. Tłumaczyłem, że się nie znam na konstrukcji złudników, ale on z uporem powtarzał, iż chce, abyśmy wspólnie rozważyli, co to było, że on nieźle orientuje się w zasadach działania aparatury, która zresztą, zdaniem naczelnego konstruktora, nie jest uszkodzona, wreszcie, że chodzi tu najprawdopodobniej o zjawisko psychofizjologiczne, a nie efekt błędu technicznego i stąd moja pomoc staje się niezbędna.

Tematem fantowizji Baldera, jak nie trudno było się domyślić, były jego marzenia, których nie mógł już zrealizować. Uczestniczył w gigantycznych zmaganiach wojennych, opracowywał i wcielał w życie dalekosiężne plany strategiczne, rozgrywał zwycięsko jakieś niezmiernie skomplikowane pojedynki taktyczne, przeprowadzał apokaliptyczne operacje, biorąc w nich często bezpośredni udział.

Pasja eksperymentowania na złudnikach wywodziła się więc u Baldera z chęci stworzenia sobie namiastki własnego świata, w którym byłby tym, kim chciał być na jawie. Równocześnie jednak, jako człowiek przyzwyczajony do realistycznego myślenia, nie mógł przyjąć fikcji jako celu samego w sobie. Próbował więc uzasadnić swoje eksperymenty zamysłami praktycznymi, ogólniejszymi... Słusznie mówisz! Politycznymi! Właśnie to miałem na myśli.

On rzeczywiście wierzył, że produkując złudniki i podsuwając odbiorcom, wśród wielu programów, również programy przedstawiające plastycznie nowoczesną wojnę, potrafi wzbudzić niepokój i doprowadzić

do nowego wzrostu napięcia. Tak. Nazywając rzecz po imieniu — chodziło o wywołanie psychozy wojennej. Masz rację, że to nonsens. Wręcz przeciwny skutek...

Myślę, że właśnie dlatego tak się zaniepokoił moją reakcją. Ale chyba do końca nie potrafił tego zrozumieć.

Czego się przestraszył w czasie wizji? A, nie! Obraz wojny był chyba dla niego raczej... przyjemny. Nie myśl, że wywierały na nim jakieś przykre wrażenie sceny zagłady. To był jego żywioł, świat jego marzeń. Miał tam swoje ulubione postacie, a także takie, na których koncentrował swą nienawiść.

Jeden z takich „fantomów pozytywnych”, rzecz jasna według oceny Baldera, pojawiał mu się we wszystkich niemal wizjach, często wędrował z nim razem od sceny do sceny. Młody porucznik — szaleńczo odważny, zawsze odnoszący zwycięstwa nad przeciwnikami. „Chytry jak lis i szybki jak orzeł” — mówił o nim Balder. Ten oficer zjawiał się zawsze obok generała w niebezpiecznych momentach i niejednokrotnie ratował mu życie. Był okrutny wobec wrogów, ale Balder go w pełni usprawiedliwiał, bo — jak mówił — na wojnie, gdy potrzeba, należy być i okrutnym.

Każda z fantowizji, jak wiesz, jest inna, niektóre sceny czasem się jednak powtarzają. Tak, jak we śnie. Otóż w jednej z takich powtarzających się od czasu do czasu scen, szczególnie potwornej w naszym odczuciu, ów porucznik zabijał dziewczynę, Murzynkę. Podpalał miotaczem drewniany barak, w którym była uwięziona. Zresztą i to Balder usprawiedliwiał: barak musiał być zniszczony, a o braniu jeńców nie było mowy...

Mówisz: obłąkany sadysta? Że te wizje zrodziły się w jego mózgu? W tym wypadku się mylisz. To nie była fantazja, lecz reminiscencja, wspomnienie rzeczywistego zdarzenia. „Dokopałem się” wyjaśnienia tej sceny już po śmierci Baldera. Pierwszą akcją wojskowo-policyjną, w której brał udział, była pacyfikacja osiedla. Mieszkańcy mieli podobno pomagać partyzantom... Bardzo możliwe, że spalono wtedy jakąś dziewczynę i scena ta wywarła silne wrażenie na Balderze. A potem w fantowizjach przybrała charakter obsesji.

Mówisz: sumienie? Może w ten sposób chciał je zagłuszyć?... Kto wie, może istotnie tak było. Ostrożnie jednak ze zbyt pochopnymi wnioskami! To nie było takie proste, jak ci się zdaje. Śmierć jakiejś nieokreślonej

młodej Murzynki nie wywierała na generale większego wrażenia. W każdej wizji widział tysiąc jeszcze straszliwszych scen.

Ale pewnego razu nastąpiło coś zupełnie nieoczekiwanego. W kulminacyjnym momencie fantowizji, kiedy ów porucznik podpalał barak, Balder usłyszał rozpaczliwy krzyk dziewczyny i nagle uświadomił sobie, że to był głos... jego córki. Wówczas po raz pierwszy ogarnął go strach, że tam w płomieniach ginie jego Nike. Zapomniał zupełnie, że to tylko sztucznie wywołana halucynacja i chciał rzucić się w ogień, ale oficer znów mu uratował życie — pochwycił go i nie puszczał tak długo, aż barak zawałił się.

Dopiero w tym momencie generał odzyskał panowanie nad sobą. Przerwał fantowizję, lecz wspomnienie wstrząsającej sceny pozostało nada! żywe. Był tak zdenerwowany, że tej nocy zasnął dopiero po wzięciu proszków nasennych. Następnego dnia nie mógł wyzbyć się natrętnej myśli, iż powinien podjąć próbę ponownego odtworzenia tej sceny dla upewnienia się, że podobieństwo głosu było tylko przypadkowe. Będzie wysiłkiem woli, świadomie kierował wizją tak, by przebiegała zgodnie z jego życzeniami. Przecież wizja musi się podporządkować jego woli! W ten sposób zdobędzie spokój.

Ale Balder nie wziął pod uwagę jednego... Tak! Właśnie! Podświadomość! To, co zobaczył — bo już wówczas nie tylko usłyszał, ale i zobaczył — było dla niego tak strasznym wstrząsem, że nie wytrzymał nerwowo i przerwał seans. Jeszcze tego samego dnia wezwał naczelnego konstruktora i nakazał szczegółowo sprawdzić działanie aparatury. Wszystko było w porządku.

Wieczorem podjął jeszcze jedną próbę. Tym razem usiłował czynnie przeciwstawić się fantomowi. Ale ten był silniejszy. Gorzej — każda z kolejnych fantowizji stawała się okropniejsza.

Gdy wreszcie, chcąc zagłuszyć wspomnienia, próbował wywołać inne warianty wizji i starał się myśleć tylko o tym, co dawało mu kiedyś najwięcej zadowolenia, wszędzie, gdziekolwiek ginęli ludzie — mieli oni twarze Nike Balder...

Seans zakończył się szokiem i załamaniem psychicznym. Wówczas właśnie wezwał mnie do siebie. Próbowałem, jak umiałem, wytłumaczyć przyczyny zjawiska. Mówiłem, że złudnikowe wizje, są po prostu snami na jawie, swobodnym biegiem kojarzeń, poddanym tylko w

ograniczonym stopniu kontroli woli i programowaniu zewnętrznemu, że wszystko, co kiedykolwiek zostało zapisane w pamięci, może być wykorzystana jako tworzywo majaków. Ale on, mimo że przytakiwał, nie mógł się uspokoić. Zapisałem mu różne środki psychotoniczne, zaleciłem wyjazd i wypoczynek poprzez zmianę otoczenia, a przede wszystkim kategorycznie zabroniłem dalszych prób przekształcania wizji.

Chodzi ci o ten głos? Nie łam sobie głowy. Wytłumaczenie jest zupełnie proste. Wypytywałem później szczegółowo Nike Balder o ów dzień, kiedy nastąpił pierwszy szok. Generał zapomniał zamknąć drzwi na klucz. W czasie seansu Nike weszła do gabinetu i zobaczyła ojca leżącego pod hełmem. Wydawało jej się, że zemdłał i krzyknęła przerażona, a on począł wówczas wołać: „Nie! Nie! Puść mnie! Precz!” Później bała się mu o tym powiedzieć...

Trzeciego dnia po mojej wizycie Balder zadzwonił do mnie osobiście. Powiedział, iż zdecydował się posłuchać mojej rady i wyjeżdża na dłuższy odpoczynek. Wydawał się spokojny.

Pod koniec rozmowy zapytał mnie jednak niespodziewanie, czy nie rozwiązałoby to problemu, gdyby on sam, w czasie wizji, zniszczył tego nieszczęsnego fantoma. Odpowiedziałem, aby absolutnie nie ważył się kontynuować eksperymentów! Odrzekł, iż mogą być o niego spokojny — żadnego głupstwa nie zrobi...

To była nasza ostatnia rozmowa.

Rano znaleziono go martwego pod hełmem złudnika. Aparat był włączony. Zgon nastąpił na skutek pęknięcia naczynia krwionośnego w mózgu. Ciekawe, iż mniej więcej w tej samej okolicy na skórze można było stwierdzić zewnętrzne zmiany, jakby po silnym uderzeniu. Początkowo nawet podejrzewano morderstwo.

Fantom? Być może. Mnie się jednak wydaje że Balder zrobił to, co zapowiedział, i udało mu się. Zabił tego porucznika...

Dlaczego zginął?

Nie rozumiesz? Przecież to był on sam!...

Cogito ergo sum

Głazy jakby ożyły... Rosną, pęcznieją, rozsadzają spoiny... Białe, styrolitowe spoiny...

Chcę cofnąć się, skoczyć na schody, uciec przed tym, co jest tuż, tuż przede mną, lecz nie mogę przemoc lęku paraliżującego mięśnie...

Błysk! Nie ma już pęczniejącej ściany, mrocznego korytarza, spróchniałych schodów... Teraz zdaję sobie już sprawę, że był to tylko sen i czuję ogromną ulgę.

Męczący, koszmarne sen — powtarzający się obsesyjnie od czasów chłopięcych. Skrzypiące schody prowadzą w dół do piwnicy. W mroku majaczy ciemna, okopcona ściana. Poprzez łysiny w tynku wyzierają wielkie chropowate głazy, z których wzniesiono fundamenty mego rodzinnego domu.

Schodzę w gęstniejący mrok. Już dotykam dłonią głazów, gdy słyszę za sobą w górze szmer skradających się kroków. Krótki skowyt zardzewiałych zawiasów i ogarnia mnie ciemność.

Potem — oddalający się tupot i cisza. Dławiąca, wypełniona lękiem i bezsilnym gniewem. Właściwie wystarczy pokonać paru skokami te kilkanaście stopni, dzielących mnie od drzwi piwnicznych i znów wróci światło. Ale wiem, że to bezcelowe, — że Michał, zaczajony w korytarzu nade mną, tylko czeka, aby zatrzaskać ponownie drzwi...

Muszę dojść w ciemnościach do zakrętu. Stamtąd już zaledwie kilka kroków do ciężkiej, pękatej kłódki, którą trzeba otworzyć, aby wreszcie ujrzeć światło padające przez zakratowane okienko naszej piwnicy.

Zawsze bałem się i zawsze potrafiłem pokonać lęk. Tak było w rzeczywistości — gdy jako dziecko schodziłem do piwnicy po ziemniaki lub węgiel.

Ale we śnie było inaczej. Tu jakby ogniskowały się wszystkie nie dopuszczane do świadomości pragnienia i obawy. Najpierw gniew na Michała, pogoń za nim po stromych schodach w górę, aż do zamkniętych drzwi, i bezsilne, wściekłe łomotanie pięściami w twarde, pokryte spękaną farbą deski. Dopiero potem przychodził strach. Inny strach — którego nie można pokonać. Potęgujący się z sekundy na sekundę i

obezwładniający mięśnie. Strach nieokreślony, niezwiązany z żadnym konkretnym niebezpieczeństwem, choć jest ono oczywiste, niemal namacalne! Czułem, że się TO zbliża, choć nigdy nie potrafiłem określić, co to być mogło i skąd ma nadejść...

Później, kiedy już byłem starszy, ktoś mi powiedział, że to po prostu objaw niedotlenienia... Ale ta świadomość nie miała żadnego wpływu na treść wrażeń odczuwanych we śnie.

Zawsze to samo! Piwnica, zamknięte drzwi, porażający mięśnie strach, z którego wyzwolić może tylko... przebudzenie.

I teraz też... Nie! Niby wszystko było tak samo, a inaczej... Wydęta, pęczniejąca gwałtownie ściana... To chyba pojawiło się po raz pierwszy... Jaka właściwie była ta ściana... Białe styrolitowe spoiny... Skąd styrolit w piwnicy mojego domu z lat dziecięcych? To może zdarzyć się tylko we śnie...

Błysk! Jak ciemno!... Czyżby się zbliżała burza? To dziwne! Całkowita ciemność — nie widzę nawet okna. Co prawda roje iskierek migocą przed oczami, a jasne i ciemne plamy zmieniają kształt i barwę. Ale tak zawsze bywa w ciemnościach.

Znów błysk! Jeden, drugi i trzeci... Jak gdyby blask flesza odbity od białej czy złotej ściany.

Potem znów ciemność. Nieprzenikniona.

Czy ja mam oczy otwarte? To dziwne — ale nie jestem w stanie tego stwierdzić. Poruszam powiekami, lecz tak naprawdę, to ich nie czuję... Za to wyraźnie swędzi mnie prawy goleń.

Chcę się podrapać i... Chyba w istocie podkurczyłem nogę, a teraz sięgam ręką... Chociaż... Nie jestem i tego pewny. Czyżbym utracił zdolność odbioru bodźców dotykowych? Nie mógłbym przysiąc czy dotykam nogi...

A może to wszystko mi się tylko zdaje? Może jeszcze śpię? Czy można śnić, że się śni?...

Błysk... Tym razem jakby dłuższe rozświetlenie ściany... Potem dwa krótkie... Jakiej ściany? Gdzie ja właściwie jestem? Nic nie rozumiem... Pamiętam dobrze. Już kładłem się spać, gdy zadzwoniła Anka, że w C-4 wzrasta ciśnienie... Przez całe popołudnie próbowaliśmy i wszystko było w porządku. Rozpad ustawał. Tak jak zawsze, przy częstotliwościach rezonansowych...

Po telefonie Anki ubrałem się i natychmiast pojechałem do laboratorium...

Znów błysnęło, Dwa razy. Krótki i długi rozbłysk. Jak w alfabecie Morse'a litera „A”. Ale to chyba nie mogą być sygnały.

Gdzie ja jestem?... W laboratorium? Biała ściana... Co to za biała ściana? W domu też nie ma takiej ściany... Nie przypominam sobie zresztą, abym wrócił do domu... Do domu? Nie wiem nawet, jak zakończyła się próba...

Błysk, jak długo świeci... I trzy krótkie błyski. To jakby... litera „B”. Czy możliwe? Po co by ktoś sygnalizował Morse'em! I skąd?

Znów błysnęło. Raz, dwa, trzy, cztery, Ciekawe... Długi, krótki, długi, krótki. To „C”. Więc jednak ktoś sygnalizuje. Czyżby nadawał alfabet? Po co? Cóż za dziwna zabawa? A może synalek sąsiadów?...

Teraz powinna być litera „D”. Jest! Rzeczywiście. Głupia zabawa. Zamknąć oczy i spać. Znów błyska, Litera „E”. Czy ja mam oczy otwarte, czy zamknięte? Nie wiem. Nic nie wiem. Nie czuję. Chwilami wydaje mi się, że nie mam powiek...

Błyska coraz częściej. To było „F” i „G”. A teraz „H”. To zaczyna być denerwujące. Czy muszę patrzeć na te błyski? Dlaczego nie mogę zakryć dłonią powiek? Dlaczego nie wiem, co się dzieje z moją ręką? A może to paraliż? Może jestem w szpitalu?

Teraz jakbym sobie coś przypomniał. Pęczniejąca ściana... To nie była piwnica. To laboratorium. Białe styrolitowe spoiny... I krzyk. Tak! To chyba był krzyk Anki... Ale co było potem? Co było potem?

Ciągle sygnalizują... To chyba było „X” a teraz „Y”... „Z”. No, już wreszcie koniec alfabetu. Nie! Znów zaczyna!

„B... R... A... C... K... I...”,

Czyżby to było do mnie?

„T... U... S... K... R... I... N... A...”.

A więc to Skrina! Dlaczego on? Skąd sygnalizuje?...

„JEŚLI ZROZUMIAŁEŚ SYGNAŁY, DODAJ PIĘĆ DOWOLNYCH LICZB PIERWSZYCH”.

Co to ma znaczyć? Dlaczego mam rachować? Liczby pierwsze... powiedzmy dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście. Dwa plus trzy to pięć, plus pięć — będzie dziesięć, plus siedem to siedemnaście, plus jedenaście to dwadzieścia osiem...

„W PORZĄDKU. MAMY Z TOBĄ KONTAKT BEZPOŚREDNIO POPRZEZ KOREŃ MÓZGOWĄ. SPRÓBUJ PORUSZYĆ PRAWĄ RĘKĄ”.

Co to wszystko ma znaczyć? Kontakt poprzez korę? Bezpośrednio poprzez korę... Czyżby te błyski to... drażnienie kory mózgowej?... Ale dlaczego? Czyżby całkowity paraliż? Ale przecież kazał mi poruszyć ręką. Odczytałem bez błędu: spróbuj poruszyć prawą ręką.

Czy poruszyłem? Nic nie czuję. Znów sygnalizują.

„SPRÓBUJ PORUSZYĆ LEWĄ RĘKĄ”.

Próbuję, ale nic nie czuję. I ta cisza...

„W PORZĄDKU. PRAWA RĘKA KROPKA, LEWA KRESKA, MOŻESZ NADAWAĆ. ZAPAMIĘTAJ: PRAWA — KROPKA. LEWA — KRESKA. WYSTARCZY RUCH PALCAMI”.

Nic nie rozumiem. Chociaż... To jasne: Utraciłem słuch i mowę. Ale czy naprawdę nie mogę mówić? Skąd oni wiedzą? Przecież nie próbowałem.

— Skrina!

Nic nie słyszę. Nie słyszę własnego głosu... Lecz czy w ogóle coś powiedziałem? Nic nie wiem. Nic nie wiem. Nic nie czuję.

Nadali, że mają ze mną kontakt poprzez korę... Cóż to znaczy? Czyżbym utracił w ogóle zdolność odbioru wrażeń zmysłowych? Dlatego nie czuję nawet bólu. A te swędzenia, to złudzenie.

Muszą stosować bodźce elektryczne. Błyski światła? Widocznie drażnią bezpośrednio ośrodek wzrokowy. A Skrina kazał liczyć dlatego, aby mogli stwierdzić z elektroencefalogramu czy w ogóle myślę świadomie.

Ciekawe jednak, iż mogę ruszać rękami. Ale czy rzeczywiście ruszam?

Prawa ręka — kreska, lewa — kropka. Mogę pytać.

„CO ZE MNĄ?”

O, już błyskają!

„NIEDOBRZE. MAMY KONTAKT TYLKO POPRZEZ KOREŃ. CZY BARDZO CIĘ MĘCZY SYGNALIZACJA?”

Znów coś kręcą. Dlaczego nie odpowiadają wprost?

„SKRINA. MÓW PRAWDĘ. CO Z ANKĄ?”

Dlaczego nie błyska? Dlaczego milczą? Może Anka zginęła i boją się odpowiedzieć... Ten krzyk...

„CZY ONA NIE ŻYJE?”

Teraz znów błyska: kropka, kropka, kreska, kropka, kreska... Już sam nie wiem... W głowie się kręci jak po alkoholu... Czy to kreski, czy kropki? Co oni... Nic nie mogę zrozumieć... Co oni...

*

Chyba zasnąłem. Te błyski... Muszę uważać.

„...NAS ODBIERASZ”.

Widocznie koniec zdania.

„POWTÓRZCIE”.

„PYTALIŚMY CZY JUŻ ODBIERASZ SYGNAŁY. CZUJESZ SIĘ NIEDOBRZE?”

„ZDAJE SIĘ ZASNAŁEM”.

„CHWILOWE OMDLENIE. NIEDOTLENIENIE. SKUP TERAZ UWAGĘ. CZY PAMIĘTASZ MOMENT PRZED EKSPLOZJĄ?”

Więc to rzeczywiście była eksplozja... Anka dzwoniła, że w C-4 wzrasta ciśnienie. Pojechałem do laboratorium. Pamiętam jeszcze, że Anka stała przy okienku kontrolnym. A ja?...

Podszedłem chyba do tablicy sterowniczej... Ale co było dalej?...

„STAŁEM PRZY TABLICY. ALE DALEJ NIE PAMIĘTAM”.

„PRZYPOMNIJ SOBIE, CO WIDZIAŁEŚ NA TABLICY”.

Ekran trzeci... Tak. Patrzyłem na ekran trzeci. Coś mnie zaskoczyło... Ale co? Anka stała przy okienku... Tam się jarzyło... Pomarańczowo... potem żółto... A potem białe, oślepiające światło... Reakcja łańcuchowa trwała... Zmieniłem chyba fazę... Nie. Faza już była zmieniona.

Ale kiedy? Czy Anka zmieniła? Nie, Teraz sobie przypominam. To ja pierwszy zauważyłem... I powiedziałem, że obawiam się utraty rezonansu... Współczynnik en-lambda... Tak.

Teraz zaczynam rozumieć Anka powiedziała, że próbowała podwyższyć wartość współczynnika en-lambda. Myślała, że jest za niska i dlatego reakcja łańcuchowa nie wygasa. A przecież jej mówiłem...

Dwadzieścia siedem udanych eksperymentów. Coraz większe ładunki. Pełna neutralizacja w czasie zgodnym z obliczeniami.

Dwadzieścia siedem eksperymentów... Ten był dwudziesty ósmy. Czyżby Skalski miał słuszość, że w pewnych warunkach może dojść do utraty stabilności i proces zacznie przebiegać w odwrotnym kierunku?

Rozumiem teraz niepokój Skrinky. jeśli zamiast zneutralizowania

ładunku nuklearnego nastąpi eksplozja?... Sześć lat pracy i wszystko na nic... Czy na nic? Przecież to tylko błąd Anki. Czy Anki? Może to ja popełniłem jakiś błąd? Ale jaki?

Co robiłem przy tablicy? Rozumiem teraz, dlaczego to takie ważne.

Znów jakby mnie ogarniała senność. Dlaczego Skrina zawraca mi głowę? Dlaczego mnie tak męczy? Czy nie może poczekać, aż będę się czuł lepiej? Aż będę mógł mówić i słyszeć. A może już nigdy nie będę słyszał i widział? Może od wypadku upłynęły miesiące... Może byłem nieprzytomny?...

Skrina nie daje sobie sam rady... A tak niedawno jeszcze zadzierał nosa. A może po prostu nie może czekać?

Jeżeli uda się rozszerzyć promień pola rezonansowego do kilku tysięcy kilometrów — niebezpieczeństwo wojny nuklearnej przestanie istnieć, Żaden pocisk nie eksploduje! Jeśli jednak istnieje możliwość utraty stabilności, i to na skutek działania jakichś nieznanymi czynników... Jeśli następuje zmiana fazy... Komora nie wytrzymała eksplozji... Znaczy to, iż do wyzwolenia energii nie trzeba masy krytycznej... Nawet ładunek miligramowy...

Rozumiem obawy Skriny... Ale przecież ma moje obliczenia. Nawet jeśli Anka nie żyje, powinien się zorientować. Anka nie żyje... Skąd wiem, że nie żyje? Nikt nie potwierdził moich przypuszczeń.

Ile pytań, ile wątpliwości...

Nikt nie jest niezastąpiony. Więc chyba jednak chodzi o czas... W sobotę miałem spotkać się z Ewą. Pół roku jej nie widziałem... W połowie czerwca miałem pojechać na urlop...

Myślę o wszystkim, tylko nie o tym, co trzeba. Muszę się wziąć w garść. Przecież jednak coś niecoś pamiętam.

„ZAUWAŻYŁEM ZMIANĘ FAZY. CHYBA Z POWODU PODWYŻSZENIA ENLAMBDA. CORAZ JAŚNIEJSZE ŚWIATŁO W OKIENKU KONTROLNYM. DALEJ NIE PAMIĘTAM”.

Już błyska:

„CZY PRÓBOWAŁEŚ COŚ ZMIENIĆ?”

„CHYBA TAK. ALE NIE PAMIĘTAM CO. MACIE ZAPIS”.

„ZNISZCZONY. NIE MOŻEMY TEŻ ZNALEŹĆ TWOICH NOTATEK”.

Notatki... Słusznie. W czwartek wieczorem wpadł mi do głowy pomysł transformacji... Współczynnik theta mógł przybierać wartości

ujemne! Zapisałem w notatniku. Pokazałem to Ance i zdaje się, że ją wzięło... Może dlatego próbowała podwyższyć en-lambda.

Notatnik zostawiłem w domu? Nie. Chyba zabrałem go ze sobą. Tak. Zabrałem... Wtedy wieczorem Anka nawet mówiła, abym zabrał. Schowałem go do kieszeni wewnętrznej, na piersiach.

„MIAŁEM PRZY SOBIE NOTATNIK”.

„CZY NIE SPORZĄDZIŁEŚ ODPISU LUB FOTOKOPII?”

„NIE. CO Z NOTATNIKIEM?”

„SPALONY”.

Nie mają więc moich obliczeń. Skrina może też nic nie wiedzieć o zmianie znaku współczynnika theta. W ogóle nie omawiałem z nim przekształceń ostatniego wariantu. Nie było przecież czasu. Rozumiem teraz dlaczego mu tak bardzo zależy na mojej pomocy.

Mówi, że notes spalony... Kto go spalił?

Głupiec jestem. Przecież to jasne. Spalił się wówczas, po eksplozji. Musiał być pożar. Może nawet powstało coś w rodzaju miniaturowej kuli ognistej. Jeśli rzeczywiście zamiast hamowania rozpadu promieniotwórczego ulega on przyspieszeniu... Być może, nawet większy niż dotąd procent masy spoczynkowej zmienia się w energię... Trzeba to sprawdzić rachunkowo...

Cóż za ironia losu: szukaliśmy drogi do unicestwienia śmiertelnych właściwości pocisków nuklearnych, a znaleźliśmy sposób produkowania jeszcze potężniejszych bomb. Jakże łatwo „anioła pokoju” zmienić w „demonia zagłady”. Wystarczy zmiana fazy.

„CZY POTWIERDZENIE HIPOTEZY SKALSKIEGO?”

„TAK”.

A więc stało się...

*

Zdaje się, że znów straciłem przytomność. Widocznie nie jest ze mną najlepiej. Dlaczego mnie jednak tak męczą? Dlaczego nie poczekają, aż wrócę do jakiejś takiej normy?

Czy wrócę? Co ja właściwie wiem o swoim stanie? Nic mnie nie boli, ale też nic nie czuję. Jestem jak kłoda ściętego drzewa.

Nietrudno zresztą wyobrazić sobie, jak wyglądam. Jeśli notatnik uległ całkowitemu spaleni... Utrzymują mnie sztucznie przy życiu.

„SKRINA. POWIEDZ PRAWDĘ. CO ZE MNĄ? CZY W OGÓLE MAM

SZANSE PRZEŻYCIA?”

Zwleka z odpowiedzią... Widać niełatwa sprawa...

„NIC NIE UKRYWAJ”.

Nareszcie błyska:

„ULEGŁEŚ BARDZO CIĘŻKIM OBRAŻENIOM. UTRATA PRZYTOMNOŚCI NIE BYŁA NATYCHMIASTOWA. DLATEGO ZACHOWAŁEŚ PAMIĘĆ CHWIL POPRZEDZAJĄCYCH EKSPLOZJĘ. I POWSTAŁA MOŻLIWOŚĆ UTRZYMANIA CIĘ PRZY ŻYCIU. NIESTETY CIAŁA NIE UDAŁO SIĘ URATOWAĆ. ALE MASZ SZANSE. JEŚLI WYRAZISZ ZGODĘ, ZAMROZIMY TWÓJ MÓZG”.

Cóż to wszystko ma znaczyć? Co ten Skrina plecie? Chcą mnie zamrozić? Widocznie stan jest beznadziejny. Liczą, że w przyszłości, gdy medycyna poczyni dalsze postępy, mogę być uratowany...

Ale coś tu nie tak. On mówił tylko o mózgu. Dlaczego chcą przechować tylko mózg? Nigdy się nie zgodzę...

Nie zgodzę? Za sto czy tysiąc lat — inne ciało. Wszystko jedno — sztuczne czy naturalne... Kusząca fantazja... Co on bredzi?

A może to już się stało? Może jestem tylko mózgiem?... Sztucznie utrzymywany przy życiu? Bez oczu, bez uszu, bez rąk...

Prawa ręka, lewa ręka... To tylko gra mojej wyobraźni... Tylko oscylacje bioprądów pojawiające się z każdą myślą w odpowiednich ośrodkach ruchowych mózgu... Prawa ręka, lewa ręka... Bioprądy... To one tylko dają znać o tym, że jestem, że myślę, że rozumiem, że chcę wiedzieć...

Straszne...

„CZY TYLKO MÓZG?”

„TAK. ALE MASZ SZANSE”.

Szansę... Cóż pozostało? Czy chwycić się jak topielec tej ostatniej deski ratunku z nadzieją, że mnie utrzyma na powierzchni?...

Naprawdę, to mi wszystko jedno... Nie! To nie wszystko jedno! Nie dla samego życia, ale dla ujrzenia przyszłości gotów jestem z tej szansy skorzystać.

Im prędeziej, tym lepiej... Cóż mnie wiąże z dzisiejszym światem? Światem tak zamotany w sprzeczności, które coraz trudniej rozplątywać.

Ba! I mój w tym był udział...

„SKRINA, MÓW, CO MYŚLISZ? CZY NIE LEPIEJ PRZERWAĆ BADANIA?”

„JUŻ NIE MOŻNA. PRZERWANIE DOŚWIADCZEŃ TO ZDANIE SIĘ NA ŁASKĘ I NIEŁASKĘ PRZECIWNIKA. CZY MASZ GWARANCJĘ, ŻE SIĘ ZAWAHA?”

Skrina ma rację. Lecz czy zdaje sobie sprawę z konsekwencji tej racji? Trzeba eksperymentować... Ale czy dlatego, że się zaczęło? Czy można było nie podejmować badań?

Błędne koło...

„WIĘC CHCECIE DALEJ?”...

„NIE MAMY WYBORU, A CZAS UCIEKA”.

Czas ucieka... Dlatego jestem im potrzebny. Ale co ja mogę pomóc? Nic nie pamiętam... Ani jednego znaku. Ani jednej liczby.

„NIC NIE PAMIĘTAM”.

„PROFESOR GALL PROPONUJE ZASTOSOWANIE HIPNOZY. MOŻNA WÓWCZAS SIĘGNAĆ DO PODŚWIADOMOŚCI”.

„JAK TO MOŻLIWE? MACIE TYLKO MÓJ MÓZG”.

„STAN HIPNOTYCZNY MOŻNA WYWOŁAĆ ODPOWIEDNIĄ IMPULSACJĄ, ZGADZASZ SIĘ?”

Co mam odpowiedzieć? Że najchętniej zapomniałbym o wszystkim! Że nie chciałbym już brać na siebie odpowiedzialności za konsekwencję tego, co unicestwił żar eksplozji, i co dziś ponoć trwa jeszcze tylko w zwojach mego izolowanego od świata mózgu.

Czy izolowanego? Czy właśnie to, co dzieje się w tej chwili, nie jest dowodem jak wieloma nićmi związany jestem z moim światem? I że tylko ten świat wiąże mnie ze światem przyszłym... Czy będzie on lepszy, mądrzejszy, szczęśliwszy?...

Znów zaczyna mi się kręcić w głowie...

W głowie?...

Gdzie głowa?...

*

Coś zbyt często tracę przytomność... Czy oni tego nie widzą? Błyska i błyska...

„...NIE STARCZY CZASU”.

Na co nie starczy czasu? O czym on mówi?

„POWTÓRZ”.

„CZY ZGADZASZ SIĘ NA ZAMROŻENIE?”

„TAK. ALE O CZYM SYGNALIZOWAŁEŚ?”

„ZARAZ ZACZYNAMY”.

Co zaczynają? Zamrażanie?

„CO Z SONDAŻEM PODŚWIADOMOŚCI?”

„NIESTETY, NIE STARCZY CZASU. W TWOIM MÓZGU POJAWIŁY SIĘ ZMIANY, KTÓRYM NIE JESTEŚMY W STANIE ZAPOBIEC. JUŻ NIE MOŻNA ZWLEKAĆ. SONDAŻ PODŚWIADOMOŚCI ZAJMIE CO NAJMNIEJ GODZINĘ, STRACISZ SZANSĘ RATUNKU”.

A więc znów muszę dokonać wyboru... Który świat ma być moim światem?

Czy mogę się wahać? Przecież właśnie o to mi chodziło. Sama natura i przypadek uwalniają mnie od odpowiedzialności...

Czy uwalniają? Dróg postępu jest wiele... Jeśli Skrina zdoła wydobyć tylko niszczyielskie właściwości efektu fazowego? Jeśli nie wykorzysta wszystkich możliwości... Istnieje wielka szansa. To wynika z teorii.

Uciekając z naszych czasów, nie mógłbym bez wstydu spojrzeć w oczy tym, z którymi spotkam się w przyszłości...

„SKRINA. JA CHCĘ, JA MUSZĘ SOBIE PRZYPOMNIEĆ”.

„WIESZ, CZYM CI TO GROZI?”

„WIEM. ALE TO WŁAŚNIE OSTATNIA SZANSA”.

*

...Chcę uciec. Cofnąć się przed tym, co jest tuż tuż przede mną. Ale lęk paraliżuje mięśnie. Muszę pokonać ten lęk. Muszę dojść w ciemnościach do zakrętu aby otworzyć drzwi... Aby znów ujrzeć światło.

Nie. To nie światło sączące się spoza zakratowanego okienka. To tablica rozdzielcza. Jestem w laboratorium, a w głębi na prawo, przy okienku kontrolnym Anka. Patrzy z niepokojem na mnie.

„SPÓJRZ NA TABLICĘ KONTROLNĄ — sygnalizuje Skrina. — PODAWAJ KOLEJNO WSKAŹNIKI”.

Czytam wolno i niemal automatycznie, ruchami rąk przekazuję sygnały. Długie szeregi cyfr, jedno po drugim.

„WYJMIJ Z KIESZENI NOTATNIK. MASZ GO PRZY SOBIE W MARYNARCE — sygnalizuje Skrina. — MASZ GO JUŻ W RĘKU. OTWIERASZ I PRZEKAZUJESZ DANE”.

Rzeczywiście — widzę przed sobą białe kartki notatnika. Kartki

wypełnione po brzegi szeregami znaków i cyfr. Dobrze mi znane wzory. O! Tu Anka postawiła znak zapytania i miała rację. Tu właśnie się zaczęło. Ów kluczowy dla efektu fazowego współczynnik theta. Przekazuję znak po znaku, liczbę po liczbie...

Oto zmienia się faza. Rezonans jądrowy. Rezonans przeobrażający wewnętrzną strukturę materii...

Czy istotnie od tych czarnych znaków na białej kartce zależeć może przyszłość świata?...

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Trzecia możliwość](#)

[Algi](#)

[Toccata](#)

[Fantom](#)

[Cogito ergo sum](#)